

JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO
NIZINNE

JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO
NIZINNE

-WYDAWNICTWO-
Polmosi
1988
WARSZAWA

COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE,
S.A.R.L., PARIS, 1988

Wydawnictwo PoMOST

Warszawa 1988

OD AUTORA

Jedno z pism podziemnych poprosiło mnie o artykuł związany z procesem „tatarników”, który odtwarzałby tło osobiste i wobec tego mówił coś o mnie. Zamiast jednak — obszernego nawet — artykułu, napisałem — małą co prawda — książkę. Staram się w niej zdać sprawę z wydarzeń tak jak je widziałem, także dlatego, że czytając inne opisy, miałem wrażenie, że autorzy nie mówią o tym, co znam z własnego doświadczenia. Napisałem tekst o historii osobistej i spostrzeganej, kończąc ją w połowie lat siedemdziesiątych. Reszta — może na kiedy indziej. Tekst ten dedykuję tym, o których tu się nie mówi lub mówi się zbyt mało, z pamięcią o tym, czego nie opisałem.

1. PROCES I ŚLEDZTWO

Jak można przeczytać na początku „Miazgi” Jerzego Andrzejewskiego, w lutym 1970 roku ogłoszono wyrok w procesie „taterników” (skazano pięć osób). Z prasy można było wtedy dowiedzieć się, że ten proces ma coś wspólnego z Tatrami, ukazującym się w Paryżu miesięcznikiem *Kultura* i redaktorem tego miesięcznika Jerzym Giedroyciem. Wiem coś o tym procesie, bo byłem oskarżonym.

Sale w gmachu sądów na Lesznie są zwykle niewielkie. Ta mogła pomieścić mnóstwo ludzi, podobno kiedyś odbywały się tam znane procesy. Aby znaleźć się na miejscach dla publiczności, należało mieć kartę wstępu, której zwykły człowiek nie mógł dostać, wręczano je dwóm lub trzem osobom z rodziny. Sala była natomiast pełna funkcjonariuszy policji i aktywistów z pogranicza partyjno-policyjnego.

Po lewej stronie sądu siedzieli oskarżeni i przed nimi obrońcy. Prokurator był jakby sędzią dodatkowym, siedział przy stole sędziowskim po prawicy kompletu sądującego. Oskarżonych co dzień przywożono z więzienia i przedzielano milicjantami. Pierwszego dnia zobaczyłem na ławie oskarżonych dwie osoby znajome (jedną dobrze, jedną średnio) i dwoje nieznajomych.

Spośród sądzonej piątki o taternictwie miał jakieś pojęcie Maciej Kozłowski, reszta bywała czasem w górach. Osoby, które zobaczyłem po raz pierwszy na sali sądowej, znałem już z akt śledztwa, czytanych w więzieniu na Rakowieckiej, w pokojach „na górze”, zwykle służących do przesłuchań, ale gdy czytało się akta, można było już tylko zobaczyć ślady, to, co z przesłuchań utrwalono na papierze. Przesłuchiwani zmienili się w czytelników, przesłuchujący byli nadzorcami lektury.

Granice między UB (czyli Służbą Bezpieczeństwa), prokura-

turą i sądem (są to ponoć odrębne instytucje) z perspektywy więźnia (podejrzanego i oskarżonego) nie były łatwo dostrzegalne. Do przygotowania sprawy sądowej służyło śledztwo, rozumiane jako umieszczenie osób podejrzanych w więzieniu i wzywaniu na przesłuchania. Przygotowując sprawy polityczne i poważniejsze sprawy gospodarcze, umieszczano więźniów w specjalnym pawilonie MSW. Trzy dolne piętra pawilonu były przechowalnią, magazynem ludzi. Ścisłe rzecz biorąc, przebywanie w więzieniu nie było jeszcze w tym przypadku karą, tylko pozostawaniem (często przez wiele miesięcy) do dyspozycji przesłuchujących, mających łatwy dostęp do umieszczonych w więzieniu obiektów swych badań. Na dwóch górnych piętrach pawilonu mieściło się kilkadziesiąt pokoi przesłuchań. Z dołu strażnicy wyprowadzali więźniów „na górę”. Stukot kluczy więziennych o metalowe fragmenty konstrukcji znaczył, że prowadzi się właśnie kogoś na przesłuchanie. Strażnik miał kartkę: kogo zabrać, z której celi, do którego pokoju. Metaliczny dźwięk był znakiem dla innych strażników, by nie wyprowadzali w tym czasie innych więźniów (łatwiej było więźniów przesłuchiwać, gdy bez potrzeby nie wiedzieli o sobie nawzajem). Uderzenia kluczy nasilały się falami, w rytmie dnia: wtedy gdy przesłuchujący funkcjonariusze policji rozpoczynali urzędowanie, kiedy zwalniali więźniów na obiad, kiedy wzywali ich z powrotem i gdy kończyli urzędowanie.

Zaczynało się spokojnie lub z krzykiem, a później się zmieniało: na krzyk lub na spokojnie: — Pan wie, dlaczego pan tu jest! — Proszę opowiedzieć swój życiorys. — No i jak pan czuje się w więzieniu? Później można było to rozwinąć, wzbogacić w szczegóły. Czasu było dużo, nikt się nie spieszył.

Rozprawa sądowa to był teatr, w którym miano ponownie odegrać, wyrazić na nowo w słowach zdobycze uzyskane przez policję w śledztwie, czyli w więzieniu. Przed rozprawą podejrzani składali wyjaśnienia, a świadkowie zeznawali — w zamknięciu i w izolacji, mieli nie spotykać się ani z osobami, ani z informacjami niepowołanymi. Nie tylko wszystkich oskarżonych, ale także najważniejszych świadków przywożono na rozprawę z więzienia. Policja najwyraźniej uważała, a prokuratura i sąd dzieliły to przekonanie, że bez uwięzienia nie otrzyma się zadowalających wyników, tekstów nadających się do przedstawienia na rozprawie: ułatwiających skazanie oskarżonych i nadających się do cytowania korzystnego propagandowo dla władz.

W więzieniu byłem po raz pierwszy przez cztery miesiące latem 1968 roku. Prokurator („przedstawiciel urzędu prokuratorskiego”) oświadczył mi w Pałacu Mostowskich (Stołecznej Komendzie MO), że jestem podejrzany o „organizowanie zgromadzeń na tere-

nie uczelni warszawskich". Z racji tego podejrzenia aresztowano mnie, co dodatkowo uzasadniano „obawą matactwa”. Zostałem zwolniony (bez procesu) widocznie wtedy, kiedy ta obawa ustała. Ale następnie jakby pojawiła się znowu, bo rok później aresztowano mnie pod tym samym zarzutem i z tym samym uzasadnieniem. Wyrażenie „obawy matactwa” oznaczało, że policja i prokuratura miała nadzieję uzyskać informacje w więzieniu. Jednak ze względu na ten cel przetrzymywano mnie niepotrzebnie.

W środowisku akademickim w Warszawie było kilka fal aresztowań, głównie studentów, w marcu 1968 roku. Najpierw w pobliżu 8 marca, bezpośrednio przed wiecem uniwersyteckim i po nim. Pod koniec marca aresztowano członków komitetów studenckich. Było sporo aresztowań aż do czerwca. Mnie aresztowano w maju, wypuszczono we wrześniu. Na przesłuchaniach pytano mnie o demonstrację po ostatnim przedstawieniu „Dziadów” w Teatrze Narodowym 30 stycznia, o wiec 8 marca, o deklarację ruchu studenckiego z 28 marca. Pytania, jak mogłem przypuszczać, brały się z odpowiedzi innych osób, często przed pytaniem cytowano zeznania. Był to pierwszy pobyt w więzieniu. Drugi nastąpił rok później.

Z odtworzenia dat wnioskuję, że 27 maja 1969 roku zamknięto mnie na 48 godzin w znanym mi już Pałacu Mostowskich. Mówił wtedy do mnie i próbował uzyskać jakieś odpowiedzi policjant z wąsikami, przypominający Bolesława Bieruta. Bierutopodobny funkcjonariusz nie tracił nadziei. Wiarę w porozumienie (jeszcze wtedy to słowo nie było tak modne jak dziś) wyrażał zwrotem: — Domówimy się. Pierwszy raz usłyszałem ten czasownik. Później zrozumiałem, że rosyjski odpowiednik — i zapewne wzór — brzmi *dogovorimsja*. Następnie znalazłem to wyrażenie w jednym z protokołów przesłuchań jako pochodzące niby od osoby przesłuchiwanej: „domówiliśmy się, że”. Było podane nazwisko przesłuchującego. Mnie się nie przedstawił, ale myślę, że to ten. Ów Bierut twierdził w Pałacu Mostowskich, że przesłuchiwał Cata-Mackiewicza i że Cat miał koncepcje polityczne. Był więc funkcjonariuszem spostrzegawczym, a przy okazji najwyraźniej chciał wiedzieć, czy i ja też może mam jakieś ciekawe koncepcje.

Z Pałacu Mostowskich zwolniono mnie na jeden dzień. 30 maja byłem poza pomieszczeniami policyjnymi, choć zapewne pod obserwacją. W sobotę, 31 maja przewieziono mnie z Pałacu Mostowskich od razu do więzienia na Rakowiecką, gdzie w celi zastałem jako współlokatora znanego mi już z zeszłego pobytu pana G., przedsiębiorcę od sweterków, krążącego kiedyś między Francją a Polską. Spytany na rozprawie sądowej, po co właściwie

przyjechał z Francji do Polski, odpowiedział: — Proszę sądu, ja się sam siebie pytam, po co ja przyjechałem. Pan G. przypuszczał, że przez prawie rok, kiedy się nie widzieliśmy, nie opuściłem pawilonu. Cel w pawilonie MSW (wtedy nosił numer 12, później 3) jest tylko kilkadziesiąt, więc nic dziwnego, że znowu się spotkaliśmy.

Więźniowie mieli prawo do dwóch lub trzech książek tygodniowo, był obszerny katalog, z którego sygnatury wypisywało się w nadmiarze i można było dostać książki zamówione lub inne. Nic pewnego. Ale szansa trafienia zwiększała się, gdy współlokatorzy użyczali swoich kart i gdy wpisało się sygnatury na kilku kartach (korzystając z uprzejmości współwięźniów, brałem udział w tej grze statystycznej). Książki były poważne, ciekawe i było ich sporo: numery w katalogu przekraczały 20 tysięcy. Podczas pierwszego pobytu nie dostałem niektórych dzieł zamówionych, niektórych nie skończyłem czytać (z więzienia śledczego wychodzi się nagle i trudno planować pobyt). Mogłem wrócić do przerwanych lektur, korzystając z tej samej biblioteki. Nie wiedziałem zresztą, że słowo pisane będzie w tym wszystkim tak istotne: akta śledztwa, a później sprawa sądowa dotyczyły głównie książek i artykułów oraz ich wędrówek z rąk do rąk (również przez granice państw). Była mowa o literaturze, wydawnictwach i czytelnictwie. W aktach mogłem przeczytać, kto gdzie co pisał na maszynie, i jakie artykuły kto komu wręczył.

Rzeczywistość, o której mówiło się na rozprawie, należała więc do szerokiego pola literatury, obejmującego powstanie tekstu, jego upowszechnienie i odbiór. Bardzo istotny był w tym wszystkim cel: czy pisano artykuły i przenoszono książki „w celu działania na szkodę państwa polskiego”. W sprawach sądowych jakąś rolę odgrywają — albo powinny odgrywać — przepisy karne, a właśnie o celu działania mówił artykuł 5 tak zwanego małego kodeksu karnego. Ten niby prowizoryczny dekret obowiązywał dwadzieścia kilka lat (od czerwca 1946 roku do końca roku 1969), służąc głównie do karania przeciwników lub domniemanych przeciwników władzy w Polsce. Jeśli wspomniany cel antypaństwowy było się w stanie oskarżonym przypisać, to może miało się do czynienia z naruszeniem przepisu i z groźnym przestępstwem, o którym mówił mały kodeks karny.

Ale czy rzeczywiście przenoszenie, ruch książek i artykułów mógł zaszkodzić tak poważnej organizacji jak państwo (polskie lub jakieś inne)? Czy i jak można czyjs cel udowodnić? Czego trzeba dowodzić: istnienia zamiaru, chęci, czy nastąpienia skutku? Czy działać „w celu” to znaczy coś planować, dążyć do czegoś

(nawet gdy się nie planuje), czegoś pragnąć (nawet gdy się nie dąży), czy po prostu coś osiągnąć? Czy po to, aby cel ustalić, trzeba o to spytać? I kogo — delikwenta czy inne osoby? Czy jest prawdą, że mało kto wie, w jakim celu działa (jak często twierdzili psychoanalitycy)? Nie są to rozważania całkiem abstrakcyjne, bo ów artykuł 5 małego kodeksu karnego przewidywał karę od (*od*, a nie *do*) pięciu lat więzienia za „wejście w porozumienie w celu działania na szkodę państwa polskiego” i z tego artykułu oskarżano cztery osoby (w tym mnie). W dodatku ten artykuł, mówiący o państwie polskim, skłaniał, by zastanowić się nad tym, co to jest państwo polskie, czy na przykład sprawdzianem polskości państwa nie jest to, że *nie mogą mu zaszkodzić polskie* — a może nawet i inne — książki i artykuły.

Ważne było, czy PRL jest państwem polskim. Gdy w latach czterdziestych układano mały kodeks karny, nie było jeszcze PRL. Kiedy w roku 1944 przyjezdni działacze tworzyli z sojusznicznym poparciem nowe państwo na ziemiach polskich, postanowiono posłużyć się przedwojenną nazwą Rzeczypospolitej Polskiej. PRL pojawiła się na początku lat pięćdziesiątych (w roku 1952) i uwzględniono jej istnienie w zmienionym kodeksie karnym, obowiązującym od 1970 roku. Ale w procesie „taterników” oskarżano z dawnego przepisu, w którym nazwa PRL nie występowała (prawnicy zwykle uważają, że aby czyn był przestępstwem, powinien być zabroniony wtedy, kiedy się go popełniło), więc gdyby nawet oskarżeni chcieli zaszkodzić PRL, można ich było skazać tylko wtedy, gdyby się tę chęć udowodniło oraz jeśli uznało się PRL za państwo polskie i przy tym takie, któremu wspomniane podczas procesu książki i artykuły rzeczywiście mogłyby zaszkodzić.

O przepisie, z którego byłem oskarżony, mówiłem na sali sądowej. W oczy świeciły mi reflektory telewizji, taśma z nagraniem może się zachowała, ale nie słyszałem, aby ktokolwiek ją oglądał. Swojej niewinności nie dowodziłem, mówiłem, że wystarczy mi, że prokurator, uzasadniając oskarżenie, nie dowiódł mojej winy. W śledztwie nie widziałem powodów, aby się wypowiadać, chociaż mnie do tego namawiano, więc w aktach znalazłem tylko cudze zeznania. Na podstawie akt mogłem śledzić drogi maszynopisów, o których mówili oskarżeni i świadkowie. Niektóre relacje pamiętam, bo mnie ciekawiły. Myślę na przykład, że jedenastostronicowy tekst, o którym Jan K. twierdził, że dał go Maciejowi W., nie przekroczył żadnej granicy, chyba że w innej kopii. Kopia, którą miał Maciej W. utknęła u Marii V., która była świadkiem korzystnym dla oskarżonych, bo kończącym bieg przedmiotów. Tak zeznawano kiedyś w sprawach o broń: *iks*

mówił, że dał igrekowi, igrek że zetowi, a zet kończył sprawę i mówił, że wrzucił broń do rzeki. Trudniej było wtedy sprawdzić, czy broń w ogóle istniała. Tu jednak nie chodziło o broń, ale o tezy w punktach, z których później powstała książka o ustroju w Polsce i jego zmianach, wydana w 1975 roku w Bibliotece *Kultury*. Widać więc, że proces miał coś z *Kulturą* wspólnego.

A co ja miałem z *Kulturą* wspólnego? Czytałem ją w szkole. Była połowa lat pięćdziesiątych, niedawno ukazał się „Zniewolony umysł”. Jeszcze o Miłoszu nie pisał w *Nowej Kulturze* Zygmunt Kałużyński, ale już pisał Gombrowicz we „Fragmentach z dziennika” (jeszcze nie było wiadomo, że z tych „Fragmentów” powstana książka). Chodziłem do szkoły na Rakowiecką, nazywała się „Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca stopnia licealnego imienia Tadeusza Reytana w Warszawie”, ale było to także „VI Państwowe Gimnazjum imienia Tadeusza Reytana”. Nie wiem, czy i czym różniło się wtedy gimnazjum i liceum. Szkołę od ulicy oddzielały grazy, później na ich miejscu wybudowano dom, a kiedy byłem po maturze, gimnazjum się przeniósło. Z domu do szkoły było blisko, tak jak do więzienia. Nauczyciele byli dobrze wykształceni i kompetentni, wtedy zresztą wszyscy dorośli byli przedwojenni. Historyk nie lubił podręczników historii. Byłoby źle, gdyby ktoś doniósł o jego antypatiach. Historyk przestał nas uczyć i nie wiem, dlaczego (później jednak znów pojawił się w szkole). Przed klasówką mówił: — Podręczniki możecie panowie mieć otwarte. — Nauczyciele nieczęsto zwracali się tak do uczniów. — Jeśli ktoś nie ma ambicji i chce dostać najwyżej trzy plus, proszę bardzo, możecie spisywać.

Książki Instytutu Literackiego i *Kulturę* mogli w szkole pożyczać innym ci, których rodzice mieli dobry dostęp do słowa drukowanego. Nie słyszałem, aby wśród rodziców byli partyjni, chociaż byli wśród nich redaktorzy, dyrektor teatru, poseł katolicki (posłowie katoliccy byli również przed 1957 rokiem). Dwóch kolegów skończyło prawo, a jeden z nich napisał pracę (chyba doktorską) o przestępstwie kierunkowym. Mówiliśmy o tej pracy w dziesięć lat po maturze, kiedy umiałem coś powiedzieć o tym, jak rozmaicie można rozumieć cel. Przed maturą wiedziałem, że słowo drukowane bywa niebezpieczne, ale bez przesady. Miłosza i Gombrowicza czytałem jednak wcześniej niż mały kodeks karny, a miesięcznik w kolorowych okładkach z jońską kolumną i książki z tytułami pisanymi antykwą, jeszcze bez szarej siateczki jako tła liter, nie kojarzyły mi się z groźnymi sformułowaniami kodeksu.

Kiedy po raz drugi znalazłem się w więzieniu ostatniego dnia

maja 1969 roku, wiedziałem już, że jest to miejsce zbierania materiałów śledczych. Prokurator przedstawia zarzut — przedstawiono mi ten sam zarzut co przed rokiem — ale główną sprawą jest umieszczenie delikwentów w więzieniu, aby policja miała do nich łatwy dostęp. Uwięzionych można do woli wzywać na przesłuchania i zobaczyć, co z tego wyniknie. Dla mnie wyniki najpierw przeszło roczny pobyt przed procesem w więzieniu w Warszawie, a po procesie znów przeszło rok w Strzelcach Opolskich. To właśnie są jedyne miasta, w których w Polsce mieszkałem. Warszawę znam, chciałem i lubiłem poznawać. W czerwcu 1971 roku wróciłem z więzienia od razu pociągiem do Warszawy i Strzelec Opolskich nie znam w ogóle.

Mówiłem o świadkach kończących bieg przedmiotów. A jak ten bieg się zaczął? W aktach sprawy przeczytałem, że 21 maja 1969 roku rano samochód marki Citroën z dwójką pasażerów przejechał granicę między NRF a Czechosłowacją. Celnicy czechosłowaccy zarekwirowali około 150 książek po polsku i długo pisali pokwitowanie — kilka godzin. Niektórych książek podobno w samochodzie nie znaleziono, były przykryte. Później policja wpadła na trop osób, z którymi pasażerowie samochodu spotykali się w Pradze i na Śląsku Cieszyńskim. Po pięciu dniach spotkań, 26 maja rano, dwójkę pasażerów, których po kilku miesiącach miałem po raz pierwszy zobaczyć na sali sądowej, policja czechosłowacka aresztowała w Starym Smokowcu. Na Łysej Polanie przekazano ich przybyłym w międzyczasie (a więc zawiadomionym wcześniej) funkcjonariuszom SB z Warszawy. Na protokole przekazania aresztowanych jest, o ile pamiętam, podpis majora Op., który w 1968 roku podpisywał protokoły stwierdzające, że „podejrzany (to znaczy ja) nie odpowiada i milczy”.

Od lutego 1969 byli już w więzieniu czterej pracownicy Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej. Policja, robiąc rewizję, przyłapała ich akurat na sporządzaniu — być może w celu rozpowszechniania (tego słowa używano w groźnych przepisach karnych) — fotograficznych odbitek tekstów, które, jak oświadczyli, otrzymywali od Małgorzaty Sz. Pod koniec marca 1969 roku, dla dobra śledztwa, aresztowano również Małgorzatę Sz., a w dziesięć miesięcy później umieszczono ją na ławie oskarżonych.

Pasazerka Citroëna miała przy sobie list redaktora *Kultury* Jerzego Giedroycia, z prośbą by listu nie zgubiła. Nie zgubiła (prośbom i pomysłom z listu poświęcono dziesięć stron w uzasadnieniu wyroku). Maria T. miała też kalendarzyk z nazwiskami i telefonami, których posiadacze trafili wkrótce do więzienia na Rakowieckiej. Nie byłem wśród wpisanych, ale był Krzysztof Sz., wzywany już poprzednio na przesłuchania, podczas których nie-

kiedy coś zeznawał, a niekiedy zeznania odwoływał. Mówił też, kto odradzał mu zeznawanie, a później złożył oświadczenie, że doszedł w więzieniu do przekonania, że nie jest możliwy system pośredni między kapitalizmem a socjalizmem. Aby tę sprawę roztrząsać, trzeba by to i owo zdefiniować. Niemożliwość może wynikać z wybranych definicji, ale jeśli definicje nie przesądzają sprawy, nie jest tak łatwo niemożliwość udowodnić. Systemy pośrednie (w jakim sensie, między czym a czym?) to ewentualnie rzecz do dyskusji, ale nie myślałem, by był to dobry temat oświadczeń z więzienia lub rozmów więźnia z przesłuchującymi go policjantami.

Przesłuchiwany w więzieniu, jeden ze świadków z kalendarzyka opowiedział, że otrzymał ode mnie tekt o zachowaniu się na przesłuchaniach i o prawach i interesach osób przesłuchiowanych, polegających na tym, że można i jest korzystne udzielać minimum informacji. Iks zeznał więc, że igrek pisał, że niekoniecznie trzeba zeznawać. Nie świadczyło to dobrze o moich umiejętnościach pedagogicznych.

Oskarżenie zbudowano z kamyczków, o których na podstawie akt można dowiedzieć się, z czyich zeznań pochodzą. Takie kamyczki miały czasem dłuższy lot. W rozpowszechnianej w latach osiemdziesiątych (w bocznym obiegu) broszurze o knowaniach wolnomularskich (*Grabarze Polski*) znalazłem listę studentów-uczestników zebrania zlikwidowanego w 1962 roku Klubu Krzywego Koła, ważnego forum wymiany wolnych słów i myśli. Lista, jak zwykle takie listy, jest dość przypadkowa; w tym sensie jednak była nieprzypadkowa, że bardzo zbliżona do podanej w jednym z zeznań z akt mojej sprawy. Z tego zeznania Klub Krzywego Koła trafił do aktu oskarżenia, a wyliczenie nazwisk — do wspomnianej broszury. Zapewne nie bardzo to szkodziło, ale trudno z góry przewidzieć, co komu zaszkodzi, zwłaszcza w więzieniu. Poza tym, można tu na skromnym przykładzie zobaczyć, że informacje biorą się skądś.

Więzienie było rajem dla policyjnych kolekcjonerów informacji. Stanisław Lem pisał o informacyjnym potworze, którego w końcu zadusiły taśmy ze stale dostarczonymi informacjami (z tego widać, jak bardzo potrzebna jest selekcja). Ci, którzy układają akta sprawy (prokuratura i policja), mogą tam umieścić, co chcą. Nie ma zakazów ograniczających ich inwencję. Trafił tam rysunek mieszkania, w którym jedna z osób, jak twierdziła, spotkała się ze mną. Rysunek nie był policyjny, sporządziła go delikwentka w więzieniu — z dokładnością do położenia umywalni i kierunków otwierania się drzwi. Autorka rysunku nie przypominała sobie adresu mieszkania. Aby je mimo to odnaleźć,

wyprawiono ją samochodem pod eskortą z więzienia, skąd wskazywała drogę. Ta wędrówka nie tylko pomogła policji ustalić, czy umywalnia była we właściwym miejscu, ale też że osobą w mieszkaniu był kto inny. Czasem policja nie była tak precyzyjna. Funkcjonariuszy z Krakowa wysłano na Rysy w celu wizji lokalnej (podobno ktoś tamteży nosił książki). Policjanci-turyści robili zdjęcia po drodze, ale zeszła mgła. Wrócili i w kolekcji zdjęć w aktach brak zdjęcia szczytu. Kto więc chce szczyt obejrzeć, musi sam wejść na górę albo zajrzeć do albumów. Były też w aktach wyjaśnienia osoby podejrzanej dotyczące ukrytych zapisów w kalendarzyku. Zapisy do niczego nie posłużyły, ale osoba, która je sporządziła, poinformowała o nich policję i podała sposób ich wywołania. Wtedy policja te notatki odczytała. Szkoda, że nie było tam nic ciekawego.

Pobyt w więzieniu śledczym ma sprzyjać wyciągnięciu od więźnia informacji użytecznych dla policji. To jest cel główny gry, której więzień zna tylko fragment. Jeśli jest ciekaw, próbuje swoją wiedzę wzbogacić na podstawie cząstkowych znaków (pytań na przesłuchaniach, fragmentów zeznań, które mu przesłuchujący odczytują, wiadomości od współwięźniów). Po jednej stronie jest instytucja, której żywymi organami są przesłuchujący, po drugiej — każdy z więźniów z osobna. Funkcjonariusze porozumiewają się ze sobą i wspólnie ustalają strategię. Porozumienie między więźniami jest minimalne. Funkcjonariusze odpowiedzialni za rozmieszczenie więźniów w budynku rozwiązują z mniejszym lub większym powodzeniem zadanie znalezienia minimum: jak zmniejszyć szanse sąsiedztwa osób, między którymi mogłyby przepłynąć użyteczne dla nich informacje. Więźniowie w pawilonie są tematem układanki. Tego, kto nie zeznaje, zwykle nie umieszcza się z przyszlými głównymi świadkami. Często dają się do celi starszego więźnia (po wyroku, ale wzywano na przesłuchania), który przekonuje, że zeznawanie jest w interesie delikwenta.

Ewolucja spraw śledczych i sądowych nazywanych w PRL politycznymi to temat na osobne opracowanie. W latach sześćdziesiątych łapano poszczególne osoby, o których policja zdecydowała, że należy wymierzyć im sprawiedliwość, czyli karę (rozdział władzy wykonawczej i sądowniczej uważano za przestarzały i nie-realny). Oprócz ukarania krnąbrnej osoby, mówiącej lub piszącej to, czego nie trzeba i porozumiewającej się z innymi, celem spraw politycznych było oddziaływanie szersze, odstraszanie, nazywane *prewencją ogólną*. Reklamowane przez władze procesy polityczne miały za cel przedstawienie ludzi niepodporządkowanych i dających poznać innym swoje niepodporządkowanie — jako niegodziwców, a wartości, które im przyświecały, proces taki miał

przyczernić. Po umieszczeniu przysiężnych podsądnych i świadków w więzieniu, policja nakłaniała ich do rozgadania się — w przesłuchaniach, których rezultaty notowano i z nich wynikała sprawa sądowa, cicha, jeśli chodziło tylko o wyrównanie rachunków z przestępcą, lub głośna, jeśli zdołano zebrać w śledztwie materiały użyteczne do wykorzystania propagandowego.

W śledztwie przesłuchujący wyłudжали informacje w rozmaity sposób. Na przykład w myśl zasady, że zagrożenie większym prowokuje, by przyznać się do mniejszego („ja nie zabiłem, ja tylko kradłem”). Przesłuchujący oświadczał: — Przecież to sprawa szpiegowska i w dodatku wchodzi w grę przemyt. Przesłuchiwany bronił się: — Ależ skąd, myśmy tylko przynosili książki. Przesłuchujący: — No to musi pan dokładnie opowiedzieć, bo nie wiem, czy sąd panu uwierzy.

Wykorzystywano ambicję, mówiąc na przykład: — Pan jest tu jedynym działaczem politycznym (konspiratorem, przeciwnikiem) z prawdziwego zdarzenia. Niech pan powie: o co wam naprawdę chodziło?

Inny sposób pobudzania ambicji: — Oni panu niczego nie mówili. Najważniejsze sprawy omawiali w swoim gronie. Założę się, że pan nie wiedział o kontaktach z dziennikarzami zagranicznymi. — Rzeczywiście, nie wiedziałem. — No, widzi pan, pana sprawa jest inna, wyjaśni pan nam parę szczegółów i już jest pan na wolności.

Więzień miał stać się egocentrykiem, żyjącym swoją sprawą i toczącym ważny dla siebie bój intelektualny z przesłuchującymi. Namawiano go, by się bronił. W czasie, gdy byłem w więzieniu, rzadko komu przychodziło do głowy, że ciężar dowodu jest po drugiej stronie. Dowodzenie czegokolwiek nie jest sprawą więźnia, jest odwrotnie: trzymanie ludzi w więzieniu wymaga uzasadnienia.

Jeśli ktoś chce przedstawić swoje poglądy polityczne, może napisać artykuł w bardziej sprzyjających warunkach. Jeśli ktoś chce wpływać na poglądy i upodobania funkcjonariuszy policji politycznej, może ich po wyjściu z więzienia zaprosić do domu. A jeśli się nie chce ich do domu zapraszać, to nie wiem, dlaczego miałoby się prowadzić z nimi rozmowy w więzieniu. Kiedy w Bibliotece *Kultury* ukazał się tom „Sąd orzekł...”, nie byłem zachwycony zamieszczonymi tam notatkami osoby raczej zadowolonej z tego, że celnie odpowiadała funkcjonariuszom SB i prowadziła z nimi ciekawe dyskusje polityczne.

Pierwsza, jak przypuszczam, policyjna wiadomość na mój temat pochodziła od kolegów. Usłyszałem od nich: — Powie-

dzieliśmy, że wpadliśmy na brydza i że ty też tam byłeś. Kogoś musieliśmy podać, a nikt by nie uwierzył, że cię nie znamy.

Jak mi mówił jeden z przesłuchujących, każdy ma jakiś guzik, trzeba tylko wiedzieć, gdzie nacisnąć. Wynik zależy między innymi od tego, jakie sposoby nacisku uważa się za dopuszczalne. Mnie martwiło, że w znajdowanie tych guzików nie trzeba było wkładać dużo trudu. Działały dość łatwo.

Pobyt w więzieniu śledczym, słuchanie przytaczanych fragmentów zeznań, a następnie lektura akt — nie nastawiały filantropijnie. Podobno rozum ludzki jest podzielony sprawiedliwie, bo ludzie nie uskarżają się na jego brak. Kiedy byłem w więzieniu, miałem podstawy, aby myśleć, że zbyt często nie jest najlepiej z rozumem i z charakterem.

Na procesie, w lutym 1970 roku, wysłuchałem znanych mi już z akt opowieści o przenoszeniu książek, wędrówkach tekstów i ich znaczeniu. Świadkowie, w większości sprowadzeni z więzienia, czasem chcieli coś w swoich zeznaniach zmieniać lub je odwoływać. Wtedy odczytywano i uznawano za prawdziwe ich zeznania ze śledztwa. O mnie mniej więcej wyraźnie dwoje współoskarżonych zeznało, że pisałem artykuł „Nie o egalitaryzm chodziło”. Niepodpisany artykuł pod tym tytułem ukazał się w czerwcu 1969 roku w *Kulturze* (kiedy już byłem w więzieniu) i był polemiką na temat interpretacji ruchu studenckiego w marcu 1968 roku. Można przypuszczać, że to był tekst, który mieli na myśli współoskarżeni. Dostałem 4 lata, złagodzone na podstawie amnestii do 2 lat i 8 miesięcy. Z więzienia wyszedłem w 1971 roku.

2. LEKTURY

Czytałem nie tylko *Kulturę*. Opiszę, co czytałem i co może być interesujące dla kogoś, kogo ciekawia zmiany świadomości i wychowawcze wpływy przedmiotów, na przykład książek.

W dwu domach ocalały dwie biblioteki. W Warszawie nie było to częste, bo książki palą się jeszcze łatwiej niż meble i domy. Ale książkom sprzyja to, że meble dają jednak trwalszy ogień, więc książkami rzadziej pali się w piecu, ukradnie je bibliofil, ale zwykły złodziej zrzuci tylko na podłogę. Książki, do których mogłem zaglądać, odkładały się głównie w dwudziestoleciu Polski niepodległej, tylko kilka było dawniejszych. Warszawskość mojej rodziny była niedawna, mój ojciec urodził się w Petersburgu, gdzie jego ojciec kończył politechnikę, moja matka urodziła się w Mitrofanówce w guberni kijowskiej. Rodzina mojego ojca była już na początku wieku w Łasku, a później w Łodzi, gdzie mój dziadek był architektem. Gdy w czasie pierwszej wojny światowej Niemcy szli na wschód, mój dziadek Franciszek Karpiński (którego nie znałem, zmarł w 1932 roku) projektował mosty głębiej w Rosji. W roku 1918 wrócił, chroniąc przed zrewoltowaną Rosją troje dzieci, żonę i siebie. Rodzina mojej matki też przemieściła się w granice powstającej Polski — po wybuchu pierwszej wojny światowej i rewolucji rosyjskiej. Obydwie rodziny znalazły się w końcu na tyle na zachodzie, by było to także w granicach obecnych. W czasie następnej wojny i bezpośrednio po niej było jeszcze więcej podobnych podróży. Ale na moją rodzinę wędrówka na zachód przypadła o jedną wojnę wcześniej. Takie wędrówki nie stwarzały książkom dobrych okazji do przetrwania, więc na półkach w domu było mało książek sprzed pierwszej wojny światowej, ale te sprzed drugiej, z dwudziestolecia międzywojennego, przetrwały.

Historię i zmienność łatwo było doświadczyć ściągając książki

z pótek. Czas był widoczny. W wielotomowej encyklopedii Orgelbranda z przełomu wieków na mapie Afryki prócz kolonii angielskich i francuskich widniały niemieckie. Ryciny pokazywały poprzednią nowoczesność: maszyny parowe i turbiny elektryczne. Opisywano szczegółowo polskie herby szlacheckie, wyliczając odmiany i rodziny danego herbu, ale w sprawach historii Polski rozpoznawało się niedopowiedzenia, które wyjaśniał napis cyrylicą na odwrotnej stronie karty tytułowej: *Dozwolieno cenzuroju*. Obok *min niet*, były to jedne z pierwszych słów, które przeczytałem po rosyjsku.

Inną epokę biblioteczną otwierały zachowane książki mojego stryja. W czasie okupacji wklejono w nie ekslibrisy (zaprojektowane przez Tadeusza Przypkowskiego) z czarnym krzyżem i płomieniem, z napisem: „Z książek pozostałych w Warszawie po Światopełku Karpińskim”. Były wśród tych książek poezje Skamandrytów z czasów, kiedy nie dzielili się na krajowych i emigracyjnych, przechowały się wycinki z *Wiadomości Literackich*, roczniki *Skamandra* z kolumnami i profilami greckimi na okładkach (graficy, którzy projektowali okładki, wiedzieli, że tytuł pisma wziął się z Grecji), ale w *Skamandrze* drukowano też reprodukcje ekspresjonistycznych drzeworytów Fransa Masereela ze scenami z Paryża i paniami z rue Blondel. W szopkach politycznych, najpierw Tuwima, Słonimskiego i Lechonia, później pisanych przez mojego stryja z Januszem Minkiewiczem, występowały osoby nieznane ze szkoły: Wacław Sieroszewski, Walery Sławek, Stanisław Car, bracia Janusz i Wacław Jędrzejewiczowie. Postacie, do których można było nabrać sympatii, bo wzbudzały uśmiech i nie spychano ich od razu do piekła (ton nieznany gazetom w czasach, gdy te szopki czytałem).

Jeszcze inny czas pokazywało wileńskie wydanie poezji Mickiewicza z księgarni Józefa Zawadzkiego z dedykacją dla Marii i Zofii Malewskich. Zofia była babką mojej babki, miniaturowy portret jej brata Franciszka wisiał na ścianie. Duży portret jego ojca, Szymona, rektora uniwersytetu, zabrali czerwonoarmiści lub rodzimi szabrownicy z mieszkania na Bacciarellego, gdy zimą 1945 roku jeszcze niełatwo było wjechać do Warszawy. Mieszkanie też zabrano, bo przy Belwedérze — w granicach zbliżonych do okupacyjnej dzielnicy niemieckiej — powstała po wojnie dzielnica nowych ludzi władzy, ogrodzona szlabanami. Na odcięte poprzednio ulice Klonową i Bacciarellego można było wejść dopiero po październiku 1956 roku.

O historii — co może komuś wydawać się dziwne — mówił *Przekrój*. We wczesnych latach pięćdziesiątych, gdy żył jeszcze Józef Stalin, byłem w szkole podstawowej. Babcia nie wyrzucała

Przekroju i dzięki temu przenosiłem się w epokę oddaloną o kilka roczników pisma, w lata czterdzieste, które bez *Przekroju* znałbym wtedy mniej dokładnie. Sterta numerów była w schowku-składziku (była to duża szafa lub mały pokój, magazyn rzeczy rozmaitych, niepotrzebnych na co dzień, świąt, w którym dzieci lubią być i go badać). W dawnych numerach *Przekroju* można było znaleźć artykuły z reprodukcjami malarstwa surrealistów, zdjęcia z filmów amerykańskich, Pchłę Szachrajkę na Ziemniach Odzyskanych, „Zieloną Gęś”, której autor robił dziwne żarty, zwalczał romantyczne ideały i nawoływał do lektury Osmańczyka. Rysunki z *New Yorker'a* obok Augusta Bęc-Walskiego, reprezentanta „reakcyjnego ziemiaństwa” (miał to być hrabia, który popierał PSL). Na zdjęciach więźniowie w pasiakach wieszali zbrodniarzy niemieckich z obozu w Stutthofie, Bierut słuchał mszy świętej. W odcinkach drukowano „Pamiętniki Bywalca” Zaruby z opowieściami o Witkacym, Lechoni i o warszawskiej cyganerii malarskiej. „Café 'Pod Minogą'” Wiecha: patriotyczny entuzjizm, gdy wojna się zbliżała i gdy wybuchła, później konspiracja i handel, Murzyn Jumbo, nie mając pewności, kogo dokładnie dotyczą wprowadzone przez Niemców prześladowania rasowe, zasłonięty woalką ukrywał się jako wdowa Czarnomordzik, uciekinierzy z Warszawy po powstaniu korzystali z gościnności hrabiego Mokrobrodzkiego w majątku Koziedubki (konieczność przez b; my po powstaniu byliśmy pod Warszawą w Ojrzanowie).

Z „Café 'Pod Minogą'” nakręcono później film, w którym Murzyna Jumbo grał kolega studiujący socjologię w Warszawie — Drawi Mokpokpo. Na liście studentów były słowa: Drawi Mokpokpo Togo (sekretarka chyba nie mogła się zdecydować, gdzie nazwisko się kończy). O okupacji i okresie bezpośrednio powojennym można było w kilkanaście lat później przeczytać „Sławę i chwałę” Iwaskiewicza. Na początku lat pięćdziesiątych „Sławy i chwały” jeszcze nie było, ale dzięki zachowanym *Przekrojom* mogłem czytać Wiecha.

Zbierane w szkole podstawowej znaczki pocztowe też wcześniej dostarczały wiedzy o przemijaniu: polskie znaczki przedwojenne przedstawiały postacie, których fotografie trudno było znaleźć. Kiedy zbierałem znaczki, do wizerunku miał prawo bohater pozytywny, fotografia oznaczała aprobatę. Bohaterami negatywnymi zajmowali się karykaturzyści, dodając wysmiewanym postaciom ociekający krwią topór i worek z dolarami. Aby było wiadomo, co jest w worku, wypisywano na nim podwójnie przekreślone S (bywało też podwójnie przekreślone L; karykaturzyści i ich bohaterowie cenili sobie również funty).

Początkujący filatelista mógł zobaczyć, że niektóre republiki radzieckie jeszcze nie tak dawno wydawały znaczki samodzielnie. To był wzór: najpierw osobno, później razem. Znaczki mówiły, że Azerbejdżan posługiwał się alfabetem arabskim, później łacińskim, wreszcie cyrylicą. Dlaczego, co to znaczyło w szkołach i jak wpływało na możliwości czytania książek? Używająca (na znaczkach) łacińskiego alfabetu Tuwa wydawała trójkąty i romby. Prawdopodobnie ich sprzedaż za granicą miała być źródłem dewiz, dużo tych różnokształtnych znaczków było w sklepach i sklepikach filatelistycznych (oglądałem wystawy). W czasie drugiej wojny światowej Tuwa gdzieś się zapodziała. Była jeszcze na zachowanej niemieckiej mapie ale kiedy się ten kraj znalazło, widać było, że Niemcom, Włochom i nawet Japończykom trudno było tam dojść. Gdy zaczynałem zbierać znaczki (wcześnie, około roku 1948) ukazywał się *Przegląd Filatelistyczny*, który był jedną z moich pierwszych lektur. Wkrótce przestał wychodzić i to był niejasny znak jakichś ograniczeń. Później mogłem sprawdzić, że w latach 1949-1950 przestało wychodzić wiele innych pism.

Poczta Polska w roku 1948 wydała znaczek z Rooseveltem, drukowany w Szwajcarii i, jak odnotowywały fachowe pisma, sprzedawany przede wszystkim za granicą. Na arkuszu dołączano do znaczków napis: „Bojownicy o wolność i demokrację”. Nie przypuszczam, abym wtedy wiedział, o czym mówił Roosevelt ze Stalinem w Jałcie (może dlatego został zapisany do symbolicznego ZBoWiD-u). Ale można było odczuć, że już po roku żadne zasługi nie wystarczyłyby do umieszczenia amerykańskiego prezydenta na znaczku pocztowym w Polsce. Znaczek szybko stawał się zabytkiem, informacją o zmienności obyczajów. Po pierwszej wojnie światowej znaczki polskie były najpierw w koronach, halerczach, markach i fenigach. Sumy w markach na początku lat dwudziestych rosły, w roku 1924 pojawiły się złote i wzrost cen znaczków się zatrzymał. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych największe nakłady miały znaczki z podobizną Bolesława Bieruta (nosił tytuł prezydenta). Wkrótce trzeba mu było na wąsach nastemplowywać nadruk „groszy” (złote zmieniono na grosze). Znaczki mówiły o gospodarce.

Znaczki były też obrazem krajów. Niezbyt ciekawych znaczków radzieckich raczej się nie zbierało, chociaż nowe znaczki radzieckie, tak jak polskie, można było kupować w abonamencie (ta dostępność była świadectwem bliskości i związków ze Związkiem Radzieckim). Znaczki wydawała najpierw rosyjska republika federacyjna, później pojawił się skrót CCCP. Lenin żałobny, następnie ze Stalinem, praca, lotnicy, wojna, ordery. Znaczek z hasłem „Za ojczyznę, za Stalina!” pozwalał dowiedzieć się, że *rodina*

to nie rodzina. Od Lenina do Stalina zmieniał się styl rysunku i liternictwo: wczesne Leniny rysowano konturowo, upraszczając rysunek. Później graficy byli dokładniejsi, ważne postacie rysowano „jak żywe”.

Nie znałem wtedy znaczków upamiętniających przyłączenie do ZSRR *zachodniej Ukrainy* — nazywanej przedtem Galicją, Małopolską Wschodnią i Wołyniem, i *zachodniej Białorusi* — nazywanej Nowogródzczyzną i Polesiem (Wileńszczyznę przyłączono do ZSRR później, razem z Litwą, listy od mojego stryja z Wilna z lat 1939/1940 miały znaczki litewskie). Zbierałem znaczki wydawane przez jeden z tworców pośrednich, państwo-podobnych, na ziemiach polskich: Generalną Gubernię. W serii poświęconej dystryktom był Lwów, znany też jako Lemberg, który z początku nie był w Generalnej Guberni, a później znowu znalazł się gdzieś za granicą. Oglądanie znaczków zachęcało do szukania informacji i otwierało inny świat niż podręczniki szkolne i gazety; uzyskiwało się wiedzę nieprzewidzianą w programie i nieschematyczną.

Na Nowowiejskiej, niedaleko placu Zbawiciela, mieściła się firma filatelistyczna Kazimierza Gryżewskiego, której katalog był podręcznikiem historii Polski. Pierwszy znaczek, z orłem dwugłowym, miał wartość wypisaną dwoma alfabetami: 10 kopiejek. Przedmiotem kontemplacji (tak jak i pierwszy znaczek, było za drogie) było często fałszowane wydanie krakowskie: nadruki „Poczta Polska” na znaczkach austriackich. Ich autentyczność potwierdzał ekspert, Stanisław Mikstein, prowadzący w *Przekroju* rubrykę filatelistyczną; pisano też o fałszowaniu stempelków gwarancyjnych Miksteina. Wśród znaczków niepaństwowych były wydania poczt miejskich i poczty polowej AK z Powstania Warszawskiego. W sklepie były też znaczki obozowe z Murnau i Drugiego Korpusu z napisem „Poczta osiedli polskich w Italii” i mapą Polski w granicach przedwojennych. O słuszności ideowej znaczków nie było w katalogu mowy, zaznaczano natomiast, że o niektórych nie wiadomo, aby były w obiegu pocztowym, co dla filatelistów jest ważne. Nadruki świadczyły, że coś zmienia się gwałtownie: Generalna Gubernia rozpoczęła swoje edycje od nadruków na znaczkach niemieckich i od drukowania na znaczkach przedwojennych „wrony”, znanego z makulatury pookupacyjnej czarnego ptaszyska ze swastyką w ogonie.

Znaczki pocztowe były może dla mnie tym, czym dla współczesnych dzieci jest telewizja: wprowadzały w świat przez obraz uzupełniony napisem. Napisy na znaczkach były jednak ważniejsze niż w telewizji, poza tym znaczki miały wyraźny wymiar historyczny: pochodziły z różnych światów i można było odnaleźć ich daty.

Nie było telewizji. Aby zobaczyć film, chodziło się do kina. Myślę, że im ktoś młodszy, tym mniejsza szansa, że będzie wiedział, jaki był pierwszy film, który zobaczył. Dzieci współczesne oglądają telewizję od początku, kiedy uczą się mówić, i równie nie mogą pamiętać pierwszych filmów jak pierwszych rozmów. Pierwszym filmem, jaki widziałem, była angielska „Wielka nagroda” w kinie Polonia (później filmy zachodnie przestały się pojawiać). „Zakazane piosenki” wyświetlano w zmienianych wersjach, ulepszanych ideologicznie, ale było tam widać jakoś pokazaną Warszawę okupacyjną i Powstanie Warszawskie, tak jak w „Skarbie” — Warszawę tuż powojenną. Na początku lat pięćdziesiątych trafił czasem na ekran czeski film psychologiczny lub film włoski uznany za postępowy, to znaczy antykapitalistyczny (choć były czasem wątpliwości i dyskutowano, czy „Cud w Mediolanie” jest wystarczająco „realistyczny”). Ale rzeczywistość obrazową filmów z tamtych lat kształtowały filmy radzieckie, które właśnie odkryły kolor i mówiły o wojnie, życiu wiejskim i wielkich budowach. Pokazywano złote łany zboża, sute uczty w kołchozach i wysadzane w powietrze pociągi pełne żołnierzy Wehrmachtu. Kukły tych żołnierzy, ubrane w szare mundury, wylatywały z okien pociągu wśród wybuchów i na kolorowym tle płomieni i pól zbożowych.

Z literatury rosyjskiej (czyli radzieckiej) nakazywanej lub zalecanej jako lektura szkolna pamiętam tytuły. Nie wiem, które książki czytałem, a które przejrzałem. Może czytałem „Szość Wołokołamską” (Beka), a może „Dni i noce” (Simonowa). Wiem, że jeszcze w szkole podstawowej trafiłem na książkę nienakazaną i tę czytałem na pewno i wielokrotnie. Była to wydana przez „Naszą Księgarnię” bajkowo-senna popularyzacja matematyki: „Dwurogi czarodziej” Siergieja Bobrowa, książka, w której występowały stwory dziwne, takie jak Radix — pierwiastek, obawiający się kwadratu. Radix był drugiego stopnia i podniesiony mógłby zniknąć. Nakreślony jedną linią doktor Unikursal wyjaśniał elementarne zagadnienia topologii na przykładzie mostów w Królewcu, przez które należało przejść jednokrotnie, nie powtarzając dróg. Bohatera książki, Sieriożę, te istoty oprowadzały po świecie z pogmatwanym czasem i przestrzenią. Błażej Pascal mówił o swoim trójkącie liczb, użytecznym w algebrze. Dama z wypisaną literą s (suma postępu) wydłużała się i chudła, aż — rosnąc stale — zwijała się w poziomą ósemkę. Pojawiły się węże (rozciągnięte litery s), ale ich sprawa był tajemnicą, odsłoniętą tylko częściowo: węże znały rachunek całkowity. Grecy, w strojach należycie starożytnych, kroili stożek sera, tak, by można było pokazać — znane już w Grecji — własności krzywych stoż-

kowych. Książka miała krótkie zakończenie państwowotwórcze: chłopiec docenił matematykę radziecką, o której przedtem nie było mowy, był w krawacie i miał wstąpić na uniwersytet.

Inną książką, odsłaniającą matematykę był „Kalejdoskop matematyczny” Hugona Steinhausa. Można tam było przeczytać, że przyroda i ludzie stosują się do reguł i wzorów; te wzory są podobne, chociaż zjawiska są różne. Epidemie, którym coś zagradza drogę, moda lub linie kolejowe rozprzestrzeniają się zgodnie z krzywą logistyczną. Wzrost roślin i inne właściwości świata ożywionego, a w tym ludzi, jeśli od czegoś zależą podstawowo, ale są przypadkowo odpychane od tej zależności, mają częstość występowania zgodną z krzywą dzwonową Gaussa. Później dowiedziałem się, że matematycy wcale nie chcą mówić o świecie zwykłym, danym w doświadczeniu, o liniach kolejowych lub o słonecznikach. Mówią o światach możliwych. O świecie zwykłym mówią jakby przypadkiem, tylko wtedy i tylko o tyle, o ile ten świat spełnia nałożone przez nich warunki.

Znany nauczyciel matematyki z naszego gimnazjum, który wychował kilku matematyków, mnie nie uczył. W redagowanym przez starszych kolegów powielaczowym piśmie *Reytaniak* czytałem, czym różnią się zbiory nieskończone od skończonych — czy przypadkiem nie pisał tego późniejszy rzecznik „Solidarności”? Niestety matematyka szkolna, ta, z którą się zetknąłem, była mało poetycka i niezbyt teoretyczna, pomyślana głównie jako przygotowanie inżynierów-rachmistrzów w epoce przedkomputerowej: mało abstrakcji, dużo trygonometrii, szczegóły o równaniach drugiego stopnia i rachunki z pomocą tablic logarytmicznych.

W szkole podstawowej chodziłem do pracowni fizycznej w Młodzieżowym Domu Kultury (dawna YMCA), na Konopnickiej, Pałacu Kultury jeszcze nie było. W gimnazjum doświadczenia z fizyki i chemii na ogół się nie udawały i jeśli miałyby być eksperymentem, to nie potwierdzały teorii (w ten sposób teoria zależała od aparatury, co — jak później czytałem w marksistowskich podręcznikach — było godną napiętnowania ideą Poincarégo). Eksperymenty nieszczególnie wychodziły również w lepiej wyposażonej, gościnnej pracowni fizycznej w szkole Żmichowskiej, gdzie miejsce doświadczeń (szkoła żeńska) przykuwało uwagę uczniów w równym stopniu co niezbyt zauważalne wyładowania promieni katodowych (koedukacja upowszechniła się dopiero w czasach szkolnych mojego najmłodszego brata).

W mojej szkole średniej (a w każdym razie w mojej klasie) do przedmiotów traktowanych niezgodnie z programem, mianowicie lepiej, należały polski, łacina, historia i biologia. W jedynastej klasie doszła jeszcze logika, uczyliśmy się trybów sylogis-

tycznych, znaliśmy ich nazwy łacińskie i umieliśmy rysować koła Eulera. Religia zniknęła w szkole podstawowej, ale pojawiła się znowu w jedenastej klasie, w drugim półroczu. Jezuita, ksiądz Charytański, wybrał jako temat pedagogikę i etykę. Mówił nie tylko o chrześcijańskich uzasadnieniach etyki, ale także o etyce laickiej, niezależnej, między innymi o tekstach Tadeusza Kotarbińskiego i Marii Ossowskiej, autorów z wydawanej wtedy biblioteczki *Po prostu*. Zdarzyło się, że w sporej grupie uczniów przerwali wagary, by wrócić tylko na ostatnią lekcję: religii. Była ostatnia, bo nieobowiązkowa, ale nie chodził na nią z naszej klasy tylko mój kolega z ławki, Roger G., nieżyjący już od kilkunastu lat, z rodziny o tradycjach literackich i o przekonaniach ateistycznych. Na lekcjach biologii w jedenastej klasie omawiało się głównie budowę komórki i genetykę, do czego nie było podręczników, bo jeszcze niedawno genetyka była zwalczanym wymysłem burżuazyjnym. Oskarżenia o burżuazyjność nie zwracały uwagi na to, że na pomysł genetyki wpadł duchowny, Georg Mendel. Duchowni to jednak nie jest stan trzeci.

W jedenastej klasie byłem w roku szkolnym 1956/1957. Zmiany w Polsce umożliwiały wtedy podjęcie nowych tematów i łamały, ceniony oficjalnie, „jednolity front kształcenia i wychowania”. O jednolitości wychowania nie myślał, jak się okazało, ksiądz, ale, jak później mogłem przeczytać, jednolitość postulowali autorzy opracowanego na początku lat siedemdziesiątych „Raportu o stanie oświaty”.

Kiedy byłem w szkole, rosyjski był od piątej klasy przedmiotem obowiązkowym. Uczniowie dostępными sobie sposobami dawali do zrozumienia, że znajomości tego języka nie zaliczają do swoich najważniejszych potrzeb oświatowych. Nauczycielka rosyjskiego w naszym gimnazjum, kulturalna pani, dobrze znająca język, postanowiła, że nie będzie nas rusyfikować. Do matury niektórzy koledzy nie pozbyli się kłopotów z odróżnianiem liter, nazywanych — bez szacunku — krzeselkami. Na wypadek wizytacji umieliśmy na pamięć tekst zaczynający się od słów: *Narodnoje tworczestwo było anonimnoje*. Dostojewski w książce do rosyjskiego nie istniał, bo pisarze rosyjscy powinni być postępowi, a Dostojewskiego do obozu postępu nie zaliczano. Wiersz Puszkina do Mickiewicza urywał się tam, gdzie zaczynała się kłótnia i gdzie Puszkina napisał, co o Mickiewiczu myśli. Książki do historii powszechnej tłumaczono z rosyjskiego, pisali je słynni Kosminski, Jefimow, Gałkin, Zubok i jeszcze inni autorzy przesładowujący uczniów polskich w stalinizmie. Wieki średnie ciągnęły się do siedemnastego wieku. Reformacja, Szekspir i Rembrandt należeli do późnego średniowiecza. Historia nowożytna zaczynała

się od „angielskiej rewolucji burżuazyjnej”. Epoka nowożytna była przebudzeniem i Rosja nie mogła obudzić się dużo później niż inni, więc czasy nowoczesne trzeba było trochę przesunąć. O Rosji w podręcznikach historii powszechnej mówiło się niewiele, wiadomo było, że wcześniej zaczęła przekształcać się w „scentralizowane państwo wielonarodowe”. O Rosji można było się czegoś dowiedzieć głównie w sytuacjach dla Polski nieprzyjemnych, to jest wtedy, gdy Rosja wkraczała w historię Polski.

Nie uczyłem się angielskiego w szkole, ale przeglądałem podręcznik, w którym rozmawiali po angielsku polscy chłopcy, i to nie indywidualni, ale już współdzielczeni. Autorzy uznali zapewne potrzebę oddzielenia nauki języka od wiedzy o kulturze. Natomiast nie zdążono jakoś ułożyć heksametrów o *cooperatio agriculturalum*. Podręczniki do łaciny nie zmieniały się tak często jak do historii i wiersz o złotym wieku odnosił się do przeszłości, a nie do teraźniejszości lub świetlanej przyszłości. Przed maturą nauczyliśmy się „Gaudeamus” i nieznaney w starożytnym Rzymie ani w średniowieczu piosenki „O mi rosmarine acrescito” („O mój rozmarynie”). „Ułani wędrują” brzmiało *militēs procedunt*.

W dziewiątej klasie pisałem referat o unii polsko-litewskiej, od unii krewskiej do lubelskiej, w dziesiątej — o trzeciej części „Dziadów”. Czytałem dużo z literatury romantycznej: wychodził wtedy Byron, Kleiner wydawał pierwsze tomy „Dzieł wszystkich” Słowackiego. Staralem się jak najwięcej przeczytać przed dziesiątą klasą, to znaczy zanim literaturę romantyczną miało się czytać z obowiązku. Setną rocznicę śmierci Mickiewicza obchodzono uroczyście (był „rok mickiewiczowski”) i słuchałem na Uniwersytecie otwartego dla publiczności wykładu Juliana Przybosa. Te wykłady odbywały się, jak mi się zdaje, w budynku, w którym następnie mieścił się Wydział Filozoficzny, w miejscu, w którym później przez dziesięć lat czułem się u siebie.

We wczesnych latach pięćdziesiątych wznawiano nadających się do czytania autorów uznanych oficjalnie za realistów (jeśli nie byli socjalistyczni, uważano, że są krytyczni, i że to też jest dobrze jak na minioną epokę).. Aprobata obejmowała Balzaca i Stendhala w przekładach Boya-Zeleńskiego. Realistami nazywano zarówno Dickensa, jak i Halldóra Laxnessa, komunistę islandzkiego, który z jakichś powodów uzyskał nagrodę Nobla. O współczesnym Zachodzie pisał Zygmunt Kałużyński, którego „Podróż na Zachód” wydano w 1953 roku. Jego potępienia i złośliwości na temat „kultury burżuazyjnej” nie wydawały się najważniejsze. Dziś można przypuszczać, że autor wierzył w to, co pisał, ale wtedy myślałem, że ten autor, tak jak wielu innych, *musi*: musi powie-

dzieć jedno (to, co obowiązkowe), aby powiedzieć drugie (to, na czym mu zależy). Z lektury pozostawały wiadomości o istnieniu nieznanych w Polsce filmów i książek, zresztą zacząłem wkrótce chodzić do „Iluzjonu” — muzeum filmowego na Krakowskim Przedmieściu, gdzie później było kino „Kultura”. Inne lektury to między innymi Mrozek, którego „Półpancerze praktyczne” (z 1953 roku) wyróżniały się na tle: niby satyra, ale nie powielana i bez pogardy dla tych, których wyśmiewa. „Pegaza dęba” Turwima, z 1950 roku, czytałem w kilka lat po opublikowaniu. Był to przewodnik po dziwnościach poetyckich i językowych, trudnościach tłumaczenia, humorze abstrakcyjnym. Można było zobaczyć, co to jest styl w „Parodiach” Artura Marii Swinarskiego (z 1955 roku). Swinarski parodiował poetów od Słowackiego do Gałczyńskiego, a jego książka była szybko zauważonym przez uczniów jednym ze znaków „odwilży”.

We wczesnych latach pięćdziesiątych było jeszcze w Warszawie sporo antykwariatów prywatnych, kilka w okolicy Lwowskiej i Koszykowej, gdzie likwidowała swoje interesy firma Trzaska, Evert i Michalski. Sprzedawano niezszyte i nieoprawione książki, fragmenty wielkich serii wydawniczych, historii i literatury powszechnej, przez upaństwowienie wydawnictw zatrzymanych w pół drogi. Na Targowej wydawnictwem zlikwidowanym i zredukowanym do antykwariatu był Gebethner i Wolff. Krakowiacy mieli pod tym względem lepiej, przechowało się więcej książek, antykwariat na Sławkowskiej pamiętam jako bibliotekę-labirynt, ale i w Warszawie książki można było znaleźć. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, szukałem przedwojennych książek szpiegowskich, kryminalnych i sensacyjnych. Karola Maya wydaje się obecnie w Polsce, ale może nazwiska Maurycego Leblanca lub Antoniego Marczyńskiego też coś komuś mówią (Marczyńskiego wydawał Rój, na okładkach były pszczoły, na Lwowskiej trzeba było zapłacić około 25 złotych za książkę). Czytałem wtedy „Zbrodnię w Dzielnicy Północnej” Stefana Kisielewskiego. Powieść polityczno-kryminalna, wydana w 1948 roku, bywała w antykwariatach, tak jak inne produkty istniejących bezpośrednio po wojnie wydawnictw prywatnych.

Na początku jedenastej klasy byliśmy już prawie poważni i zdecydowaliśmy ze ściany portret Rokossowskiego, przepasanego szarfą (był to zapewne najwyższy stopień *Virtuti Militari*). Przedtem Rokossowski patrzył na nas rok w rok. Gdzieś między dziesiątą a jedenastą klasą czytywało się na pływalni Legii wydane właśnie opowiadania Hemingwaya i Hłaski, a w jedenastej klasie nie omawiane jeszcze na lekcjach, ale niedawno wydane „Obroty rzeczy” Białoszewskiego i „Ferdydurke” Gombrowicza (autor

objaśniał, że przetłumaczyło go zbiorowo sporo osób o hiszpańskich nazwiskach). Będąc w jedenastej klasie, byłem dwa razy w Teatrze na Tarczyńskiej. Dochód z jednego co najmniej przedstawienia, z „Wyprawami Krzyżowymi” Białoszewskiego, przeznaczono „na Węgrów”, którym po interwencji radzieckiej starano się w różne sposoby pomóc. U nas w domu mieszkała rodzina węgierskich architektów.

Nasza dawna klasa spotkała się po maturze kilkakrotnie. Na spotkaniu po piętnastu latach jeden z kolegów zadeklamował z pamięci dłuższy fragment „Syzyfowych prac”. Recytacja była jakby podwójna, bo to był fragment o recytowaniu w rosyjskiej szkole „Reduty Orzona”. W naszej szkole uczyliśmy się na pamięć wierszy i prozy po łacinie, utwory polskie po prostu się omawiało; Andrzej W. nie dla potrzeb szkolnych nauczył się tekstu Żeromskiego. Kiedy w epoce wczesnego Gierka mówił ten tekst, chciał chyba powiedzieć, co ze szkoły zapamiętał i jak szkoła kształci, bez względu na oficjalne programy. To się rozumiało. Nie dyskutowaliśmy wtedy, co chciał powiedzieć.

3. SZKOŁA PODSTAWOWA

Z pierwszych zajęć w drugiej klasie w szkole na Czerniakowie pamiętam, że na apelach szkolnych śpiewało się: *Morze, nasze morze*. Nacisk polityki nie był jeszcze wtedy tak silny jak później i był to utwór zaangażowany geograficznie, ale politycznie niezbyt ostry. Pisać uczyłem się przed szkołą, a nauczycielka, pani Łycka, wychowawczyni domowa, też śpiewała piosenki: *Umówiłem się z nią na dziewiątą na przemian z Czerwonym sztandarem*: — *Niesie on zemsty grom*. Jak nam mówili rodzice, pani Łycka była *socjalistką*. We wczesnych czasach szkolnych przyniosłem do domu znaną na ulicy ulotkę odbitą na dziecinnej drukarence: *Precz z pierwszym maja, świętem komunizmu*. Pani Łycka stwierdziła, że ściśle rzecz biorąc ulotka nie jest słuszna, bo święto jest socjalistyczne, tylko komuniści je zabrali.

Szkoła podstawowa na Różanej, do której prawie od razu się przeniósłem, nosiła numer 121. W czwartej klasie, a więc w roku 1949 lub 1950, przemieszano uczniów, bo odkryto, że nasza klasa jest „inteligencka” i należy dzieci porozstawiać: zamiar społeczny podobny do umieszczenia Nowej Huty koło Krakowa. W szkole podstawowej bardzo mnie zaintrygowała klasyfikacja zaimków (chyba nadprogramowa inicjatywa nauczycielki). Coś, co niby znałem na co dzień, tworzyło interesujący i rozgąszony świat. Może z powodu dobrego opanowania tej klasyfikacji wysłano mnie na obóz przodowników nauki do Podgrodzia: byłem uczniem nierównym, lekcje odrabiałem częściej na pauzach niż w domu. Wolałem zajmować się tym, co nieobowiązkowe. Był rok 1952, miałem 12 lat, wyglądałem na mniej. Podgrodzie było miasteczkiem specjalnie zbudowanym i oddawanym właśnie do użytku. Składało się z domków, a nie z namiotów. Miało zapewne naśladować reprezentacyjny radziecki obóz pionierów — Artek na Krymie. Miasteczko nie bardzo funkcjonowało, wszyst-

ko było niby gotowe, ale nie gotowe. Miniaturowa kolejka, urządzenie bardzo interesujące młodych mieszkańców, nie była w stanie ruszyć z miejsca. Byliśmy pierwszym turnusem, chyba dla próby, przed oficjalnym otwarciem. W drodze do Szczecina instruktor zetempowski, do którego zwróciłem się per „pan”, powiedział, że ostatni pan wyjechał do Londynu i nazywał się Mikołajczyk. To była, jak zorientowałem się później, odpowiedź standardowa. Mikołajczyk był postacią ze sfery budzącej obawę i niejasnej, czułem się nieprzyjemnie, uświadomiono mi, że zachowuję się jak ktoś źle wychowany i naruszam ważny obyczaj, obowiązujący poza domem, w świecie oficjalnym. Do poszczególnej osoby dorosłej i nie z rodziny należało mówić: — Słuchajcie, jak przyjdziecie, to zobaczycie.

Harcerstwo zapamiętałem z dwu kolonii-obożów, poza tym nie istniało albo mnie nie wciągnęło. Wydaje mi się, że kiedy byłem po czwartej klasie, w Tomisławiu (nad Kwisą na Dolnym Śląsku) nosiliśmy jeszcze chusty w jednym z kolorów apolitycznych, może nawet każda drużyna miała inne. Dawano nam już jednak jakoś do zrozumienia, że nie należy w niedzielę chodzić do kościoła. W Podgrodziu chusty były czerwone i o innych kolorach nie należało wtedy myśleć. W okolicy — nad Zalewem Szczecińskim — nie było ani kościoła, ani wsi, ani prawdziwego miasteczka, tylko to nasze, niezbyt udane. Maszerując i wzbijając kurz śpiewaliśmy — zapewne ideowo słuszną — piosenkę po węgiersku, której istotny fragment brzmiał mniej więcej tak: *Ho megunom mogot, mogom isz udzilet* (piszę fonetycznie). Nie pamiętam, czy podano nam znaczenie słów i do dziś go nie rozszyfrowałem. Uczono nas też czegoś w rodzaju katechizmu — wyjaśnienia symboli: dlaczego chusta jest czerwona i dlaczego jest trójkątna, dlaczego jeden bok jest dłuższy i dlaczego chusta ma trzy rogi. Pokusa odpowiedzi, że każdy trójkąt ma trzy rogi, była odrzucana, wyraźnie nie była to odpowiedź prawidłowa. Geometryczne i kolorystyczne właściwości miały wyjaśnienia ze świata idei i polityki, związane z krwią proletariatu, czerwonym sztandarem (chusta była jego połową, po przekątnej), partią, ZMP i harcerstwem. Wyjaśniano nam, że trzy rogi wywodzą się z istnienia trzech organizacji, chociaż było wiadomo, że chusty harcerskie istniały już przed tymi organizacjami. Chusta, jak wiele innych przedmiotów i zjawisk, nabrała nowego znaczenia.

Pod koniec szkoły podstawowej mniej interesowałem się filatelistyką, wiem, że abonamentu znaczków polskich nie odnowiłem po roku 1953, chociaż zdarzały się już atrakcyjniejsze rysunki, tak jak w serii z uproszczonymi sylwetkami sportowców: z łyżwiarką, hokeistą i narciarzem. Prostotę, dbałość o kompozycję

i osłabienie związków z ideologią nazywano wtedy formalizmem i surowo piętnowano, a jednak niektóre plakaty i ilustracje zakaz „formalizmu” przełamwały.

Poznawaniu świata za pośrednictwem znaczków pocztowych zaczęło towarzyszyć oglądanie go z roweru. Chłopcom dziesięcioletnim i trochę starszym rower służył do wspólnych wypraw, jest zbiorem zadań do rozwiązania i przedmiotem opieki. Koledzy od wspólnego poznawania Warszawy i okolic byli też kolegami od książek: tymi, którzy czytali powieści z amerykańskiego zachodu i sensacyjno-szpiegowskie, trudne do zdobycia we wczesnych latach pięćdziesiątych, niesprzyjających takim lekturom (kiedy książki sensacyjne i kryminalne pojawiły się już w zwykłych księgarniach państwowych, przestałem je czytać). Książki wymieniało się i pożyczano. Miałem wtedy przez pewien czas rzecz cenną: kilkusetstronicową powieść bez początku, końca i autora. Można było tylko odczytać tytuł na początku arkuszy na dole stron: „Białe kaptury”. Akcja toczyła się we Francji w okresie afery Stawiskiego, treść była żywa, do głównych zajęć bohaterów należało wpadanie w zapadnie i przechodzenie ukrytymi przejściami, postacie z książki brały udział w zebraniach organizacji tajnych, miały liczne romanse i sobowtórów.

Nie myślę, żeby jakiegokolwiek książki chowano przed dziećmi, ale czasem trzeba było je odnaleźć, bo nie były na wierzchu. Tak było z kompendium z początku wieku doktora Kurkiewicza, autora niezbyt znanego, chociaż pisał o nim Boy (w egzemplarzu tej pracy brakowało stron) i ze sprawozdaniem Bronisława Malinowskiego z badań w północno-zachodniej Melanezji (w tej książce niczego nie brakowało). Lektura dawała wrażenia podobne do klasyfikacji zaimków. Doktor Kurkiewicz klasyfikował z zamiłowaniem: zajmował się *zyciem płciowem* (pisownia w tym traktacie była nieco archaiczna) i klasyfikował wszystko z tej dziedziny, Malinowski uczył relatywizmu kulturowego. Kurkiewicz, miłośnik rozróżnień i wróg nazw obcych, uważał, że powinno się używać polskich słów, teatr był *odgrywnią*, a gimnastyka — *wygiątwą*, jedno i drugie pełniło ponoć, choćby w niewielkim stopniu, interesujące doktora funkcje dodatkowe, ukryte przed okiem niewprawnym i nienaukowym. Autor podawał łacińskie nazwy czynności, którymi się interesował. Pisał prawie o wszystkim, także o kolarstwie, sporcie, którego nazwa miała polskie brzmienie, więc nie wzbudzała zastrzeżeń. Odpowiednia nazwa łacińska brzmiała *roverismus*, mimo że Cynceron nie wiedział nic o firmie Rover. Od roweru wolałem zresztą pływanie, a nazwy łacińskie może się przydały, bo wybierałem się do gimnazjum, w którym był wybór między niemieckim a łaciną jako drugim

językiem obcym, poza rosyjskim. Chciałem uczyć się niemieckiego, bo na początku lat pięćdziesiątych uważano że jest to język użyteczny, jeśli ktoś chce nabywać wiedzę o sprawach uporządkowanych i technicznych. Ale przyjęto mnie do klasy łacińskiej, humanistycznej.

4. WIERZENIA I POSTĘP

W szkole uczono nas, że istnieją siły i osoby postępowe i wsteczne. Umiejętności analizy literackiej miały w znacznej mierze polegać na tym, by w tekście umieć te siły i osoby znaleźć i wydobyć na jaw pozytywne właściwości jednej strony i negatywne drugiej. Jednostki wsteczne pochodziły z klas skazanych przez historię, która na wrogów postępu wydała wyrok nieodwołalny. Przeciwnikami postępu byli egoiści z klas egoistycznych, którzy mieli *zaniki*, a wśród nich zanik uczuć patriotycznych. Dotyczyło to zwłaszcza szlachty, ale dopuszczano wyjątki, szczególnie ze szlachty biedniejszej, „drobnej”. Mickiewicz nie miał *zaników*, był raczej postępowy i narodowy (patriotyczny) niż klasowy.

Po stronie sił postępowych była słuszność, a więc także prawo, między innymi prawo do zabijania. Rewolucje i bunty chłopskie (nazywane „powstaniem”) opisywano z upodobaniem. Wsteczni byli z reguły nie do naprawienia i wobec tego trzeba było ich się pozbyć. Lepszy świat nie miał zawierać sił zła, należało więc coś z nimi zrobić. Można by właściwie zaczekać, aż przegrani wymrą, ale jeśli komuś spieszyło się do szczęścia i chciał je dać innym, powinien brać się do czynu. Reakcja podnosiła przeciw głowę, kontrrewolucja czaiła się za rogiem. Walką ze starym, niszczeniem tego, co przeszkadzało i co uznano za zbędne, zajmowały się specjalne instytucje. Z dzieciństwa pamiętam książkę hrabiego Jaxy-Ronikiera „Czerwony kat, złote serce”, w której szczegóły może nie były ściśle, ale mówiły o rewolucyjnej sprawiedliwości. Autor opisywał, jak rewolucjonista polski i rosyjski Feliks Dzierżyński zamówił potrzebny mu w pracy fotel z ukrytymi igłami pod napięciem, działający jak krzesło elektryczne. Dzierżyński sprawdził, czy fotel dobrze sporządzono, pchając nań inżyniera-konstruktora. Okazało się ponoć, że fotel działał tak,

jak było przewidziane. Wcześniej też czytałem książkę na temat zbliżony: o wymordowaniu w Jekaterynburgu rodziny Romanowych. Rzeczywiście, rodzina pochodziła z innej epoki, „były car”, caryca, a także ich służba domowa, mogli tylko zawadzać.

Wiele lat później znajomy adwokat, który dobrze znał porobiorową tytulaturę Romanowych, mówił o bolszewikach: — Swojego cara mogli sobie zabić. Trudno, jeśli takie mają obyczaje. Ale dlaczego zabili nam naszego króla?

W czasach szkolnych mogłem dowiedzieć się, że głównym wskazaniem moralnym i kryterium ocen jest przybliżanie zwycięstwa sił postępowych. Zwycięstwo, jak to odkryli Marks i Engels, było i tak zapewnione (na mocy praw socjalizmu naukowego), ale chyba dokładny czas wygranej nie był określony i istniały jakieś luzy, bo można i trzeba było starać się zwycięstwo przyspieszyć. Tak mówił chór dobywający się z podręczników i gazet. Ale te same myśli słyszało się później od etyków marksistowskich w wykładach na Wydziale Filozoficznym. Marksieści zwalczali w moralności zasady absolutne, niezrelatywizowane do spraw i potrzeb społecznych. Taki brak odniesienia uznawano za przestarzały i burżuazyjny, popularyzowano moralność odniesioną do skutków, według której ocena moralna czynu zależy od tego, czy klasom postępowym pomaga on czy przeszkadza w walce, którą klasy toczą między sobą. A ponieważ klasom trudno się wypowiedzieć, więc o moralności decydowali ich przedstawiciele, zwłaszcza zaś kierownicy organizacji uznawanych za klasowe.

Klasy były pojęciem bardzo istotnym i żywo obecnym w życiu codziennym. Nastawienie socjologiczne panowało oficjalnie i w odniesieniu do wszystkich. Każdy, a w tym uczniowie, więc i ja, wypełniał wielokrotnie ankiety z rubryką „pochodzenie społeczne”. Pochodzeniem dobrym i pożytecznym było robotnicze, nieco gorszym — chłopskie, wyraźnie nienajlepsze było pochodzenie inteligenckie. Natomiast inne „pochodzenia” były prawie niewymawialne i niebezpieczne, może najmniej złe spośród innych było rzemieślnicze. Pochodzenia mieszanego nie przewidywano, komplikowałoby obraz, a poza tym uważano, że chociaż może biologicznie pochodzi się od obojga rodziców, to społecznie pochodzi się od ojca, matka była „przy mężu”. Kto miał pochodzenie niejednolite, miał okazję podać lepsze.

Inteligenci nie byli po prostu inteligentami: jakby dla odkupienia win zbiorowych, dodawało się o nich, że są *pracujący*. Było też *chłopstwo pracujące*, ale robotników ten dodatek nie obowiązywał. Uważano, że pochodzenie określa interesy i poglądy. Określało też szanse życiowe, bo „pochodzenie społeczne” brano pod uwagę, decydując o przyjęciu do pracy i na studia.

Szanse osób o złym pochodzeniu (również dzieci) były gorsze. Znany aktor, syn przemysłowca, miał złe pochodzenie społeczne, ale wśród znajomych moich rodziców był też przemysłowiec syn aktora. Miał lepsze pochodzenie, które jednak nie uchroniło go przed więzieniem. Długo też później nie wyjeżdżał za granicę.

Postęp przyszedł do nas ze Związku Radzieckiego, z kraju Armii Czerwonej, hut, traktorów i przodującej nauki. Tam postęp zaszedł najdalej. Dowiadywaliśmy się w szkole i z gazet, że „ludzie radzieccy przeobrażają przyrodę” i nic nie może im się oprzeć. Sadzą lasy wzdłuż rzek, zmieniają dzięki temu kierunek wiatrów i przekształcają pustynie w żyzne ziemie. Wielokrotnie reprodukowano mapę specjalnie zaprojektowanych pasów leśnych, które miały urosnąć, a może nawet już rosły. Dla ludzi radzieckich (trzeba było jakoś nazwać mieszkańców tego kraju, taka była nazwa oficjalna) nie istniały gatunki biologiczne. Do „przodujących naukowców” należeli Miczurin i Łysenko, dzięki którym ludzie radzieccy potrafili wyhodować nowe gatunki. Dbano przy tym o ważną w tym kraju odporność nowych roślin na mrozy. Zachowanie się świata przyrody na swój sposób powtarzało opisywane wówczas działanie pochodzenia społecznego: na gatunki szybko wpływało środowisko i dziedziczyły one cechy nabyte.

Trochę się z tego śmiano. Było wiele dowcipów o „uczonych radzieckich”, zwłaszcza o Miczurinie. Mówiono, że oprócz Jabłoczkowa i Łodygina, którzy wynaleźli żarówkę, Łomonosowa, który wynalazł prawie wszystko, i Popowa, który wynalazł radio, byli jeszcze uczeni profesorowie Schodow i Sadow, z których pierwszy wynalazł klatkę, a drugi wodę, następnie nazwane na ich cześć. Co wynalazł profesor Wołow i co nosi jego nazwisko, może lepiej pominąć. Żartowano, ale postęp był sprawą poważną i odczuwaną powszechnie. Uważano, że może być nieodwołalny. Myślę, że moi rodzice bali się działań i dokonań postępowych, ale ojciec pocieszał się, że po rewolucjach polityka łagodnieje i postęp trochę zwalnia bieg. Postęp jednak przyspieszano i zajmowali się tym działacze, którzy chyba nawet nie musieli mieć bardzo dobrego pochodzenia społecznego, wystarczyło, że mieli dobrą przynależność instytucjonalną i organizacyjną.

Oświadczano oficjalnie, że dla postępu niezbędna jest kolektywizacja rolnictwa, nazywana też współdzielczym albo uspołecznieniem. Jeśli Lenin dał ziemię chłopom, to na chwilę, po to, by im sprawić przyjemność i by ze zwiększonym — ale nie zanadto — obszarem gospodarstw z jeszcze większą ochotą przystępowali do kołchozów. Pokazywano, że co duże i wspólne — jest piękne, a najpiękniejsze jest to co państwowe. Własność państwową uznawano za „najwyższą formę własności”. Wiadomo

było, że bez upaństwowienia zawsze będzie wyzysk i nie będzie możliwa nowoczesność. Ale jeśli pola będą olbrzymie, tak jak w ZSRR, to będą mogły po nich jeździć ogromne traktory i kombajny.

Był to czas budowy i przebudowy. Przekształcano wszystko. Budowano przemysł, Nową Hutę, przekraczano plan 6-letni. Warszawa miała być miastem białych domów z kolumnami (cegła obłożona kamieniem), wśród fontann i ogrodów. Zmianami ludzi i ich warunków życia zajmowali się eksperci od przebudowy społecznej, na czele z prezydentem Bierutem, ludzie w garniturach, przedtem nieznani, którzy na ogół przyjechali po wojnie ze Związku Radzieckiego. W szkole uczono nauki o konstytucji, a jej tekst wydawano w olbrzymich nakładach w czerwonej książeczce z przemówieniem Bolesława Bieruta poprzedzonym jego portretem. Autorem wymienionym na okładce był Bolesław Bierut, konstytucja zaś była dodatkiem do jego przemówienia. Morał z jej studiowania mówił, że jest bardzo dobrze i ludzie mają prawa, które trudno znaleźć gdzie indziej, takie jak prawo do pracy. Nie jest nam, co prawda, lepiej niż w Związku Radzieckim, bo ten kraj jest dla nas wzorem, ale zbliżamy się do wzoru, będzie coraz lepiej, bo będzie coraz więcej nowego. Rozwój i postęp jest stały, co nie tylko jest widoczne, ale jest także wiadome z zasad dialektyki.

Dorośli ludzie również chodzili do szkoły: na szkolenia marksistowskie. Uczono ich tam, że ilość zmienia się w jakość. Kiedy? Gdy już się jej uzbiera dostatecznie dużo. Później (w latach siedemdziesiątych) napisałem notkę w *Tygodniku Powszechnym* o tym, że praw dialektyki jest więcej, bo jest też między innymi prawo przejścia ilości w ilość, jakości w jakość oraz jakości w ilość. Z tych wszystkich praw (oprócz prawa „zaprzeczenia zaprzeczenia” jest jeszcze na przykład prawo zaprzeczenia potwierdzenia) marksiści upodobali sobie niektóre. Specjalistą od tych zagadnień był Józef Stalin, który tłumaczył jasno, wiedział, że trzeba rozumować dialektycznie i że z filozofii wynikają wskazania praktyczne. Rewolucje, jak informowano, wybuchają wtedy, kiedy warunki do nich dojrzeją. Po kapitalizmie następuje socjalizm.

Wiadomo było, że w budowie nowego przeszkadza religia, nie była to jednak sprawa zupełnie prosta. Jedną z najbardziej postępowych epok było, jak uczono, oświecenie, ale chwaleni i cenieni ówcześni pisarze, poeci i działacze oświatowi mieli na portretach jakies jakby kołnierze, czarne z białymi wyłogami. Byli to między innymi ks. Jezierski, ks. Kołłątaj, ks. Konarski, ks. Piromowicz (którego nawet sportretowano na cennym znaczku pocz-

towym wydanym na cześć Międzynarodowego Biura Wychowania), ks. biskup Naruszewicz i ks. biskup Krasicki. Czarne stroje (raczej się ich nie nazywało) były osobno, a postępowość stwierdzało się osobno. Słuszny sposób myślenia polegał na tym, by pomijać sprawy nieistotne. Było jasne, że strój nie decyduje o istocie rzeczy.

Z używanego w szkole, przełożonego na polski, rosyjskiego podręcznika historii starożytnej można było dowiedzieć się, że Chrystus był postacią zmyśloną, wiadomości o nim rozgłosiły warstwy posiadające w ustroju niewolniczym, którym zależało na tym, by niewolników łudzić i oszukiwać. Postępowi i istniejący naprawdę, a ponadto zasłużeni w walce klas, byli za to Kostka Napierski i Jakub Szela. Szela jako widmo mówił co prawda jakieś niemiłe rzeczy w „Weselu” Wyspiańskiego, które jednak omawiało się w jedenastej klasie, gdy była już inna epoka i sprawy mogły być bardziej skomplikowane. Zrehabilitowany wtedy poeta Bruno Jasiński napisał ku czci Szeli jeszcze przed wojną poemat jednocześnie nowoczesny i ludowy. Wzór i przykład miał przyciągać.

Później niż o Związku Radzieckim dowiedziałem się o istnieniu postępowych katolików. Byli to katolicy ze stowarzyszenia Pax, których część znalazła się następnie w „Więzi” i którzy lubili toczyć *dialog z marksistami*. Współdialogistów dobierano sobie wśród osób, które nazywano filozofami, ale z określeniem dodatkowym wpływającym na sens tej nazwy. Filozofowie byli mianowicie marksistowscy i nie interesowali się stawianiem i rozwiązywaniem zagadnień, ale właśnie dialogiem, czyli przede wszystkim wyrażaniem zadowolenia z tego, że dialog trwa. Dialog był przedsięwzięciem z pogranicza dyplomacji i polityki i zapewne obydwu stronom był potrzebny. Marksści często deklarowali lub co najmniej dawali do zrozumienia, że nie uważają, aby katolików trzeba było wytępić od razu. Dla katolików aktywnych stwarzano zresztą przechowujące ich instytucje-rezerwy. Ze strony marksistów dialog był świadectwem wielkoduszności. Katolicy uczestnicy dialogów cenili filozofów marksistowskich chyba między innymi dlatego, że nie przypuszczali, by marksści mogli powiedzieć coś, na co władze nie zezwoliły. Oświadczenia zwolenników marksizmu wydawały się więc miarodajne, ale nie było tu całkowitej pewności. Do marksistów nie musiałem się specjalnie zniechęcać, natomiast dialogi nie przyciągały także do drugiej strony, bo, jak to podobno być powinno, stawiały działaczy i publicystów katolickich w sytuacji partnerów, na równi z marksistami.

5. PAŹDZIERNIK

Szkołę podstawową skończyłem w roku 1953, średnią w roku 1957. Te cztery lata były ważną różnicą. Nie tylko dla mnie, w ogóle w Polsce. O różnicy świadczyły zmiany programu w szkole, było ją widać w pismach literackich, kulturalnych i wszelakich, w tym, jakie książki były w księgarniach i co można było zobaczyć w salach wystawowych.

W roku 1953 zmarł Józef Stalin. Było to wydarzenie niemożliwe, niczego takiego nie przewidywano. Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa miała niecały rok, była nową Warszawą, świadectwem socjalistycznej elegancji. Na niedawno oddanym do użytku Placu Konstytucji (konstytucja PRL też nie skończyła jeszcze roku) maszerowano z czerwonymi sztandarami. Na czerwonych sztandarach widniały czarne sylwetki głowy Stalina, którego rozpoznawało się po wąsach i zaczesanych włosach. Sztandary były pionowe, z dłuższym bokiem przy drzewcu.

Architektura MDM, rzeźby i kandelabry nie były samotne. W salach Zachęty stały głowy ważnych osób i prezentowały się postacie robotników i rewolucjonistów utrwalone w geście pokazywania drogi, zatrzymane w trakcie przemówień. Rzadko rzeźbiono w kamieniu, czas naglił, tematy były nowe, a w kamieniu rzeźbi się długo. Mimo oficjalnego ówczesnego szacunku dla sztuki, jeszcze rzadziej przeznaczano na rzeźby metale użyteczne w przemyśle i w wojsku. Materiałem, który przeważnie przekazywał postępowe treści, był gips.

Na początku lat pięćdziesiątych rzeźby i obrazy na ogólnopolskich wystawach plastyki portretowały słuszne tematy i właściwe osoby. Ale już w lecie 1955 roku Warszawa była kolorowa, a nie tylko w czerwonych flagach. Był międzynarodowy festiwal młodzieży, impreza też uznawana za słuszną i właściwą, ale już nieco inna. Epoka stalinowska była internacjonalistyczna, ale

internacjonalizm był nazwą miłości do jednego kraju: ZSRR. Ten festiwal pokazywał, że w sposób dozwolony istnieją jeszcze inne kraje. Otwarto Stadion Dziesięciolecia o architekturze spokojnej, bez kolumn greckich lub attyk renesansowych. Prostota była odkryciem. Byłem na wystawie młodych plastyków w Arsenale, do którego przedtem nie wpuszczono mnie na inną wystawę: „Oto Ameryka”. Chciałem obejrzeć z bliska rozmaite niewłaściwości amerykańskie, eksponaty świadczące o degeneracji zachodniego stylu życia, ale dla dzieci było to zakazane (wystawę pokazywała natomiast kronika filmowa). W roku 1955 mogłem już zobaczyć obrazy i rzeźby zwalczające wojnę i popierające pokój w bardziej ekspresyjny i indywidualny sposób niż dotychczas, bez dokładnego przestrzegania reguł socrealizmu. Wkrótce w *Przełądzie Kulturalnym* rozprawiano o sztuce rewolucyjnej i pod tą nazwą sztuka nowoczesna wchodziła w sferę dozwoloną. Julian Przyboś walczył z literackością w malarstwie i z postimpresjonizmem, był przeciw surrealistom i kolorystom, a uważał za słuszne malarstwo wstrzemięzliwe, geometrię, kwadraty i prostokąty Mondriana i Malewicza. Podobały mi się i obrazy chwalone, i niektóre zwalczane, nie wierzyłem w konieczność stanowczego odrzucania. Potrafiłem zresztą jakoś розміścić czarne figury na białym tle, ale wiedziałem, że już tam były i może nie szkodzi, gdy obraz jest trochę bardziej skomplikowany.

W kraju, w którym niewiele działo się bez pozwolenia najwyższych władz, zmiany wyglądu sal wystawowych, wiszące tam inne obrazy, świadczyły, że zmienia się bardzo dużo. W salonie *Po prostu* w grudniu 1956 roku wystawiali Tadeusz Kantor, który dramatycznie rozchłapywał i rozmazywał farbę, i Maria Jarema, odbijająca na papierze siateczkowate formy w obrotach i przesunięciach. O obydwójgu wiedziało się, że nie mieli i nie chcieli mieć nic wspólnego z socrealizmem. W styczniu 1957 roku w Zachęcie przypominano malarstwo Władysława Strzemińskiego i rzeźbę Katarzyny Kobro, zmarłych na początku lat pięćdziesiątych. Ich obrazy i rzeźby zmieniały się pod wpływem przekonań teoretyczno-estetycznych autorów. Przed wojną przez pewien czas Strzemiński uważał, że obraz powinna rozdzielać linia łamana, tworząc pola o proporcjach elementów trzy do pięciu. Później doszedł do wniosku, że nic w obrazie nie powinno się wyróżniać i w związku z tym brzeg powinno się zamalowywać inaczej niż środek, co miało równoważyć i tak już istniejącą różnicę między brzegiem i środkiem. Później były oddające ruch dramatyczne rysunki falującą linią. Strzemiński sformułował nieco marksizującą teorię zmian widzenia i sposobów, w jakie w różnych epokach pokazuje się ruch w obrazie i powoduje się ruch oka widza.

W wydanej pośmiertnie „Teorii widzenia” Strzemiński twierdził, że w różnych epokach widzi się różnie i określał, jak ma wędrować oko po „Synu marnotrawnym” Rembrandta lub z jakich punktów widzenia Cézanne malował martwą naturę. Na Starym Mieście skromniejszą wystawę miał Tadeusz Brzozowski, który mniej teoretyzował, ale malował bardziej skomplikowane (i bardziej malarskie) obrazy. Wystawy godne uwagi zaczęto organizować w galerii Klubu Krzywego Koła na Starym Mieście, na górze, nad salą zebrań, w salonie *Po prostu* w Teatrze Żydowskim (dziś na miejscu teatru stoi hotel Victoria), w kordegardzie ministerstwa kultury, w Zachęcie, gdzie w październiku 1957 roku otwarto Drugą Ogólnopolską Wystawę Sztuki Nowoczesnej (pierwsza była w 1948 roku w Krakowie), w salonie zimowym w Zakopanem na Krupówkach. Odkrywało się wtedy nowości na tle socrealizmu, które w wielu wypadkach były nowościami i odkryciami przed dwudziestu lub czterdziestu laty. O sztuce nowoczesnej czytywałem w Bibliotece Muzeum Narodowego, gdzie można było znaleźć pisma polskiej awangardy przedwojennej: *Zwrotnice* z „Mątwą” Witkacego i artykułami Peipera, broszury wydawane przez grupę Blok i Praesens. O sztuce nowoczesnej zaczęto pisać w *Przeglądzie Artystycznym*, w nowych pismach, takich jak *Projekt* lub krakowska *Zebra*, w tygodnikach.

Wystawiali też swoje obrazy kontynuatorzy socrealizmu, realiści, malarze akademicy; nazwali się grupą Zachęta, ale wystawiali nie w Zachęcie, tylko w auli głównej Politechniki Warszawskiej, która wiele dziwnych rzeczy już widziała, mogła więc także znieść kontestację przeciw sztuce nowoczesnej.

Odkryciem z czasów szkolnych był jazz, którego słuchało się w nadawanych przez Głos Ameryki audycjach Willisa Connovera: „Music USA”. Była to okazja, by spróbować odróżnić i zrozumieć słowa po angielsku. Jazz żywy usłyszałem na Wspólnej, w gmachu z kolumnami, w świątyni mającej coś wspólnego z ministerstwem komunikacji i kolejnictwem. Utwory zapowiadał Leopold Tyrmand, kontestator, który Warszawę lat pięćdziesiątych sportretował w „Złym”, a w książce „U brzegów jazzu” przekonywał (chyba władze), że jazz nie jest taki reakcyjny, bo stworzyli go pracujący (i bawiący się) Murzyni. Festiwale jazzowe organizowano w Sopocie, a właściwie w Sopocie i w Gdańsku: w roku 1957 byłem na koncertach w wielkiej hali Stoczni Gdańskiej. Znany później elektryk jeszcze tam wtedy nie pracował.

Jazzu bronił Kisiel w *Tygodniku Powszechnym* (pod koniec 1956 roku wznowionym pod poprzednią redakcją). Kisielewski pisał, że jedna improwizacja kwartetu Komedy — przypominającego *Modern Jazz Quartet* — jest więcej warta niż dziesiątki na-

puszonych symfonii. W roku 1956 zorganizowano po raz pierwszy festiwal muzyki współczesnej „Warszawska Jesień”. Na festiwalu wschodnioniemieckiej kantacie o sadzeniu prosa towarzyszyła polska i wszelka inna muzyka znacznie mniej zaangażowana ideowo-politycznie, nie melodyjna i starannie zorganizowana, poczynając od nieobecnych przez wiele lat i odkrywanych na nowo klasyków współczesności — Schönberga i Weberna.

Październik to nie był akurat październik. Ważne było kilka lat w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy, jak powiedzieliby uczeni literaturoznawcy, szybko zmieniała się przestrzeń (literacka, ogólnie artystyczna, polityczna). Nie zmieniała się sama: było dość ludzi, którzy mieli podobne cele i działali podobnie: chcieli rozszerzać wolność. Korzystali z niej i pomagali w tym innym. Pracownicy wydawnictw zaczęli częściej domagać się i dbać o to, by wydawano potrzebne książki, a ich zwierzchnicy zaczęli stawiać mniejszy opór niż poprzednio, chociaż książki zaopatrywano w ochronne i częściowo polemiczne wstępy. Z takimi wstępami wydano na przykład „Szkice sceptyczne” Russella i „Wstęp do psychoanalizy” Freuda w bibliotece idei obcych w okładkach w czarnokolorową szachownicę. Można było dzięki temu przekonywać się do sceptycyzmu lub wyobrażać sobie treść naukowych metafor psychoanalitycznych. Wydawanie tej ważnej serii przzerwano: nie ukazały się zapowiedziane wtedy prace Stanisława Brzozowskiego, Maxa Webera, Sorela, Poppera, Mannheima (dopiero w trzydzieści lat później wydano poza cenzurą zapowiadane wtedy „Społeczeństwo otwarte” Karla Poppera). W pobliżu roku 1957 w „Czytelniku” zaczęła wychodzić inna potrzebna seria wydawnicza: powieści i zbiory opowiadań w małym formacie, z sylwetką Nike. Byli tam Gide, Malraux, Faulkner, Sartre, Kafka. Współczesna i niedawna literatura stawała się dostępna. Wydawanie podobnych książek jest dziś czymś zwyczajnym, ich publikacja nie budzi zdziwienia, ale przedtem to, co zwyczajne, było zakazane.

Gdzieś około roku 1955 zaczęto wznawiać nadających się do czytania poetów: przypomniano Leśmiana i Czechowicza, wydano Gałczyńskiego „Satyrę, groteskę, żart liryczny”. Niedługo przed maturą i niedługo po można było odkrywać Gombrowicza (po „Ferdydurke” ukazały się „Bakakaj”, „Transatlantyk”, „Iwona” z ilustracjami Tadeusza Kantora), „Nienasycenie” Witkacego wznowiono w 1957 roku, ukazał się Schulz — ze wstępem Artura Sandauera o powieści w XX wieku.

Pochłaniałem dwa traktaty o wszystkim, zwłaszcza o filozofii, psychologii i polityce. Jeden to „Dialogi” Lema (wydane w 1957

roku), konwersacje między postaciami z dialogów Berkeleya: Hylasem (materialistą) i Filonousem (idealistą), rozmawiającymi o życiu wiecznym w skrzyni, możliwości sporządzania rysopisów atomowych i innych sprawach cybernetycznych i związanych ze sztucznym myśleniem. Drugi traktat to „Wykład profesora Mmaa” Stefana Themersona. Autor wydał tę książkę najpierw w Anglii po angielsku, a później, w zmienionej wersji, ukazała się w Polsce w 1958 roku. Książka wyśmiewa rozmaite doktryny społeczne i naukowe, ale z życzliwością dla humanizmu lub termityzmu (profesor Mmaa jest termitem i wyklada o człowieku). Świat w książce Themersona oglądamy z perspektywy termiciej, włącznie z wydarzeniami politycznymi i poważnymi negocjacjami z obcym mocarstwem — mrówek, które zamierzają opanować termitierę i jej mieszkańcom dają przyjaźnie do zrozumienia, że przyjaźń jest najlepszym wyjściem, bo bez niej będzie im bardzo nieprzyjemnie. Termity-naukowcy projektują doświadczenia na *homo-osobniku* i dyskutują, czy *homo* można przypisać inteligencję, czy też zważywszy, że ten ssak skupia uwagę niemal wyłącznie na powierzchni zjawisk, trzeba niestety stwierdzić, że działa instynktownie.

Film polski, także pobudzony w okolicach października 1956 roku, pokazywał i przeżywał okupację niemiecką, którą niezbyt dobrze pamiętały dzieci, ale którą pamiętali wszyscy ówczesni dorośli. Film mówił też o początku nowej władzy w Polsce, gdy jeszcze było AK, choć w rozproszeniu, ale już byli radzieccy komendanci i już były portrety Stalina („Popiół i diament” Wajdy z 1958 roku). W „Zezowatym szczęściu” Munka — z 1959 roku — przycinano w kolejnych wersjach filmu obraz lat stalinowskich. Ten film okazał się — na wiele lat — pożegnaniem polskiego filmu z rzeczywistością współczesną i niedawną, z próbami pokazania ZMP i UB.

Atmosfera była sceptyczna, spotykali się w niej Russell, Gombrowicz, Themerson, Mrożek, Wajda, Munk. Ale myślę, że temu sceptycyzmowi towarzyszyło przekonanie, że nie wszystko jest równouprawnione, zwłaszcza w nauce, w polityce, w etyce. Tu była jedna z różnic między dziećmi z okresu stalinizmu, w każdym razie takimi jak ja, i byłymi stalinowcami, którzy pisali w tygodnikach kulturalnych. Dzieci były obiektem doświadczeń. Starsi porzucali te doświadczenia, ale trudniej im było porzucić własną przeszłość. Stalinowcom, którzy od stalinizmu odeszli, niełatwo przychodziło wyrobić sobie jasny pogląd na swoje i cudze ówczesne zaangażowania ideowe i ich konsekwencje. Ja byłem pewien, że to było źle, że Strzemińskiemu nie pozwolono uczyć, że znikł ze strefy oficjalnej, dozwolonej przez państwo, jedynej

mającej istnieć, i umarł w nędzy. Autorzy z drugiej połowy lat pięćdziesiątych trochę odsuwali swoje i cudze doświadczenie. Wydawało się, że nieszczęścia i zło były dla piszących i publikujących wówczas trochę względne i uwikłane w odczuwaną przez nich potrzebę działania w zgodzie z postępem i historią. Jeśli się tak myślało, to trzeba było wiedzieć, gdzie ten postęp i historia są, ale tu autorom brakło sceptycyzmu. Sceptyczne głosy odzywały się czasem w felietonach, gdzie autorzy sugerowali, że może nie było „błędów i wypaczeń”, tylko dość jasne zamierzenia, realizowane przez w miarę sprawną maszynę społeczną. Natomiast w tekstach poważnych w *Nowej Kulturze* pisano o sprawach trochę nadziemskich, o Heglu i o tragizmach historii, co było dla mnie niezbyt zrozumiałe i myślę, że w ogóle było niejasne. Tego Hegla, czy kto go czytał, czy nie, wybrano sobie za wielkie usprawiedliwienie. Chyba czasem zastępował słowo *Marks*, a czasem słowo *Stalin*.

Rok 1956 dla wielu ludzi był ważną datą z przyczyn osobistych: wychodzili z więzienia (jeśli ktoś przeżył). Wyszedł profesor historii sztuki, opiekun naukowy mojej ciotki Wandy. Wyszedł znajomy rodziców Rogera — Teofil, który zaczął właśnie drukować w *Stolicy* kronikę Powstania Warszawskiego. W prasie pisano o procesie rehabilitacyjnym Kazimierza Moczarskiego, którego mój ojciec znał z czasów okupacji.

Były też wydarzenia polityczne, niektóre lepiej, inne gorzej widoczne: wiece, zmiany składu rządzących, i ich obrady i ich przemówienia. Byłem na jednym z wiecej na Politechnice, przemawiał Jan Kott i chyba Lechosław Goździk, nadawano przemówienie Gomułki (więc było to 20 października, chyba że byłem na dwu wiecej i wydaje mi się, że to był jeden). Łączyły się jakoś sprawy dozwolone i opozycja, ówczesne wiece były jednocześnie oficjalne i kontestatorskie, właśnie rozszerzały się granice oficjalności w sposób jeszcze niezbyt jasny i nieprecyzyjnie określony. Ogłoszenia wywieszane na wyższych uczelniach były prawie wolną trybuną. Na Wydziale Architektury można było obejrzeć rysunek przedstawiający Koniewa trojańskiego (w czapce radzieckiego marszałka). Był to Koniew drewniany i wyjeżdżały zeń czołgi. Na uniwersytecie czytałem zawiadomienie, że prezydium jednego z wiecej postanawia sprawę przywrócenia korony orłowi przedstawić odpowiednim władzom. Do dziś nie wiem, co stało się z tym projektem, czeka jeszcze na realizację.

24 października przed Pałacem Kultury przemawiał Władysław Gomułka i zachęcał raczej do pracy niż do demonstrowania i praktykowania demokracji bezpośredniej. Uważał, że już dość wiecejowania i manifestacji. Jego wskazania jednak nie wszyscy uznali

za swoje. Po wielkim zgromadzeniu i wystuchaniu przemówienia sporo osób jakoś nie chciało *rozejść się*. Już po zmroku poszliśmy pod KC i maszerowaliśmy Nowym Światem, krzycząc „Wyszyńskiego wypuścić”, „Rokossowski do Moskwy”. To nie był program, który wtedy formułowano oficjalnie, ale go zrealizowano: obydwie żądania wkrótce spełniono.

Przed Pałacem Kultury ktoś już miał flagę węgierską. W październikowej prasie polskiej z entuzjazmem pisano o Imre Nagy’u i krótkotrwałych, jak się okazało, zmianach na Węgrzech. Przed Akademią Sztuk Pięknych można było kupić sprzedawane na pomoc dla Węgrów grafiki i karykatury; zamiast niedawnego sloganu antyamerykańskiego *go home*, pisano *domoj*. Chyba już po drugiej interwencji radzieckiej, przyczepione do autobusów, jeździły po Warszawie plakaty z głową gołębka (pokoju) ze iza w oku (plakat chyba Starowieyskiego). W 1958 roku, tuż przed wakacjami, ogłoszono wiadomość o straceniu Imre Nagy’a. Tej decyzji („wyroku”) w Polsce oficjalnie nie pochwalono, ale też i nie potępiono, uznając ją za węgierską „sprawę wewnętrzną”. Urzędową neutralność traktowało się jako aprobatę wyroku śmierci, pamiętając, że w roku 1956 prasa nie tuiła sprzeciwu, gdy wojska radzieckie tłumili rewolucję. Styl prasy zmieniał się na bardziej prorządowy, prokomunistyczny, proradziecki. Ale powrót do stalinowskiego zamrożenia wydawał się trudny. Wiele zmian z 1956 roku trwało i, mimo Węgier, można było uważać, że w Polsce nie wszystkie drogi są zamknięte.

W roku 1980 zdarzyło się coś podobnego do tych zmian z połowy lat pięćdziesiątych. Kto urodził się o pokolenie później niż ja, a więc na przykład w roku 1964, mógł, mając 16 lat, uważać, że nie tylko sprawy osobiste mają sens, że można i warto robić coś w sprawach o trochę szerszym znaczeniu. Szesnastolatkom łatwiej widzieć świat optymistycznie. Jeśli uważałem, że świat z lat 1956-1958 otwiera możliwości, rozszerza się, to jaką rolę odgrywał w tym mój wiek, 16-18 lat, ale była to też sprawa ówczesnej rzeczywistości. Jedno i drugie się spotkało. Na ogół w powojennej Polsce poszukiwacze sensu mieli kłopoty. Niełatwo było sens dostrzec i sporo trzeba go było dopisać samemu.

6. UNIWERSYTET

Wbrew temu, co zdarzało mi się później czytać, uniwersytet, na którym studiowałem, nie był marksistowski. Byli tam marksiści, ale nie tylko. Idąc na Wydział Filozoficzny, wiedziałem już mniej więcej kto z uczących co napisał. Przed studiami przeczytałem „Zagadnienia i kierunki filozofii” Kazimierza Ajdukiewicza (książkę z 1949 roku, znaną w antykwariacie), a także trzeci tom historii filozofii Władysława Tatarkiewicza. Ten trzeci tom, wydrukowany w 1950 roku, przetrwał kilka najczarniejszych lat w magazynach i pojawił się w księgarniach w roku 1956. Ajdukiewicz był też autorem podręcznika logiki, z którego uczyliśmy się w szkole. Wiedziałem również coś o Stanisławie Ossowskim, którego broszura „Ku nowym formom życia społecznego” (wznowienie pracy okupacyjnej) ukazała się w roku 1956 w bibliotece *Po prostu*. Były to rozważania o demokracji, o wielośrodkowej i zróżnicowanej organizacji życia zbiorowego. Wyglądającego staroświecko i mówiącego z widocznym znawstwem przedmiotu profesora Tatarkiewicza słyszałem po raz pierwszy, kiedy jako historyk sztuki mówił w Muzeum Narodowym o klasycyzmie w cyklu odczytów organizowanych wspólnie z *Expressem Wieczornym* — „Od Piramid do Picassa”.

Moje zainteresowania z czasów szkolnych nie były sprecyzowane i mogły mnie pokierować w różne strony. Trzeba było wybrać kierunek studiów i — do czego wcale mi nie było pilno — ograniczyć zrozumiałą w szkole różnorodność. Zdawałem najpierw na architekturę. Architektami byli mój ojciec i dziadek, pójsie w ich ślady było łatwym pomysłem. Zawód architekta jeszcze bezpośrednio po wojnie był wolny, później go upaństwowiono, tworząc biura projektowe. Ale nawet w epoce upaństwowienia stowarzyszenie architektów SARP ogłaszało konkursy i wtedy projekty powstawały w domu. To była okazja, by przyjrzeć się

pracy mojego ojca: sposobom rozwiązywania zagadnień, godzeniu konfliktowych wymagań przez dostosowywanie rezultatów częściowych. Takie podglądanie mogło przydać się nie tylko w architekturze. Mój ojciec pracował nie tylko w wyznaczonych godzinach i nie tylko w biurze projektów. Mówił, że dopiero po wojnie ludzie zaczęli *chodzić do pracy*, przed wojną chodzili do biura lub do fabryki. Praca była czynnością, a nie miejscem. Zamiast — jak dziś — *chodzić do pracy*, przed wojną pracowano.

Architektura była w naszym domu wyraźniej obecna niż rolnictwo, specjalność drugiej gałęzi rodziny: mojej matki i jej ojca. Mój ojciec żył sprawami Warszawy i często o nich mówił. Odbudowa miasta, a w tym zabytków, była dla niego sprawą osobistą i ważną dla przetrwania kultury. Mówił, że wiedzieli o tym Niemcy, kiedy — mając już sporo innych zmartwień — niszczyli metodycznie Warszawę po Powstaniu.

Egzamin na architekturę zdałem i nie zostałem przyjęty. Pozwolono mi uczestniczyć w zajęciach, ale robiłem to niesystematycznie. Wiedziałem mniej więcej, jak powinny wyglądać dobre rysunki i mogłem zobaczyć, że porównanie rysunków moich i kolegów nie wypada dla mnie korzystnie. Na Wydziale Architektury obowiązywał rysunek staranny i skonstruowany, zwalczano impresjonizm. Rysunek nie miał być zbiorem kolorowych plam przekazujących wrażenie. Trzeba było zbadać w naturze i odtworzyć na rysunku konstrukcję przedmiotu, jakby go zaprojektować, chociaż już istniał. Wykreślało się w perspektywie walce, graniastosłupy, stożki i bryły bardziej skomplikowane, w które widziany przedmiot należało wpisać. Uwieńczeniem rysunku było przyjęcie kierunku światła i odpowiednie nałożenie cieni i odbłasków. Rysunek był ćwiczeniem praktycznym z geometrii, którą trzeba było znać (autorem wznowionego po wojnie podręcznika geometrii i perspektywy malarskiej był przedwojenny premier i profesor Politechniki Lwowskiej, Kazimierz Bartel). Wiedza geometryczna miała wspierać staranną obserwację i łączyć się z pewnością ręki. To wymagało pracy, której na pewno należało włożyć więcej.

W czasie wolnego roku akademickiego 1957/1958 zaglądałem na Wydział Architektury na Koszykową, ale też i na Wydział Filozoficzny na Krakowskim Przedmieściu, wtedy jeszcze przy kościele Wizytek, a nie, jak już w następnym roku, przy kościele Św. Krzyża. Trochę się bałem, że mnie wyrzucą z wykładów, bo miewałem kłopoty z wchodzeniem na filmy od 18 lat i nie byłem pewien, czy uniwersytet nie jest miejscem, gdzie też sprawdza się legitymacje.

Katedry były podstawową jednostką skupiającą wykładowców.

W roku 1968 władze, chętne do reform oświatowych, ustawowo zlikwidowały katedry i nazwano je inaczej. To, co było katedrą, stało się „zakładem”. Szkolnictwo wyższe często poddawano takim reformom, w których uważano, że zmiana nazwy jest niezbędna i istotna.

Na drzwiach katedr wisiały listy dyżurów, pozwalające zorientować się, kto w katedrze pracuje. W gablotach wieszano spisy zajęć i lektur. Kandydat na studenta lub student początkujący stawał przed tymi spisami i na ich podstawie mógł dowiedzieć się, co go czeka. To był wstępny spis rzeczy, pierwsze streszczenie książki, plan labiryntu, którym był uniwersytet: Ten spis prowadził do następnego, bardziej szczegółowego: do katalogu biblioteki, w którym sprawdzało się, co kto napisał. Przydatne było też zajrzenie do czasopism w czytelni wydziałowej. Starszych profesorów odnajdywało się w pismach przedwojennych i tuż powojennych, które przestały ukazywać się w latach 1949 i 1950. Młodszy — marksistowskie doktorzy i docenci — drukowali gwałtowne polemiki w *Myśli Filozoficznej*, czasopiśmie, które we wczesnych latach pięćdziesiątych zwalczało dotychczasową tradycję filozoficzną i socjologiczną. Jeszcze inni nauczyciele akademicy zaczęli dopiero publikować w ukazujących się od 1957 roku *Studiach Filozoficznych*, drukujących z początku także poważniejsze teksty socjologiczne (bardziej „teoretyczne”). Sąsiadowali tam autorzy o różnym stylu i różnej przeszłości, ci, których kilka lat temu zwalczano i ci, którzy ich zwalczali: Tadeusz Kotarbiński z Bronisławem Bączką, Kazimierz Ajdukiewicz z Adamem Schaffem. Sąsiadowaniu artykułów w piśmie odpowiadało współistnienie osób w gmachu Wydziału Filozoficznego.

Różnorodność *Studiów Filozoficznych* miała granice (niezbyt zresztą ostre): pismo mniej drukowało katolików i fenomenologów, ale tych trudno też było znaleźć wśród pracowników Wydziału Filozoficznego. Byli tam ateści zwalczani przez marksistów, co wierzącym może wydawać się dziwne, bo nie zawsze wie się, że inni mogą bardzo różnić się między sobą, byli księża w cywilu, zapewne niewierzący, którzy wstąpili do PZPR i stali się marksistowskimi specjalistami od religii, były też osoby, których stosunku do religii nie można było wywnioskować z ich prac naukowych. Fenomenologów po roku 1956 dopuszczono do uczenia w Krakowie, w Warszawie trudno ich było znaleźć. Członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej drukowanym w *Studiach Filozoficznych* i zapraszającym na seminarium profesor Marii Ossowskiej był Andrzej Grzegorzczak, logik, matematyk i autor artykułów filozoficzno-etycznych.

Gdy w roku 1963 zmarł filozof języka i poznania Kazimierz

Ajdukiewicz, przed kościołem na Powązkach, gdzie była msza żałobna, stali pracownicy Wydziału Filozoficznego, którzy nie czekali, jak myślałem, na początek mszy, ale na jej koniec, kiedy będą mogli dołączyć do pogrzebu. Najwidoczniej nie chcieli brać udziału w obrzędzie, w którym uczestnictwo odczuwali jako sprzeczne z sumieniem.

Uniwersytet, na który przyszedłem, był jednym z trwalszych rezultatów zmian z roku 1956, nazywanych „październikowymi”, ale nie ograniczających się do tego miesiąca. Profesorów niemarksyistów, usuniętych z uniwersytetu około roku 1950, przyjęto z powrotem w roku akademickim 1956/1957, kiedy byłem w gimnazjum. Socjologia w latach stalinowskich oficjalnie nie istniała, ale w roku 1957, po kilkuletniej przerwie, przyjęto znów studentów na pierwszy rok socjologii, która stała się jedną z dwu sekcji Wydziału Filozoficznego. W latach stalinowskich uznawano oficjalnie, że socjologia jest „burżuazyjna” i niesłuszna. Marksystowski i słuszny był „materializm historyczny”: zbiór poglądów zwanych czasem prawami i odnoszących się do różnych istnień abstrakcyjnych, takich jak „siły wytwórcze” lub „stosunki produkcji”. Niektóre z tych istnień dodawano jakoś do siebie i w ten sposób definiowano kolejne abstrakcje, z których jedne były przez inne „kształtowane” lub były „pierwotne”, co, jak mówiono, nie wyłączało oddziaływań wzajemnych. Te niezbyt sprecyzowane poglądy nazywano materializmem z powodów trudnych do wyjaśnienia, ale marksyści przekonywali siebie i innych, że ich idee społeczne mają coś wspólnego z materializmem w filozofii.

Specjaliści od „materializmu historycznego” trochę się przekwalifikowali i znaleźli się w sekcji socjologii w dwu katedrach: socjologii stosunków politycznych i historii myśli społecznej. Reszta była ideologicznie mniej skrępowana i partyjnie nie przynależna. W sekcji filozofii w roku akademickim 1956/1957 marksyści nieco się usunęli, robiąc miejsce profesorom poprzednio wyrzuconym i ich asystentom. Zmiany w części filozoficznej były jednak mniejsze niż w nowo wprowadzonej sekcji socjologii. Marksyści byli nadal w katedrach filozofii i historii filozofii, wykładali przedmioty podstawowe, innym przypadło miejsce z boku. Władysław Tatarkiewicz, historyk filozofii, redaktor zlikwidowanego w roku 1949 *Przeglądu Filozoficznego*, po roku 1956 nie wykładał już historii filozofii, przyznano mu katedrę estetyki. Jedyne zapewne wówczas w Warszawie filozof z prawdziwego zdarzenia, czyli po prostu filozof, Kazimierz Ajdukiewicz, wykładał logikę.

Kotarbiński, Tatarkiewicz, Ajdukiewicz, Ingarden, Maria i

Stanisław Ossowsky urodzili się pod koniec XIX wieku. Gdy ich słyszałem po raz pierwszy, każde z nich przekroczyło sześćdziesiąt lat, a Tatariewicz i Kotarbiński mieli po siedemdziesiąt. Po nich otwierała się luka pokoleniowa (a więc biologiczno-historyczna), brakowało około trzydziestu roczników, co było wyraźnym skutkiem okupacji niemieckiej i Powstania Warszawskiego. Po autentycznych profesorach, kształcących się przed lub tuż po pierwszej wojnie światowej, ludzi wartościowych można było dostrzec w pokoleniu studiującym bezpośrednio po drugiej wojnie światowej. Pod koniec lat pięćdziesiątych ci bezpośrednio powojenni uczniowie Ajdukiewicza, Kotarbińskiego, Ossowskiego mieli po trzydzieści lat, a przedtem jakoś przetrwali Powstanie Warszawskie, niektórzy nawet na Powstanie byli za młodzi.

Władysław Tatariewicz wykładał historię estetyki starożytnej i średniowiecznej. Tatariewicz omawiał, co w Piśmie Świętym mówi się o pięknie, sztuce i twórczości. Mówił o stosunku ojców Kościoła do pogańskich poglądów estetycznych i o ciemnym okresie historii Europy, kilku wiekach nie zaliczanych już do starożytności, ale jeszcze nie do średniowiecza. Oglądało się bardzo zwolniony film: jedno zdjęcie na wiek. Co wiek nowy autor pisał zbiór wiadomości. Nazywali się Izydor z Sewilii, Beda Venerabilis, Hraban Maur. Każdy z nich kopiował, komentował, dopisywał, przechowywał myśli i wiedzę autorów sprzed dziesięciu i pięciu stuleci. W dążeniu do zebrania i uporządkowania wiedzy mieli coś wspólnego z Tatariewiczem.

Tatariewicz zbierał zagadnienia i myśli w punktach, wskazywał podobieństwa i nowe ujęcia, wydobywał znaczenie ważnych słów. Mówił głośno, a poglądy, które przedstawiał, były wyraźne. Można było sprawdzić, że opisywani autorzy nie zawsze wyrażali się tak jasno, jak byli przedstawiani. Tatariewicz powiedziałby zapewne, że historyk nie powinien zaciemniać, ale rozjaśniać, starając się jednocześnie pokazać różnorodność i swoistość omawianych idei. Myślę, że Tatariewicz uważał filozofię (i estetykę) za działalność serio, dziedzinę, w której stawia się i rozwiązuje rzeczywiste zagadnienia. Historia filozofii była historią rozwiązywania tych zagadnień, a więc odnosiła się do rzeczywistości, o której filozofowie mówili, a nie do ich sytuacji społecznych, a zwłaszcza klasowych, o których lubili pisać marksści.

Nieobowiązkowe proseminarium z estetyki dla studentów pierwszego roku prowadził magister Najder. Zajęcia zaczęły się od omawiania istniejących definicji sztuki i celów definiowania, a więc od prób odpowiedzi na pytanie, co to jest sztuka i co chce się znaleźć, szukając definicji sztuki. Staraliśmy się zbu-

dawać definicję. Profesor Tatarkiewicz przyszedł na jedno ze spotkań. Wypisane na tablicy, wypracowywane długo określenie uznał za jedno z lepszych, z jakimi miał do czynienia, po czym skupił się na poszczególnych słowach i prawie każde okazało się wątpliwe, a niektóre w dodatku niesłuszne. Mimo że zajęcia były udane, Zdzisław Najder przestał wkrótce pracować w katedrze estetyki. Odszedł też (na emeryturę) profesor Tatarkiewicz, a w roku 1963 zlikwidowano redagowane przezeń pismo *Estetyka* (i na to miejsce stworzono inne czasopismo, pod inną redakcją).

Marksista profesor Adam Schaff wykladał obowiązujący na pierwszym roku wstęp do filozofii, dokładniej: teorię poznania, a głównie to, co nazywało się teorią prawdy. Ale bez względu na zagadnienie, filozofia była według tego wykładowcy walką materializmu z idealizmem, polegającą na tym, że filozofowie od czasów zamierzchłych do współczesnych powtarzali dwa zdania: jedno stwierdzało, że świat jest, drugie, że go nie ma. Opinie w tej sprawie dzieliły filozofów na dwa wrogie obozy. Z napięcia na twarzy profesora i epitetów powtarzanych za Marksem, Engelsem i Leninem, można było wnioskować, że kto zaprzecza istnieniu i „materialności” świata, nie tylko nie ma racji, ale popełnia przestępstwo moralno-intelektualne i powinien co najmniej znaleźć się w kryminale; może po to, by taki niegodziwiec „idealista” miał dowód, że świat istnieje. „Idealistom” proponowano, by uderzali głową o mur, a przekonają się, że materia jest i stawia opór. Zagadnienia filozoficzne miała rozstrzygać praktyka, jak to wykryli Marks, Engels i Lenin, w dodatku, może trochę w konflikcie z zaleceniem, by walić głową o ścianę, miała to być praktyka społeczna, a nie indywidualna (do ćwiczeń sprawdzających trzeba by więc wielu głów). Jak Lenin, profesor Schaff piętnował „idealizm i klechostwo”, czyli wiarę w duchy i krasnoludki („klechostwo” występowało w przekładach polskich zamiast oryginalnego słowa „popowszczyzna”). Idealistów utożsamiano z wierzącymi, a wspomnianie krasnoludków wyrażało pogląd, że wiara to zmyślenia, zaś zmyślenia są niepoważne. Czulo się, że mówca reprezentował władzę, która później miała go odepchnąć (w roku 1968, niezbyt zresztą brutalnie). Wykład i skrypt, z którym wykład był niemal identyczny, powodowały cierpienia poszukiwaczy porządku i sensu. Stosowało się tu powiedzenie (zdaje się, że Pawła Beylina) o nauczaniu marksistowskim (ściślej, o instytucie przy Komitecie Centralnym, gdzie kształcono materialistów dialektycznych i historycznych), że to skrzyżowanie chederu z komisariatem. Jednak w filozofii marksistowskiej przewagę miał chyba komisariat, bo podobno w che-

derach nie rozstrzygano wszystkiego od razu, a nauka była w miarę jasna i usystematyzowana.

Schaff mówił o podobnych sprawach co Ajdukiewicz w „Zagadnieniach i kierunkach filozofii”. Po pierwszym wydaniu powojennym książka Ajdukiewicza była rzadkością i wznowiono ją dopiero w latach osiemdziesiątych, zaś podręczniki Schaffa drukowano często. Różnica w zawartości polegała zwłaszcza na tym, że Ajdukiewicz wprowadzał ład. Gdzie rozróżniał, tam Schaff „sprowadzał”. W ujęciu marksistowskim stanowisko w jednej sprawie ciągle „sprowadzało się” do stanowiska w innej, teza „prowadziła” do innej, często w sposób niezny zwykłej logice, wszystko zaś „prowadziło” do opowiedzenia się filozofa po jednej lub drugiej stronie w sporze o istnienie i materialność świata oraz w walce klas (która „sprowadzała się” do walki dwu klas). Kontrowersje filozoficzne miała ostatecznie rozstrzygać leninowska zasada „partyjności”, praktyka zorganizowanego „ruchu robotniczego”, czyli zorganizowanych komunistów. Po latach Schaff spróbował pisać książki bardziej zwyczajne, trochę mniej partyjne, które nie przekazywały poglądów obowiązujących urzędowo i chyba nie zawsze były absolutnie marksistowskie (marksistowskość zależy między innymi od tego, jakie stanowisko w instytucjach zajmuje autor i co się o nim sądzi w odpowiednich instytucjach).

Podobne do głoszonych przez Schaffa poglądy na filozofię można było wyczytać z umieszczonych w spisie lektur dla pierwszego roku studiów dwu podręczników historii filozofii: starożytnej i średniowiecznej, wydanych w latach 1955 i 1956 przez Tadeusza Krońskiego i Leszka Kołakowskiego. Co wydano wtedy, napisano wcześniej i myślę, że to ujawnienie było niekorzystne dla autorów. Historię filozofii starożytnej i średniowiecznej wykładał wielbiciel filozofii rzymskiej, były ksiądz, następnie marksista, nie przesadnie starający się o jasność, co dobrze ilustruje wykres-labirynt obrazujący filozofię cesarstwa rzymskiego w napisanym przez tego wykładowcę podręczniku historii filozofii. Może zresztą ówczesna rzeczywistość filozoficzna była równie zagniatwana jak jej obraz, złożony z pokolorowanych korytarzy kłutych strzałkami. Proseminarium z „Polityki” Arystotelesa prowadził Grek, komunista lub krewny komunistów, znający polski zapewne z powodu przegranej tamtejszej rewolucji. Grecka partia komunistyczna organizowała wywożenie dzieci i młodzieży do krajów, w których, jak wtedy mówiono, była demokracja ludowa. Tę nazwę trudno chyba było przetłumaczyć na grecki i Arystoteles zapewne nazwałby ten ustrój inaczej.

Logiką i metodologią nauk zajmowały się na przemian dwie

katedry. Przyjemnością był wykład i seminarium profesora Kazimierza Ajdukiewicza. W pracach filozoficznych Ajdukiewicz badał poglądy dotyczące poznania jako odnoszące się do języka (wyniki poznania formułuje się w języku) i sprawdzał, czy przy określonej budowie języka można utrzymać dany pogląd na temat poznania. Marksściści uważali, że jest to metoda „idealistyczna”. Kiedy studiowałem, Kazimierz Ajdukiewicz jeszcze wykładał i prowadził seminarium, na które chodziło trzy do pięciu osób. Tadeusz Kotarbiński nie wykładał, ale wygłaszał odczyty i czytało się jego prace. Niektórzy jego uczniowie uczyli jednocześnie logiki i doktryny reistycznej, nazywanej też konkretyzmem, sformułowanej przez Tadeusza Kotarbińskiego i głoszącej, że chociaż mówi się nie tylko o rzeczach, to „w sensie podstawowym” istnieją tylko rzeczy. Tadeusz Kotarbiński różnie tę doktrynę formułował i w wersji łagodniejszej reizm miał powstrzymywać się od sądów o tym, co istnieje i co nie, natomiast wzywał do badania możliwości przekładu wypowiedzi na język mówiący tylko „o rzeczach”. Wiele tu pojawiało się spraw do wyjaśnienia: ów „sens podstawowy” istnienia, pojęcie „rzeczy” i języka reistycznego, pytanie, kiedy przekład jest zadowolający. Reizm stwarzał ciekawe trudności humaniście, psychologowi i matematykowi: każdy z nich bada rzeczywistość, którą trudno „urzeczowić”. Logice lepiej chyba wychodziło na zdrowie nieobciążanie jej poglądami na to, co i jak istnieje. Taką neutralność praktykował niedogmatyczny Ajdukiewicz, autor krytyki podstawowego dzieła Kotarbińskiego „Elementów”, którą Kotarbiński dołączył do późniejszych wydań swojej pracy (nieczęsto zdarza się podobny szacunek dla krytyki).

Poza logiką i metodologią nauk, nauczanie filozofii w Warszawie było marksistowskie i dość bezładne (te dwie właściwości się wspierały). Uczono głównie trzech przedmiotów: metodologii nauk (wykładanej bez zaangażowania w ideologię państwową), marksizmu i historii filozofii, którą zajmowali się marksści starający się marksizm rozszerzyć lub (później) wyjść poza tę doktrynę. Metodologia, marksizm i historia to jednak nie to samo co filozofia. Czasem, co prawda, historycy filozofii twierdzili, że filozofia i historia filozofii są tym samym. Ale jednak jako historycy omawiali filozofów, a nie historyków filozofii. Widać była jakaś różnica.

Trzydziestoletni historyk filozofii, Leszek Kołakowski, dał się poznać (mnie i moim rówieśnikom) jako autor drukowanych w *Nowej Kulturze* „opowieści budujących z historii świętej zaczerpniętych ku pouczeniu i przestrodze”. Opowieści, uzupełniane morałami i wnioskami filozoficznymi, świadczyły o błyskot-

liwości umysłu i słowa. Przedtem na łamach *Myśli Filozoficznej* Kołakowski pisywał druzgocące krytyki „idealizmu”, a we wspomnianym podręczniku umiał jednak lepiej rozróżniać filozofów średniowiecznych niż Kroński starożytnych: częściej znajdował w nich coś więcej niż „materializm” i „idealizm”. Popularność zdobyło mu utożsamienie filozofii ze światopoglądem, z prawdami ważnymi społecznie (nie wyodrębniła to tradycyjnych zagadnień filozoficznych). Na początku lat pięćdziesiątych uważano, że zagadnienia filozoficzne i społeczne są bliskie i że do historii filozofii polskiej należą poglądy w kwestii chłopskiej.

Kołakowski był tolerancyjny dla swoich uczniów, wygłaszających na seminariach teksty długie i dla mnie mało zrozumiałe. Wykładał rzetelnie, a jako eseista zwalczał „absoluty” i postawę „kapłana” (później to się trochę zmieniło). Nie trafiała mi do przekonania jego ówczesna argumentacja powołująca się na pisma młodego Marksa i skierowana przeciw klasycznej definicji prawdy, trudnej jakoby do utrzymania ze względu na konwencjonalne, związane z praktyką, wyodrębnienie obiektów i własności. Po opublikowaniu artykułu na ten temat Kołakowski przestał być redaktorem *Studiów Filozoficznych*, zapewne nie dlatego, że artykuł uznano za niesłuszny w sensie zwykłym, ale dlatego, że był niesłuszny w sensie marksistowskim. Autor proponował rozwiązania odmienne od przyjętych, a więc dopuszczał niejasności i wątpliwości tam, gdzie, jak uważano, nie powinno ich być.

Filozofią — w stylu Ajdukiewicza — zajął się Roman Suszko w opublikowanym pod koniec istnienia *Myśli Filozoficznej* (w roku 1957) artykule o diachronicznej logice formalnej. Ale filozofii raczej w Warszawie nie uprawiano. Mogłem później przekonać się, że uczono filozofii w Krakowie. Filozofowie zdarzają się rzadko, a właśnie w Krakowie był filozof: Roman Ingarden.

Ingarden był — wbrew stereotypom — empirykiem, badaczem nastawionym na rzeczywistość, starającym się uchwycić i opisać swoistość przedmiotów i swoistość doświadczenia. Przedmiotami, których skomplikowaną budowę opisywał, były obiekty tworzone przez człowieka jako budowniczego kultury: dzieła sztuki, należące do specyficznej rzeczywistości otaczającej ludzi, znaczącej, kruchej, podtrzymywanej w istnieniu przez akty odbioru i poznania. Ingarden badał, czym są dzieła sztuki: w jaki sposób istnieją i jak są zbudowane. Doprowadziło go to do oryginalnego postawienia i rozwiązania zagadnień istnienia w ogóle. O pracach Ingardena wiedziałem coś nim trafiłem na studia, ale myślałem, że jest to autor podobnie oddalony w czasie i przestrzeni jak Arystoteles. To, co było przed wojną, było daleko, ponieważ działo się przed moim urodzeniem. Trudno mi

przychodziło wyobrazić sobie, że ten ważny filozof jest człowiekiem współczesnym i w dodatku mieszka gdzieś w Polsce. Warszawiakom trudno uwierzyć, że są w Polsce ludzie, których nie spotyka się na Krakowskim Przedmieściu.

Może dlatego, że niełatwo było znaleźć filozofię na wydziale filozofii, zainteresowałem się również socjologią. Studiowałem na Wydziale Filozoficznym i szukałem ciekawych zajęć także poza sekcją filozofii: nie tylko tam można było znaleźć nastawienie badawcze i namysł. Ważna tu była postać Stanisława Ossowskiego, socjologa i humanisty, ale stosującego w sprawach społecznie doniosłych analizę filozoficzną: analizę zagadnień, znaczeń, słów. W pokoju profesora Ossowskiego wisiał Don Kichot (chyba Damierra). Był to jeden z niewielu na wydziale pokoi o indywidualnym stylu. Stanisław D., urbanista współpracujący z Ossowskim w czasie okupacji, gdy projektowało się miasta na po wojnie, mówił, że Ossowski był z wiersza Mickiewicza: jeśli uważał, że strzyżono, to gdyby go miano topić, starałby się jeszcze wystawić palce nad wodę i pokazać, że strzyżono. Tak było w stalinizmie. Ossowski tłumaczył marksistom, że może autorzy mogą być burżuazyjni (na przykład z pochodzenia — jak Marks i Engels), ale nie ma odrębnego rodzaju nauki, która miałaby burżuazyjną treść. Chciał przekonać marksistów, że niezależnie od nich sporo zdobyto już wiedzy, że do wiedzy warto podchodzić krytycznie i więcej uwagi zwracać na rozum i doświadczenie, a mniej na autorytety. Niektóre jego wypowiedzi w tym duchu drukowano bezpośrednio po wojnie, inne odnotowano w sprawozdaniach z Pierwszego Kongresu Nauki Polskiej w roku 1951, gdy inni chcieli odrzucać rozwiązania, pojęcia i problemy „socjologii burżuazyjnej”.

We wczesnych latach pięćdziesiątych Ossowski nie publikował. Pisał wtedy najlepszą zapewne polską książkę socjologiczną, „Strukturę klasową w społecznej świadomości”, pracę o tym, jak postrzegano podstawowe zróżnicowania społeczne. Teksty autorów marksistowskich były przykładem niektórych rodzajów tego postrzegania. Marksiści potraktowali tę pracę jako zamach na swoją doktrynę, której odbierano wyjątkowość. Sens polemiczny książki polegał między innymi na wskazywaniu przez Ossowskiego komplikacji tam, gdzie dla marksistów sprawy były proste. Pisząc „Strukturę klasową” Ossowski uważał, że najprawdopodobniej będzie to praca pośmiertna, która może ukaże się po czterdziestu latach. Opublikowana przez niego tuż przed wojną książka o więzi społecznej i dziedzictwie krwi była przeglądem wierzeń na temat odrębności plemiennej, narodowej i rasowej. Książka pokazywała, że skomplikowane są sprawy rasy i więzi

narodowej, o których mniej mówili wtedy marksiści, a więcej rzecznicy narodowo-plemiennych koncepcji historycznych i politycznych, a wśród nich narodowi socjaliści.

Jednym z pierwszych wykładów Ossowskiego, jakie słyszałem, był wykład o osobliwościach nauk społecznych, pokazujący, że w tych naukach lub na ich pograniczu zdarzają się postępowania dziwne, ale niekoniecznie usprawiedliwione. Wiadomo, że kto uprawia naukę, jest w wielu sprawach wolny: wybiera temat, pojęcia, definicje, czyli liczne decyzje podejmuje swobodnie, ale pozostaje na gruncie nauki (empirycznej), póki to, co mówi, zależy od doświadczenia, od kontaktu z rzeczywistością. Tak jak wykład profesora Mmaa z książki Themersona, również ten wykład profesora Ossowskiego pokazywał, że rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, niż może się wydawać. Tym razem tą rzeczywistością była praktyka nauk społecznych, przedmiot zainteresowania teoretyków nauki, a w tym marksistów, którzy często pisali o wpływie przekonań społecznych na rezultaty pracy naukowej. Wykład zmienił się później w artykuły i książkę. Inne wykłady profesora Ossowskiego niestety nie zostały w ten sposób utrwalone, między innymi wykłady o zagadnieniach komunikatywności, czyli o funkcjach wypowiedzi, wykłady z teorii kultury i z socjologii religii, widzianej przez przeżycia, instytucje, role społeczne.

Także i Maria Ossowska wróciła na uniwersytet w roku akademickim 1956/1957. Maria Ossowska wiedziała dobrze, że zajmuje się nauką o moralności. Ale słuchacze i czytelnicy o nastawieniu potocznym mieli często kłopoty ze zrozumieniem, co to w jej ujęciu znaczyło, zajmować się moralnością. Jak mówiła, myślano, że ma zamiar wygłaszać pouczenia (zresztą skądinąd potrzebne). Ludzie oceniają, i zwłaszcza ganią, mając poczucie, że nie chodzi o piękno lub brzydotę estetyczną i nie o użyteczność lub jej brak, ale właśnie o moralność. Pytając, czym jest moralność, zmierza się przede wszystkim do ustalenia, czy oceny odzyskane jako moralne mają coś wspólnego i swoistego. Co wyodrębnia te oceny? Do czego się odnoszą? Jak się zmieniały i co na te zmiany wpływało (od czego więc moralność zależy)? Co dzieje się na terenach pogranicznych moralności i innych dziedzin (ocen praktycznych, estetycznych, norm i zakazów prawnych)? Czy można znaleźć potępienia moralne względnie niezmiennie i niezależnie od kultury?

Rozważania Marii Ossowskiej na te tematy były prowadzone w stylu charakterystycznym dla filozoficzno-humanistycznej szkoły lwowsko-warszawskiej. Analitycznym i jasnym, na ile przedmiot na jasność i precyzję pozwala. Podobnie badał postawy wobec sztuki lub koncepcje struktury klasowej Stanisław Ossowski.

Wykłady i książki Marii Ossowskiej były zakończone, niełatwo było znaleźć miejsce na wtrącenie się i własne rozwinięcie rozwiązywanych zagadnień. Stanisław Ossowski w znacznie większym stopniu dopuszczał współistnienie stylu przyjętego w nauce z właściwym dla sztuki. Był precyzyjny, ale posługiwał się też umiejętnie metaforą, odległymi zestawieniami, niedopowiedzeniem, skrótem. Maria Ossowska (podobnie, zresztą, jak Władysław Tatarkiewicz) zrealizowała plany naukowe, które sobie wyznaczyła na dziesięciolecie. Ossowski, zafascynowany różnorodnością w psychice, kulturze, w poglądach na świat, rozsiewał pomysły. Może jeszcze wzejdą.

W okresie moich studiów profesor Ossowski opiekował się Kołem Naukowym Studentów Socjologii, które — używając późniejszej terminologii — można by nazwać niezależnym i samorządnym. Sami, choć pod kierunkiem asystentów Ossowskiego i z widoczną z jego strony uwagą, studenci organizowali badania terenowe (w roku 1959 w Świnouściu badano stabilizację mieszkańców, ten temat podjęto później w innych miastach, od roku 1960 seria badań w Nowym Sączu miała za przedmiot niezależne działania zbiorowe nazywane „uspołecznieniem”). Studia socjologiczne były nowością i improwizacją. Program studiów zawierał wiele miejsc, które można było wypełniać w różny sposób i Koło Naukowe niektóre z nich wypełniało. Było grupą koleżeńską i może nawet przyjacielską, a jednocześnie środowiskiem, w którym można było się czegoś nauczyć. Studenci organizowali międzyuczelniane sympozja socjologiczne, finansowane przez Komisję Nauki Zrzeszenia Studentów Polskich. Na sympozja zapraszano studentów i asystentów z innych uniwersytetów państwowych, a także z KUL i z partyjnej szkoły wyższej, noszącej wtedy nazwę Wyższej Szkoły Nauk Społecznych. Kontakty niektórych kolegów z WSNS były na tyle dobre, że bal studentów socjologii — na który zaproszono oboje Ossowskich — odbył się w wielkiej sali WSNS na Bagateli. Występowała „Piwnica” krakowska. Zapraszany profesor Ossowski spytał, czy nie można było tego zorganizować trochę dalej od ambasady radzieckiej.

Bezpośrednio po roku 1956 obydwójce Ossowsky prowadzili prócz katedr uniwersyteckich zakłady w Polskiej Akademii Nauk. W roku 1960 postawiono ich wobec wyboru: albo uniwersytet, albo akademia nauk. Wybrali uniwersytet. Nie wszystkich jednak zmuszano do takiego ograniczenia: niektórzy marksiści łączyli nadal funkcje w obydwu instytucjach.

Oprócz katedry socjologii, kierowanej przez Stanisława Ossowskiego, bezpartyjnej, pojawiła się — na zasadzie zmiany nazwy — marksistowska i skupiająca członków PZPR katedra „socjolo-

gii 2". Jej kierownik, do powstania PZPR socjalista, później przez kilka lat krytyk „socjologii burżuazyjnej”, Julian Hochfeld, na początku lat sześćdziesiątych opublikował ciekawą i użyteczną do analizy współczesnego społeczeństwa komunistycznego interpretację rozważań Marksa i Engelsa o klasach społecznych.

Marksizm w powojennej filozofii i socjologii w Polsce nie zdobył sobie przewagi, zwłaszcza intelektualnej. Był jednak obecny i jego rzecznicy mieli decydujący głos w ważnych instytucjach. Marksizm był dogmatyzmem, ale niezbyt precyzyjnym, interpretację nadawały dogmatom autorytety. Przyjmowano ważność doświadczeń „ruchu robotniczego” w nauce (zwłaszcza w naukach społecznych), co polegało na tym, że aparaczczyki w wydziale nauki Komitetu Centralnego rozstrzygali „czy to dla nas dobrze, czy źle”. Działanie instytucji, nominalnie państwowych, zależało od aparaczczyków partyjnych. Państwo nie było neutralne ideologicznie i gdy marksiści (ludzie deklarujący się jako marksiści i uznawani za takich przez władzę) uznali za stosowne się wypowiedzieć, należało do nich ostatnie słowo w wydawnictwach i czasopiśmie państwowych. Marksizm narzucano i dlatego między innymi interesowały mnie spory z tą doktryną, a także z popularyzowanym później przez niektórych rozczarowanych marksistów przekonaniem o ponoć usprawiedliwionej daleko idącej dowolności w naukach społecznych. Te sprawy były tematem referatów na sympozjach socjologicznych. Materiał wtedy zebrany przydał się do napisania artykułu Adama Terna o marksizmie i polskiej filozofii i socjologii, przeznaczonego dla holenderskiego czasopisma, ale wydrukowanego także po polsku (w roku 1973 w *Aneksie*).

Prócz studenckich sympozjów socjologicznych były filozoficzne. Byłem na takim sympozjum na przełomie września i października 1962 roku, na Bukowinie. Zjechano z różnych stron. Pojawił się profesor Schaff, który w bezpartyjnej atmosferze chyba nie czuł się swobodnie. Coś potępił, wyjechał. Był Ingarden, konferował z panią docent Gierulanką, słuchał referatu swego ucznia-marksisty o metodzie fenomenologicznej w „Kapitale” Marksa i z oburzeniem zwracał się do Leszka Kołakowskiego: — Pan napisał, że Spinoza był materialistą! Koleżanka z KUL mówiła o wykładach z etyki docenta Karola Wojtyły. Znany metodolog nauki złamał nogę, pokonując przeszkody terenowe. Obrady czasem odbywały się przed pensjonatem, na zboczu wzgórza, i między dyskutującymi adeptami filozofii przechadzały się owce. Spod ławki odzywał się — niezbyt trzeźwy — etyk marksistowski.

W listopadzie 1963 roku zmarł Stanisław Ossowski. Pogrzeb odbył się w milczeniu, nie było mszy ani przemówień. Nad

grobem odegrano arię na strunę g Bacha. W tym samym roku, mając niewiele ponad 30 lat, popełnił samobójstwo Andrzej Malewski. Malewski, metodolog, psycholog i socjolog, był zatrudniony w Polskiej Akademii Nauk, a nie na Wydziale Filozoficznym, ale na wydziale uczestniczył w seminariach i wykładał o teoriach w naukach o zachowaniu się człowieka. Wykłady te zwracały uwagę oryginalnością i dojrzałością metodologiczną. Andrzej Malewski napisał podręcznik logiki praktycznej, użyteczny dla tych, co nie lubią zamętu i wola, by zapał ideologiczny nie przyciemniał umysłu: „ABC porządnego myślenia”. Był też autorem wielu artykułów o teoriach, między innymi o tym, jakie twierdzenia ogólne i sprawdzalne o społeczeństwie można sformułować korzystając z twórczości marksistów (nazywanej materializmem historycznym). Materialiści historyczni zaprotestowali i wiadać było, że czują się obrażeni podejściem świeckim, próbą znalezienia twierdzeń, gdy im chodziło o całość doktryny.

Studia bywają sposobem atrakcyjnego i ciekawego spędzania czasu, co może polegać na tym, że są okazją do lektur i pisania. Z referatów powstawały artykuły i dwa z napisanych przeze mnie opublikowano w *Studiach Socjologicznych*, nowym i ważnym wtedy (co najmniej dla studentów socjologii) piśmie, ukazującym się od 1961 roku pod redakcją Zygmunta Baumana. Kończąc studia, zająłem się redakcją jednego z numerów innego czasopisma. Przedtem dość pracowicie redagowałem własne teksty i ankiety socjologiczne. *Studia Socjologiczno-Polityczne* ofiarowały jeden z zeszytów do zagospodarowania Kołu Naukowemu Studentów Socjologii. Gdy na początku lat sześćdziesiątych kończyli studia socjologiczne absolwenci wykształceni po 1956 roku, Koło nie traciło z nimi kontaktu, w numerze były więc także artykuły niedawnych absolwentów. Do Koła Naukowego nie można się było zapisać, nikt też się z niego nie wypisywał, można było natomiast — w różnym stopniu — uczestniczyć we wspólnych przedsięwzięciach. Była to organizacja nieformalna, w której nie było listy członków i obowiązywała zasada, że jest się członkiem Koła, jeśli bierze się udział w jego pracach. W piśmie były więc artykuły osób, które coś w Kole Naukowym robiły. Rozmawiałem z autorami i proponowane im zmiany przyczyniły się niekiedy do jednolitości stylu, którą trudno zalecać, jeśliby pismo miało być ciekawe.

Redaktor, który działa w warunkach korzystnych dla siebie i czytelników i ma już wybranych lub wykształconych autorów, może nie zmieniać tekstów i ograniczać się do przyjmowania lub odrzucania. Ale jeśli ktoś na własnym przykładzie sprawdził, że teksty można poprawiać, próbuje przekazać tę ideę innym. Może

to przyczynić szkód, jeśli wierzy się, że istnieją reguły stylu obowiązującego bezwzględnie, a często też wtedy, gdy niejasny tekst redaktor poprawia bez autora, którego intencje trudno uszanować, bo z trudem się je dostrzega i trzeba zgadywać, co autor chciał powiedzieć. Na szczęście koledzy-autorzy byli na miejscu i bez przeszkód możliwe były wspólne literaturoznawczo-psychologiczne badania nad intencjami.

W roku 1964 skończyłem studia filozoficzne, broniąc pracy o typach sporów w naukach społecznych, nawiązującej do niektórych zagadnień Stanisława Ossowskiego z wykładów i z książki o osobliwościach nauk społecznych. Praca ukazała się w *Studiach Socjologiczno-Politycznych*. W pierwszej wersji był to referat na sympozjum socjologiczne w Zakopanem, na którym był jeszcze i Stanisław Ossowski, i Andrzej Malewski. Egzamin magisterski zdawałem ze specjalnością z logiki, a zacząłem pracować w Katedrze Metod Badawczych w Socjologii, kierowanej przez Klemensa Szaniawskiego, autora prac metodologicznych o indukcji statystycznej, wykładającego statystykę socjologom. Katedrze Socjologii prowadzonej przez Stanisława Ossowskiego odebrano po jego śmierci nazwę i zadania (wykładanie wstępu do socjologii), przejęte przez Katedrę Socjologii 2. Zespół jednak został, do pracy przyjął mnie Stefan Nowak, uczeń profesora Ossowskiego i autor najciekawszych polskich badań ankietowych: na temat światopoglądu studentów. Podobno po trzydziestu latach badania te mają zostać opublikowane w książce (zawsze były z tym kłopoty). W roku 1962 z ferworem — a bez znajomości rzeczy — badania te skrytykował w *Polityce* główny wówczas pośrednik między PZPR a filozofami i socjologami, filozof marksistowski Adam Schaff (krytyka z jego strony miała znaczenie urzędowe i nie zapowiadała niczego dobrego w sprawie kontynuacji i publikacji badań). Stefan Nowak jest także autorem podstawowych prac z metodologii nauk społecznych, w tym pracy o analizach przyczynowych, a więc na temat, o którym, uczestnicząc nadal w niektórych pracach jego zespołu, napisałem po wyjściu z więzienia pracę doktorską.

7. PO STUDIACH

Wydział Filozoficzny nie był szkołą zawodową. Jedną z jego głównych funkcji było kształcenie nauczycieli uniwersyteckich, którzy będą dalej przekazywać wiedzę, w nadziei, że coś z tego wyniknie i ktoś z kolejno kształconych osiągnie coś wartościowego. Po studiach zostawało się stażystą, później asystentem, który siadał w sali blisko tablicy i trochę młodszych od siebie uczył jednego z przedmiotów ze spisu zajęć, co w lepszych przypadkach polegało na tym, by starać się ułatwić studentom naukę samodzielną.

W październiku 1964 roku po raz pierwszy prowadziłem zajęcia uniwersyteckie. Jako wstępne z metodologii były poświęcone naukom o nauce. Było to proseminarium z metodologii badań społecznych przeznaczone dla drugiego roku socjologii. Zajęcia dla przyszłych socjologów usługowe, odwołujące się do wiedzy logicznej i filozoficznej. Miały nie tylko pokazywać, na czym polegają poszczególne metody badań, ale mówić też o właściwościach języka nauki i poznania naukowego, pokazywać „naukową perspektywę świata”, o której pisał Ajdukiewicz. Ważne było rozróżnienie czynności, rodzajów postępowania w nauce, wskazanie, do czego te czynności służą, co na podstawie badań można odpowiedzialnie powiedzieć. Ci, którzy uczyli tego przedmiotu, mówili o sprawach między filozofią nauki, uprawianą jako dość abstrakcyjne i ściśle rozważania „modelowe”, a wskazaniami praktycznymi, a więc receptami, jak poprawnie przygotowywać, prowadzić i interpretować badania. Próbowaliśmy zachęcać do działań umysłowych: do odróżniania, wnioskowania, sprawdzania, zdawania sobie sprawy ze stopnia pewności wniosków.

Oprócz metodologii nauk społecznych uczyłem psychologii społecznej. Znowu zajęcia usługowe, przedstawiające wiedzę do wykorzystania, to, co z wiedzy psychologicznej może być uży-

teczne dla socjologa. Były tam informacje o ogólnej teorii zachowania się, psychoanalizie, teoriach na temat poznania i przekonań. Wiele mówiło się o psychologii ideologii, o sposobach, w jakie spostrzega się istniejący lub widzi się upragniony świat społeczny. Tym sprawom poświęcone były amerykańskie badania nad „osobowością autorytarną”, z początku dotyczące konkretnych ideologii (antysemityzmu i faszyzmu), ale które przeszły następnie do badania ogólniejszych skłonności psychologicznych. O takich ogólniejszych skłonnościach do ideologii „twardych” i „zamkniętych” pisał Milton Rokeach w pracy o umyśle „otwartym” i „zamkniętym” lub Eysenck w „Psychologii polityki”. W Polsce o psychologicznych zagadnieniach ideologii pisali Andrzej Malewski i Stanisław Ossowski, którego książkę „Z zagadnień psychologii społecznej”, złożoną do druku w latach czterdziestych, wydano dopiero pośmiertnie w roku 1967, przedtem jednak półprywatnie i półoficjalnie powielono rozdziały poświęcone wartościom, osobowości i związkom ideologii z ustrojem. Uniwersytecki obieg tekstów i informacji był znacznie szerszy niż obieg drukowanych tekstów powszechnie dostępnych.

Po studiach czasem czyta się sporo, również to, co może powinno się przeczytać wcześniej. Czytałem znaczną część prac publikowanych w Polsce z filozofii i socjologii, sięgając wstecz, bo zwłaszcza w filozofii starającej się o wypowiedzi ściślejsze i uzasadnione i o rozumowania lepiej uchwytnie — wiele tekstów wartościowych opublikowano w dwudziestoleciu międzywojennym i bezpośrednio po wojnie. Wiadomo, że nauka, a szczególnie jej dziedziny bliskie humanistyce, rozwija się w rozmaitych nurtach, stylach, wokół różniących się sposobów rozumienia świata. Dość dobrze poznałem jeden z takich stylów, czy sposobów, który panował w socjologii i polegał na tym, że badano pewien zbiór osób i szukano prawidłowości, współzależności w ich zachowaniu się. Najczęściej zbierano odpowiedzi na ankiety i sprawdzano, co podnosi lub obniża szanse udzielenia takich lub innych odpowiedzi. To pomagało stawiać i sprawdzać hipotezy na temat innych spraw niż odpowiedzi w ankiecie. Bardzo ważna dla socjologów była sprawa wskaźników, oznak, czyli wnioskowania z tego, co zbadano, o czymś innym, czasem ukrytym. W psychologii społecznej wzbogaceniem schematu badań ankietowych były eksperymenty, w których hipotezy sprawdzano przy bardzo wielu założeniach, a więc badacz rzadko mógł uważać się za zmuszonego do akceptacji lub odrzucenia hipotezy. W swoich najlepszych wersjach był to zdyscyplinowany i odpowiedzialny styl uprawiania nauki, który jednak, tak jak i inne style, miał ograniczenia: socjologia rzadko interesowała się prze-

szłością i rzadko korzystała ze źródeł niezaprojektowanych przez badacza; okრężnie i bardzo ostrożnie podchodzono do świata wewnętrznego, o przeżyciach, uczuciach i poglądach wnioskowano właśnie na podstawie wskaźników, takich jak odpowiedzi osób badanych; kultura tkwiła według socjologów raczej w poszczególnych ludziach niż w tym, co wytwarzają. Przy opracowywaniu wyników ankiet, będących ulubioną metodą i wzorem badań, panowało podejście równościowe: wyniki tak opracowywano, że każda osoba miała to samo znaczenie. Jednak w wielu dziedzinach życia społecznego, często w polityce, a także w sprawach kultury, trudno taką równość uzasadnić.

Uniwersytet to możliwość długich wakacji. We wrześniu 1965 roku byłem we Francji i mieszkałem w *chambre de bonne* w Boulogne, tuż za granicą Paryża. W Polsce policja mnie o to nie pytała, ale mogę powiedzieć: czytałem książki (głównie te wydawane na emigracji) i oglądałem obrazy. W Paryżu stały jeszcze Hale i stragany na pobliskich ulicach, gdzie w nocy był gwar i handlowano jarzynami. Muzeum sztuki nowoczesnej było w Palais de Tokio, nie zbudowano jeszcze Centre Pompidou. Tym bardziej nie było Musée d'Orsay, impresjoniści byli w Jeu de Pomme. Oglądałem obrazy znane z książek, a książki pożyczano mi w dwu księgarniach polskich w Paryżu, na wyspie Św. Ludwika i na Bulwarze St-Germain. Pieniądzy miałem bardzo mało, kupowanie książek nie wchodziło w rachubę.

W Bibliotece *Kultury* wyszedł wtedy „Kosmos” Gombrowicza i zbiór wierszy Miłosza „Gucio zaczarowany”. „Kosmos” był tekstem poetyckim, powieścią kryminalną i poważnym traktatem o rozszyfrowywaniu znaków, odtwarzaniu i tworzeniu rzeczywistości (sam Gombrowicz zresztą opisywał później swoją powieść w „Dzienniku” jako dzieło metodologiczne). Czytałem nowe i dawne numery *Kultury* (niektóre znałem z Polski), lekturę zaczynałem zwykle od Gombrowicza i Mieroszewskiego. Gombrowicz toczył walki o istnienie literackie, relacjonował sukcesy, opisywał miasta, pisarzy i „swojego człowieka”. Był już w Europie. Nie przepadał za polityką, ale to nie przeszkadzało mi wglębiać się w sąsiadujące z „Fragmentami z dziennika” plany i wizje polityczne Mieroszewskiego.

Kto w Polsce otarł się o socjologię, mógł mniej więcej wiedzieć, co to są sprawy społeczne, ale polityka, a już zwłaszcza międzynarodowa, była abstrakcją, planowaniem przyszłości trudnym do odróżnienia od marzeń. Polityka zakłada warunek, który wydawał się niełatwy do spełnienia: samodzielność decyzji. O ile można było sobie jakoś wyobrazić ulepszenia społeczne, to wiadomo było, że politykę prowadzi się w Polsce poza zasięgiem

doświadczenia zwykłych ludzi. Jeśli w ogóle dzieje się coś politycznego (na ogół na małą skalę), to wśród urzędników partyjnych. Sens słowa „polityka” i zakres spraw politycznych się zmieniały. W czasach stalinowskich niemal wszystko było polityczne, ale później wydawało się, że uczenie na uniwersytecie, budowa domów i może nawet po części rolnictwo nie należą do polityki (choć urzędnicy często o tych sprawach decydowali).

W *Kulturze* eseje o malarstwie i literaturze (Czapskiego lub Jeleńskiego) sąsiadowały z rozważaniami o przyszłej Europie (Brzezińskiego lub Mieroszewskiego). Wiele miejsca poświęcano historii oficjalnie nieistniejącej. Prócz serii „Dokumentów” i *Zeszytów Historycznych* zaczęło w tym czasie ukazywać się „Archiwum Rewolucji”, w którym wydano między innymi historię policji i terroru w ZSRR: „Terror i rewolucję” Borysa Lewickiego. W Bibliotece *Kultury* niedługo przed moim pobytem w Paryżu ukazała się „Polityka Becka” Stanisława Mackiewicza, wówczas autora z Polski, piszącego o czasach, gdy polityka polska jednak istniała (choć Mackiewicz krytykował jej głównego twórcę). W *Kulturze* drukowano też wtedy przesyłane z Polski artykuły polityczne Gastona de Cérizay. Sprawdzaniem, czy dwaj ostatnio wymienieni autorzy są tą samą osobą, zajęła się niebawem w Warszawie policja.

W roku 1966 brałem udział w kilkudniowym spotkaniu socjologów pod Oslo. Mieszkaliśmy za miastem i mało było okazji, by je obejrzeć, ale pokazano nam muzeum Muncha i park z rzeźbami Vigelanda. Wśród Norwegów był Johan Galtung, którego podręcznik teorii badań społecznych, opublikowany wkrótce, był użyteczny w sprawach, które mnie interesowały. W roku 1966, po wypełnieniu formularzy zabłąkanych na uniwersytecie i wzięciu udziału w konkursie, zostałem przyjęty do szkoły letniej w Amsterdamie, zajmującej się analizą danych zebranych w badaniach. Zobaczyłem Rijksmuseum, a w Stedelijk Museum (miejskim muzeum sztuki współczesnej) na tle pop-artu odbywał się wykład Louisa Guttmana, autora pomysłów metodologicznych związanych z badaniem statystycznym właściwości ukrytych. Z Amsterdamu pojechałem na Międzynarodowy Kongres Socjologiczny w Evian, nad Jeziorem Genewskim. Socjologowie polscy uczestniczyli w takich kongresach jako delegacja. Mnie nikt nie wysyłał, ale znajomi uczestnicy obrad dali mi kartę wstępu, nawet na pływanię i wycieczkę statkiem po jeziorze. Słuchałem referatów wygłaszanych zgodnie z kluczem geopolitycznym (kongres finansowało UNESCO). Raymond Aron występował w dwugłosie z oficjalnym marksistą z Polski. Socjologów radzieckich, którzy nie mówili w językach zachodnich, tłumaczono zdanie po zdaniu i

dzięki temu przeciętna obrona materializmu historycznego odbywała się powoli i trwała dwa razy dłużej niż zwykły referat po angielsku lub po francusku. Wróciłem do Warszawy przez Paryż i Londyn. W latach 1965 i 1966 miałem okazję zobaczyć nowe pejzaże miejskie, muzea i księgarnie (w których długo przeglądałem książki; w Paryżu nie zbankrutowała jeszcze *Joie de Lire* na rue St-Severin, księgarnia otwarta do późnych godzin nocnych). Zobaczyłem ludzi znanych mi dotychczas z lektury (na przykład Czesława Miłosza lub Józefa Czapskiego). W roku 1968 miałem wyjechać ze zorganizowaną na Wydziale Filozoficznym wycieczką do Wilna, ale wycieczka, planowana na kwiecień, już się nie odbyła (w Wilnie nigdy nie byłem). Paryż był bliżej niż Wilno i Lwów, ale też nie blisko: do Paryża następnym razem wybrałem się w dwanaście lat później.

W roku 1967 prowadziłem letnie praktyki badawcze dla studentów, dostałem zawiadomienie, że przyznano mi paszport, ale nie wyjechałem w czasie wakacji za granicę. Paszportu nie odebrałem, uważałem, że zajęcia wakacyjne są ważne, a wyjazd nie jest pilny. Rzeczywiście, odwlekał się, później nie tylko odmawiano mi paszportu, ale także stempla w dowodzie osobistym, uprawniającego do przekroczenia granicy z NRD; te stemple w okresie wczesnego Gierka uważano za świadectwo liberalizacji. Spóźniony wyjazd trwa, gdy to piszę. Poczucie niemożności wyjazdu, zatrzymanie, nie jest przyjemne i nawet jeśli z możliwości nie korzystałem, wolałem, aby istniała.

Od jesieni 1966 roku chodziłem na zajęcia z matematyki dla pierwszego i drugiego roku studiów, słuchałem zresztą wykładów z matematyki i wcześniej. Dyscypliny umysłowej i świadomości tego, co się robi; brakowało mi w niektórych rodzajach filozofii i często w socjologii. Z języka matematyki i rodzaju badań w matematyce zdaję sobie mniej więcej sprawę, ale jej uprawianie przeze mnie nie przeniosło się do rzeczywistości ze sfery możliwości o trudnym do określenia prawdopodobieństwie.

W roku akademickim 1967/1968 prowadziłem w pierwszym semestrze wykład z metodologii nauk społecznych. Stefan Nowak, szef zakładu, był wtedy za granicą, a inni koledzy kończyli później wykład w drugim semestrze, wyszczerbionym bardziej przez mściwe decyzje władz niż przez strajki studenckie, które w marcu 1968 wyznaczano kiedy było jak najmniej zajęć: zdarzały się strajki wieczorem, w nocy i w soboty. Wykłady pokazywały, jak — z metodologicznego punktu widzenia — widzę pracę, w której wobec rzeczywistości społecznej zajmuje się postawę badacza, a więc taką, w której raczej chce się wiedzieć, co się dzieje, niż coś ludziom zasugerować lub ich do czegoś nakłonić.

Ostatnie zajęcia z metodologii prowadziłem w drugiej połowie marca 1968 roku. Budynek Wydziału Filozoficznego zamknięto na kilka dni bez podania powodów, ale to jeszcze nie było równoznaczne z rozwiązaniem sekcji filozofii i socjologii. W tym niespokojnym czasie zarządzający uniwersytetem zdecydowali się skomplikować dodatkowo życie studentom i pracownikom. Można było przypuszczać, że policja chciała bez przeszkód zrewidować gmach (który jakoś zwrócił jej uwagę) i może zakładała też lub ulepszała podsłuchy. Zastępczo mieliśmy zajęcia na Karowej, w nieciekawej kamienicy blisko skarpy wiślanej. Była to zapowiedź przyszłości, bo następnie do tego właśnie budynku przeniesiono — jakby za karę — Instytut Socjologii (nie było tej nazwy, gdy studiowałem i pracowałem na uniwersytecie). Wtedy w marcu na Karowej było za mało sal i zajęcia odbywały się na korytarzu. Nie myślałem, że to ostatnie. Tablicy nie było, trzeba było pisać na kartce, zamiast kredy używaliśmy szminki oddanej przez jedną ze studentek. Poświęcenie piękna dla wiedzy pomagało w tym, by wzory mogli jako tako widzieć siedzący z daleka.

W marcu 1968 roku dostałem pismo urzędowe ze stemplem i podpisem (niestety nie pamiętam, czym), zawiadamiające że do czasu komisji dyscyplinarnej jestem zawieszony w prawach i obowiązkach prowadzenia zajęć. Nie przestałem być zatrudniony na uniwersytecie i miałem nadal obowiązki: moim obowiązkiem było nieuczenie (jakoś się z tego wywiązywałem). Wkrótce „zawieszenie” przestało odgrywać rolę, bo w ogóle skreślono wszystkich studentów kilku kierunków humanistycznych i trzeciego roku studiów Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Wśród kierunków studiów dotkniętych w całości tym zarządzeniem były filozofia i socjologia, na które studenci mieli zapisywać się od nowa. W maju, gdy zajęcia wznowiono, nie mogłbym ich prowadzić, nawet gdybym nie był „zawieszony”, bo znalazłem się w więzieniu. Komisja dyscyplinarna w mojej sprawie chyba nigdy nic nie postanowiła i nie słyszałem, by się zebrała. Stan zawieszenia trwał i moja matka odbierała za mnie pensję jeszcze podczas mojego drugiego pobytu w więzieniu — w roku 1969. Dopiero wtedy stan zawieszenia zmieniono mi w stan niezatrudnienia. W następnym roku, 1970, poznałem nowy zakład pracy już poza Warszawą: Przedsiębiorstwo Wyrobów Skórzanych w Strzelcach Opolskich.

8. POLSKA

Jak wiele spraw po części abstrakcyjnych i rozległych, sens słowa „Polska” poznaje się na przykładach. Później dziecko lub młody człowiek może dowiedzieć się, o czym przykłady mówiły. O Polsce wie się z rozmów osób dorosłych i z pierwszych lektur. Dzięki trochę starszemu powinowatemu, Krzysiovi F., dostaliśmy przedwojenne książki dla dzieci: Anczyca „Historię Polski w 24 obrazkach”, Or-Ota „Abecadło wolnych dzieci”, „Rymy dziecięce” Hłakowiczówny. Książki były ilustrowane, treść i rymy proste. Hłakowiczówna pisała: „Bolszewicy, bolszewicy węższą, tropią na granicy, a jeden się rozzuchwala, nasz dwór w (nazwy miejscowości nie pamiętam, chyba była litewska) podpala”. W roczniku przedwojennego pisma dla młodzieży drukowano w odcinkach powieść o roku 1920. O polityce rewolucyjnej mówiło się w opowiadaniu mojego stryja „Drugi brzeg”. Dorastający narrator mieszkał z ciotką, której przez pomyłkę nie zabili bolszewicy. O Polsce mówiły wiadomości niepisane z przeszłości rodziny; z jako tako żywymi postaciami z początku zeszłego wieku, z Wilna, a więc spoza granic Polski obecnej.

O tym, że Polska się ścieśniła, było wiadomo także dlatego, że w domu w Czerniakowie mieszkało pięć siostr (było ich w sumie siedem), spośród dziewięciorga rodzeństwa urodzonego w zeszłym wieku na Ukrainie. Mąż jednej z nich, Zofii z domu Nowickiej, mój dziadek Wojciech Zatwarnicki, po pierwszej wojnie światowej postanowił nabyć i prowadzić gospodarstwo ogrodnicze w granicach administracyjnych Warszawy (gospodarstwo później zmniejszało się, gdy zbliżały się zabudowania miasta). Dziadek Zatwarnicki nakłonił jedną ze swoich trzech córek, moją matkę, by skończyła SGGW (Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego), co zrobiła z dobrymi wynikami i szybko: mając dwadzieścia jeden lat. Nie miała jednak ochoty zajmować się rolnic-

twem. Dziadek zmarł w roku 1948, moja matka miała wtedy trzydzieści pięć lat, miała już dwóch synów i spodziewała się trzeciego. Objęła odpowiedzialnością i opieką więcej spraw i większą rodzinę, prowadzenie gospodarstwa, utrzymanie drugiego domu, swojej matki i jej siostr. Na początku wojny, gdy Polskę podzielono, moja babka i jej siostry postarały się — w obawie, że osoby urodzone na wschodzie będzie się tam wywozić — zmienić miejsce urodzenia w Kennkartach. Miały wpisane, że urodziły się w Lublinie lub w województwie lubelskim i przy okazji zmieniły też daty urodzenia. Później te informacje przeniesiono do dowodów osobistych. Na tym przykładzie widać, że korzystając z dokumentów urzędowych jako źródeł historycznych, warto uwzględniać szerszy kontekst, a w tym na przykład ruchy państw i przewidywane ruchy ludności.

We wrześniu 1939 roku mój ojciec nie był zmobilizowany, przedostał się z Warszawy do Lwowa, zgodnie z przewidywaniami mobilizacji uzupełniającej na ziemiach wschodnich. Po 17 września, jak mówił, ludzie poczuli zimno z rozległych terenów, które otworzyły się za plecami. W październiku udało mu się przez bardzo jeszcze niebezpieczną granicę wrócić do Warszawy. Urodziłem się, gdy Niemcy wkroczyli do Paryża. W trzy lata później urodził się mój brat Wojtek.

W lecie 1944 roku wiadomo było, że front zbliża się do Warszawy i na pewno zbliżają się jakieś walki. Ludzie przenosili się ze swoich dzielnic do innych, przekonani, że wybierają miejsca bezpieczniejsze: z nami na Bacciarellego była część rodziny z Czerniakowa. Mniej więcej po tygodniu powstania byliśmy w piwnicy sąsiedniego i zaprzyjaźnionego domu poselstwa szwedzkiego na Bagateli. Pracowała tam znajoma rodziców Margit Winqvist, która prowadziła interesy poselstwa, niezupełnie zlikwidowanego, chociaż nie działało i trudno było powiedzieć, przy kim lub przy czym było akredytowane. Piwnice domów były połączone i uważano, że ta w poselstwie ma mocniejszy strop, więc lepiej chroni przed bombardowaniami. Niemcy wbiegli, wyprowadzali ludzi z domów i zabierali na podwórko Gestapo w alei Szucha, gdzie czekało się — na rozstrzelanie. Oszczędzono jednak grupę z poselstwa szwedzkiego, do której udało się dołączyć naszej rodzinie. Umieszczono nas na Litewskiej po parzystej stronie ulicy, gdzie trzymano około stu osób, oszczędzonych chyba przede wszystkim z powodu jakichś związków z zagranicą; w naszym przypadku można było dopatrzeć się związków z poselstwem szwedzkim, które, nie istniejąc, wystawiało zaświadczenia — stwierdzające na przykład, że jest się architektem poselstwa (takie zaświadczenie dostał mój ojciec). W czasie oku-

pacji starano się rozmaite zaświadczenia zdobywać, zawsze mogły się przydać. Jadło się zupy ze znalezionej fasoli, spało się na podłodze.

Na podwórku na Litewskiej była kapliczka Matki Boskiej (po powstaniu sporo takich podwórkowych kapliczek ocalało). Dzieci (w tym ja) zbierały różnokształtne żetony z dużymi liczbami. Liczby miały dużo zer, więc czteroletnie dziecko mogło poznać, że liczby są duże. Żetony pochodziły z sąsiadującego z Litewską kasyna na Szucha, ale były bezużyteczne, w kasynie już się chyba nie grało i nikt nie liczył na wygraną. Na horyzoncie widać było łunę pożarów. Obrazy pamiętam w zbliżeniach: hełmy niemieckie, gromadzonych ludzi, podnoszone ręce na podwórzu Gestapo, żetony z kasyna i pożary.

Z Litewskiej po mniej więcej dziesięciu dniach wywieziono nas ciężarówką odmierzoną liczbę kilometrów szosą grójecką za Warszawę i wyładowano w polu na rozstaju dróg w Falentach. Byliśmy później w majątku przyjaciół rodziców w Ojrzanowie, skąd mój ojciec między Powstaniem a przyjściem wojsk sowieckich jeździł do zrujnowanej, pustej Warszawy z ekipą dyrektora Lorentza ratować zbiory muzealne. Niewiele osób mogło wtedy przejechać wąwozami wśród gruzów, oglądając to, co pozostało z Warszawy.

Ślady wojny pomagały w pierwszych eksperymentach fizycznych: z nabojów wytapiało się ołów i mówiono, że trzeba uważać, bo niektóre są rozrywające. Do przetapiania służyła też ołowiana ochrona kabli telefonicznych. To było ciekawe, materia się zmieniała, oddziaływanie na metale było prawie alchemiczne, a ponadto ołów był użyteczny: służył do robienia zośiek, czyli kolorowych wełnianych strzępków złączonych ołowianą plombą. Zośkę podbijało się nogą, co wprawni powtarzali wielokrotnie, nie upuszczając zośki na ziemię. Niektórzy nauczyciele (w gimnazjum zwłaszcza specjalista od przysposobienia wojskowego) nie lubili gier nadprogramowych i odbierali zośki, tak samo jak konfiskowali pieniążki do gry w cymbergaja, czyli jakby bilardu o regułach piłki nożnej. Każdy z dwu graczy przesuwiał po ławce szkolnej monetę, starając się pchnąć do bramki grosz jako piłkę (widać, że jest to gra z wczesnych lat pięćdziesiątych, teraz już nie ma groszy). Tuż po wojnie chłopcy grali „w getto” monetami przedwojennymi, które należało dorzucić jak najbliżej przed linią narysowaną na ziemi, ale, o ile dobrze pamiętam, najkorzystniejsze było trafienie w mały prostokąt za linią: getto.

W pierwszych latach po wojnie w pochodach maszerowały różne partie polityczne. Wiem, bo na transparentach były rozmaite inicjały, które odrysowywałem, nie zawsze jeszcze będąc

w stanie rozróżnić literę i jej lustrzane odbicie. Na murach pisa-
no „3 X tak” (napisy trwały później nie zamalowane). Jeśli
dzieci chodziły *polatać*, to *na placyk*, do ogródka SGH (Szkoły
Głównej Handlowej) i na gruzy, przed czym przestrzegano, cho-
ciaż to właśnie było ciekawe. Zachowane resztki ścian, zakamar-
ki i przejścia były światem do odkrywania, mniej standardowym
niż — niezbyt zresztą liczne — budynki niezniszczone.

Odbudowa Warszawy była tematem rozmów w domu i arty-
kułów w *Stolicy*. Przy niedzielnym obiedzie przez długie lata
wracała sprawa Powstania, którego pożyteczność mój ojciec kwes-
tionował. Architekci nie lubią, gdy niszczy się domy. Wrogami
architekta są najczęściej użytkownik i woda, żywioły trudne do
opanowania. Ale mój ojciec nie darzył też sympatią wojskowych
z Komendy Głównej AK; uważał, że skutki ich decyzji miało
się w życiu polskim odczuwać co najmniej przez kilkanaście lat.

Ojciec nie był w AK i nie należał do żadnych innych organi-
zacji wojskowych lub politycznych. W czasie okupacji projek-
tował sklepy i zakłady przetwórcze na przyszłość, zatrudniony,
raczej fikcyjnie, w „Społem”, wielkiej spółdzielni spożywców,
nie zlikwidowanej przez Niemców. W konspiracji na pewno był
mąż mojej ciotki Kazimiery, jednej z dwu siostr mojej matki,
Bronisław Makowski, aresztowany i rozstrzelany w Krakowie w
1944 roku. Mąż drugiej siostry, Ireny, był w siłach zbrojnych
na Zachodzie i po wojnie sprowadził żonę i dwu moich braci
ciotecznych do Londynu, skąd przenieśli się do Rodezji, a później
do Afryki Południowej. Wcześniej w czasie okupacji zginął mąż
ciotki Wandy, siostry ojca, Zbigniew Drecki, aresztowany w War-
szawie po wyroku na Igo Syma i wywieziony do Oświęcimia.
Dwie ciotki były blisko, ale było jakby oczywiste, że nie mają
mężów. Ich mężowie istnieli tylko w opowiadaniach z prze-
szłości.

Omawianie sensowności powstania było częstym tematem
rozmów w domu. Ojciec był przeciw, dzieci za (Wojtek może
mniej niż ja i Marek), mama wychodziła z pokoju. Jeśli się
zastanowić, ojciec miał dość mocne argumenty: powstanie nie
wybuchło samo, ktoś o nim zdecydował i ryzykował sporo, mia-
nowicie to, co się stało: zniszczenie żywego organizmu miej-
skiego, najważniejszego w Polsce, i, jak uważał ojciec, najwarto-
ciwszych ludzi.

Dzieci dorastały, jakaś Polska była w okolicy, nowa, pozosta-
jąca w związku z sąsiadami, nazywanym przyjaźnią, szczególnie
z jednym. Słyszało się, że przyjaźń jest słuszna i czuło się, że
jest obowiązkowa. Różnica między czerwonym sztandarem i
czerwonym sztandarem z sierpem i młotem była zatarta. O Pol-

sce można było wiedzieć z książek, zwłaszcza historycznych, z poezji romantycznej. Polska znana z widzenia zawierała Warszawę, plażę nad Bałtykiem, później Kraków i góry. Dużo pisano o ziemiach odzyskanych, wiadomo było, że ich sytuacja jest niepewna. W połowie lat pięćdziesiątych można było przeczytać o prowincji w reportażach *Po prostu*, a samemu także zobaczyłem więcej Polski zwyczajnej.

Jedną z nowości „popaździernikowych” był autostop, odkrycie i oficjalna aprobata wolności podróżowania — bez celu urzędowego i bez „delegacji służbowej”, akcja popularyzowana przez PTTK i tygodnik *Dokoła Świata*. Zwiedzałem województwa dość metodycznie, jedno odłożyłem na później, byłem w szesnastu z istniejących wtedy siedemnastu, co pozwalało też poznać niezbyt wtedy zmotoryzowany świat dróg i przewożonych towarów. Samochód osobowy był rzadkością i świadectwem luksusu. Jeździło się ciężarówkami, które wiozły trzy deski lub były puste. Może matematycy znali wtedy ogólne zasady optymalizacji transportu, ale mało kto interesował się tym w praktyce.

Na drugim roku studiów brałem udział w dyskusji w Studenckim Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ, o tym czy patriotyzm jest przeżytkiem. Dyskusja była w stylu angielskiego związku studentów — *Oxford Union* (jeden z kolegów był już w Anglii i wiedział, że tam dyskutuje się *za* i *przeciw*). Korzystając z książki Bystronia, mówiłem o megalomanii narodowej, pępkach świata w Grecji i o tym, jak patriotyzm jest wykorzystywany. W podobnym tonie mówił kolega z Reytana, z klasy równoległej, student polonistyki i socjologii, powołując się na Związek Patriotów Polskich, organizację już w nazwie patriotyczną. Patriotyzm jest użyteczny, bo może służyć do rozmaitych celów.

Uniwersytet Warszawski i Klub Krzywego Koła, który w znacznej części był klubem asystentów i profesorów uniwersytetu, to były miejsca wyjątkowe, ośrodki rzeczywistej wolności słowa, potrzebnej dla kształcenia myśli i chyba także dla rozsądnego działania. Polska zwykła wyglądała inaczej. Ale właśnie w czasie studiów mogłem w pracach socjologów czytać o mniej przedtem opisywanych stronach życia w Polsce współczesnej: o mieszkańcach hotelu robotniczego, pracownikach przedsiębiorstw w Warszawie lub o osadnikach i autochtonach na Opolszczyźnie. Od pierwszego roku studiów socjologicznych brałem udział w badaniach terenowych.

Na Sądecczyźnie (w Nowym Sączu i na wsi) były to badania niezależnych działań społecznych (nazywanych „uspołecznieniem”). Idea była profesora Ossowskiego, związana z jego pracami, jeszcze z okresu okupacji, na temat ładu społecznego, w którym nie

centralizowano by wszystkiego i byłaby możliwa niezaplanowana przez władze, różnorodna i nienakazana aktywność i współpraca. Na wybór miejsca badań wpłynęły ówczesne rozluźnienia administracyjne zezwalające na nieco większą samorządność właśnie w Nowym Sączu. O tym mieście i powiecie pisało w *Po prostu*, starano się tam naprawdę wybierać w wyborach w 1957 roku. W Nowym Sączu (co było wtedy wyjątkiem) kandydat do Sejmu z miejsca na liście gwarantującego w praktyce wybór (z tak zwanego „miejsca mandatowego”) nie uzyskał wtedy większości.

Wstępne opracowanie pierwszych badań nowosądeckich napisaliśmy bezpośrednio po nich, w czasie wakacji, wspólnie z kolegą, uczestnikiem dyskusji o patriotyzmie, który później opublikował pracę o branżowych związkach zawodowych w PRL (innych nie było, nazywano je związkami według koncepcji leninowskiej). Później widzieliśmy się raz lub dwa, został urzędnikiem partyjnym do spraw nauki, następnie oddelegowanym przez PRL pracownikiem ONZ. Ta biografia może spodobałaby się profesorowi Ossowskiemu, który lubił przykłady wskazujące, że wpływ środowiska jest ważny, ale bynajmniej nie jednoznaczny. Podobne środowisko może wyznaczać zupełnie różne wpływy; skrzyżowane drogi później się rozchodzą.

W roku 1961 w dawnym dużym województwie warszawskim badaliśmy czytelnictwo na wsi i przypadł mi wyjazd do dwu ciekawych wsi. W Wiączeniu Polskim (przymiotnik dodano dlatego, że dawniej była obok wieś kolonistów niemieckich) władze spółdzielni produkcyjnej pokazywały przyjezdnym spółdzielców, którym dobrze się powodziło, ale ukrywano biedotę spółdzielczą, o której szybko powiedzieli mi nie-spółdzielcy, gospodarujący na swoim. Inną wieś (Dzierzby na Podlasiu) rozdziałał konflikt z epoki dawniejszej, w której gospodarstw kolektywnych jeszcze nie wymyślono. Powiatowy sekretarz PZPR mówił: — Wiem, czemu was tu przysłano. Problem szlachecki jest, wiecie, trudny, ale jakoś dajemy sobie radę. Wieś dzieliła się wzdłuż drogi na Dzierzby Włociańskie i Szlacheckie. Szlachcianki wychodziły w pole w rękawiczkach, ale chyba później nakładano też rękawice dla ochrony, a nie tylko po to, by się odróżnić. W zwadzie i dla pomszczenia obrazy posługiwano się bronią białą: w kronice szkolnej przeczytałem, że na zabawie dla rodziców pan Krótkopolski zdziesiął innego pana gutaperą, czyli kawałkiem metalu na drucie — dla lepszego zamachu. Małżeństwa mieszane (szlachecko-włociańskie, przez drogę) zdarzały się rzadko.

W Płocku w roku 1962 badaliśmy władzę lokalną, a w tym cechy psychologiczne tamtejszych osób najbardziej wpływowych, takie jak sztywność i rygoryzm, gotowość do podporządkowania

się władzom zwierzchnim, przekonanie, że raczej trzeba wzmocnić dyscyplinę obywateli niż wpływ zwykłych ludzi na władzę. Napisałem artykuł na ten temat, który miał ukazać się dość późno, w roku 1968, w piśmie wydawanym przez Polskie Towarzystwo Socjologiczne po angielsku. Tekst był już przełożony, czcionki złożone, było po korekcie, ale artykuł ukazał się jeszcze w trzy lata później. Albo tekst wstrzymał cenzor jako wydawca ostateczny, albo któryś z wydawców pośrednich nie chciał cenzorowi sprawiać kłopotów. Jedynym niewłaściwym fragmentem tekstu mogły być chyba tylko pierwsze dwa słowa, czyli nazwisko autora, co do którego ktoś w danym momencie miał zastrzeżenia, a może tylko wątpliwości.

Jeszcze inne badania, w roku 1967 w mieście powiatowym, były praktykami dla grupy studenckiej po drugim roku. Trzeba było między innymi opracować monografię instytucji, a w tym komendy MO. Jeden ze studentów dobrze wykorzystał znajomość arytmetyki. Kwestionariusz zawierał pytanie o personel i liczbę partyjnych. W komendzie odpowiedziano, że liczba personelu jest tajemnicą, ale student się nie załamał i pytał dalej; okazało się, że nie była tajemnicą liczba partyjnych ani bezpartyjnych. Bezpartyjna była sprzątaczką i chyba woźny.

Ćwiczeniami z nauki o Polsce współczesnej były przychodzące falami zmiany nastrojów społecznych i polityki oficjalnej: z początku roku 1956 i późniejsze. Zmiany, które nabrały zwyczaju pojawiania się w odstępach dwunastoletnich. W roku 1956 w przemówieniach i oświadczeniach rządzący deklarowali, że zamierzają dbać o suwerenność. Słowa „niepodległość” unikano, co nasuwało myśl, że suwerenność czymś się od niepodległości różni. Ówczesna suwerenność — której nietożsamość z niepodległością sugerowano — miała chyba być prawem władz partyjnych do samorządu, samorząd zaś, na przykład szkolny lub więzienny, zajmuje się wybranymi sprawami. Mówiono, że Polska może przez pewien czas iść własną drogą, ale cel miał być wspólny w całym obozie. Sprawą do dyskusji było *jak i kiedy*. Punkt dojścia nie miał być dyskutowany, wydawało się jednak, że dojście do nieatrakcyjnego celu można opóźniać. Popularyzowano patriotyzm specjalny, nazywany socjalistycznym: należało naśladować Związek Radziecki, ale można było robić to trochę po swojemu, z pewnym narodowym zabarwieniem.

Podczas procesu taterników też mówiło się o Polsce. Ci, co niedawno wysłali wojsko polskie do Czechosłowacji, uzasadniali swoje podporządkowanie Moskwie *racją stanu*, to znaczy dawali do zrozumienia, że postępowanie odmienne byłoby jeszcze gorsze. Były to stwierdzenia nie wprost, pół-aluzje, pół-deklara-

cje. Dowodów nie przedstawiano. Pisano, że Polska jest jedna, taka, jaką chcą widzieć ci, co tu rządzą, ta, którą nazywali *socjalistyczną*. Polska to miała być dopuszczalna odmiennność w komunizmie, określana na miejscu przez Gomułkę (później przez Gierka lub Jaruzelskiego, który właśnie zaczął kierować wojskiem nim zostałem po raz pierwszy aresztowany).

Dla wielu ludzi Polska jest bliższa poezji, przeszłości i marzeniom — niż prozie i teraźniejszości. Jeśli czymś narzędziem jest słowo, powinien, jak mi się zwykle zdawało, wiedzieć o teraźniejszości i nie brać marzeń za rzeczywistość. Gomułka lub jakiś jego następca, policjanci i komuniści są częścią Polski rzeczywistej; dużo od nich zależy, ale nie każdemu są w stanie podyktować, czym Polska jest. I choć bywa to kraj nieprzyjemny w doświadczeniu, to uczucia są często na doświadczenie mało wrażliwe. Uczuciom i odczuciom wystarcza, że kraj ten może być całkiem udany w zamysłach, w projekcie, w niektórych swoich właściwościach w przeszłości. O Polsce Gomułki mówił mi sąd i mówiło więzienie, które było miniaturą, mapą społeczną kraju. Kiedy później przez kilka lat odmawiano mi paszportu, to może po to, bym mógł lepiej Polskę zobaczyć. Starąłem się spełnić oczekiwania, uregulować rachunki z PRL i dług wobec Polski. Jeżeli coś zobaczyłem i zrozumiałem, próbowałem to w kilku książkach opisać.

9. MARZEC

Lata sześćdziesiąte w Polsce nie obfitowały w interesujące wydarzenia, nie był to okres barwny, ani atrakcyjny. Władysław Gomułka wygłaszał długie przemówienia, informując o podnoszeniu wydajności z hektara i o niebezpieczeństwie zachodnioniemieckim. W krakowskiej Piwnicy pod Baranami dobrze umiał go naśladować Wiesław Dymny. Na uniwersytecie zapewne nie było równie nudno i smutno jak gdzie indziej, bo wkrótce okazało się, że może być znacznie gorzej i że z rozluźnienia politycznego z połowy lat pięćdziesiątych sporo jednak po kilkunastu latach zostało (łatwo zanuć, że coś jeszcze było, jeśli zostanie odebrane). Marzec 1968 roku miał przymrozić resztki dawnej odwilży. Okazało się wtedy, że różny jest rytm i sens wydarzeń w Polsce i w Czechosłowacji. W Czechosłowacji socjalizm właśnie starał się przybrać ludzką twarz. W Polsce w styczniu władze zakazały przedstawień „Dziadów” Mickiewicza, odkrywając, że ten autor może być niebezpieczny i antyradziecki. Zresztą, chyba rzeczywiście tak było — wbrew późniejszym zapewnieniom Władysława Gomułki.

Witold Jedlicki, asystent w katedrze profesora Stanisława Ossowskiego, autor książki przedstawiającej sprawdzalne interpretacje psychoanalizy, jeszcze przed swoim wyjazdem z Polski mówił o tym, jak widział historię polityczną ostatnich lat. Wyjechał w lecie 1962 roku i okazało się później, że w tym, co mówił, przedstawiał główne wątki swojego artykułu z *Kultury* o ugrupowaniach w kierownictwie PZPR nazywających się nawzajem „chamami” i „Żydami”. Artykuł ten wszedł następnie do książki Jedlickiego o Klubie Krzywego Koła. Autora interesowały ugrupowania w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w połowie lat pięćdziesiątych i wpływ planowania, świadomych działań władz, a w tym policji, na ówczesne zmiany.

Nie bardzo wtedy wiedziałem, co to są „puławianie” i po czym ich można poznać. O „natolińczykach” wiadomo było więcej, bo ich istnienie uznawano oficjalnie w 1956 roku i oficjalnie ich zwalczano (w każdym razie w Warszawie). Kto na jesieni 1956 roku gotów był zapomnieć o policji, szybko mógł sobie jej istnienie uświadomić. Na początku 1957 roku zlikwidowano Związek Młodych Demokratów. Na początku lat sześćdziesiątych była dziwna sprawa Henryka Hollanda, wcześniej znanego jako autor polemiki ze szkołą filozoficzną Kazimierza Twardowskiego. W roku 1961 odbywała się rewizja w mieszkaniu Hollanda, który w czasie rewizji wypadł z okna lub go wypchnięto. Klub Krzywego Koła władzom wyraźnie się nie podobał, przestuchiwano jego członków i w roku 1962 klub zamknięto. W marcu 1964 roku znani pisarze i naukowcy podpisali list skierowany do ówczesnego premiera Cyrankiewicza. List składał się z dwóch zdań, nie był zbyt śmiały, ale stał się znany i spowodował przeciwdziałanie władz, propagandowe, cenzuralne i policyjne. W latach 1964 i 1965 oskarżono kilku znanych literatów o współpracę z emigracją. W roku 1965 aresztowano Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, autorów marksistowskich tekstów polityczno-społecznych, które jednak, jak autorzy przyznawali, były zarazem antypartyjne. W roku 1966 propagandowo-policyjne działania przeciw episkopatowi miały utrudnić obchody tysiąclecia chrztu Polski. Prasa informowała, że również na Uniwersytecie Warszawskim odbył się zorganizowany oficjalnie wiec, na którym odczytano rezolucję potępiającą biskupów.

Wydział Filozoficzny, na którym zacząłem uczyć, był już inny niż ten, na którym się uczyłem. Prowadziła jeszcze wykłady i seminaria Maria Ossowska, ale nie żyli Kazimierz Ajdukiewicz, Stanisław Ossowski, Andrzej Malewski. Na emeryturze byli Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz. Kto wśród studentów chciał, mógł zdobywać rzetelną wiedzę i były po temu warunki, ale zajmowano się też polityką.

Miałem poczucie, że zmienił się profil społeczny zbiorowości studenckiej. W połowie lat sześćdziesiątych — także na moich zajęciach — pojawili się studenci, których rodzice coś osiągnęli dzięki Polsce Ludowej i współtworząc ją. Mnie (i na ogół moim rówieśnikom i kolegom) rodzice nie przynieśli Polski Ludowej w darze, a Polska międzywojenna nie była w naszym domu abstrakcją ani sloganem podręcznikowym, wiedziałem coś o niej na podstawie świadectw bezpośrednich i, jak mi się wydawało, mocniejszych niż znane mi powojenne broszury i podręczniki szkolne. W latach sześćdziesiątych zaczęły studiować urodzone tuż po wojnie dzieci polskoludowych dygnitarzy i „pracowników

frontu ideologicznego". Niektórzy z tych studentów marksizm wynosili z dzieciństwa i nie odnosili się do niego z obrzydzeniem, bo uważali, że to racjonalizm, źródło idei etycznych, wiedzy i dobra. Byli zbuntowani, ale spotykało się takich, których mniej interesowała lektura Ajdukiewicza i Ossowskiego, a woleli mówić o tym, co ostatnio napisali Kołakowski i Brus.

Wielu studentów interesowało się zdobywaniem wiedzy i uczestnicy prowadzonych przeze mnie zajęć ucza już od dawna innych; niektórzy są do dziś w zespole, w którym kiedyś pracowałem. Ponieważ w roku akademickim 1967/1968 prowadziłem po raz pierwszy dłuższy wykład, a nie tylko zajęcia proseminaryjne, zaczynałem być jako tako dorosłym nauczycielem uniwersyteckim. Wtedy właśnie poznałem bliżej studentów zainteresowanych polityką — nie jako przedmiotem badań, ale jako aktywnością, w której chcieli uczestniczyć — choćby na skalę środowiska uczelnianego i w dyskusjach z partyjnymi prelegentami. Byłem na kilku imieninach lub urodzinach, na których dyskutowano poważnie, wyrażając przekonania lewicowe, marksistowskie i buntownicze. Można tam było usłyszeć powiedzenia, które wydawały mi się dziwne, zwłaszcza jako pochodzące od kontestatorów: naród był kolekcją kooperujących zakładów pracy, kardynał Wyszyński wrogiem, krzyż symbolem politycznie podejrzanym. Marksizmu było sporo, formułowano idee lub projekty rewolucyjne, bez bliższego, jak mi się zdawało, wyobrażenia, jak lud miałby do rewolucji przystąpić. To prawda, że ustroj w Polsce jest spolaryzowany i można wyodrębnić *ich* i *nas* (*oni* wyodrębniają się zresztą na ogół o wiele wyraźniej niż *my*). Ale projekty „rewolucji światowej”, „państwa klasy robotniczej” i panującej w nim demokracji klasowej, „robotniczej”, nie budziły mojego entuzjazmu. Mówiłem o tym na jednym ze spotkań na początku roku akademickiego 1967/1968. Tekst jako komentarz — zbiór wątpliwości związanych z „Listem otwartym do partii” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego — posłałem później do nowego pisma emigracyjnego, już po swoim i autorów wyjściu z więzienia w 1971 roku, tekst jednak się nie ukazał. Była tam mowa o tych właściwościach „Listu do partii”, które uważałem za marksistowsko-ideologiczne, takie jak przekonanie o szlachetnych początkach nowego ustroju w Polsce, o potrzebie i zarazem nieuchronności rewolucji lub o wspólnych interesach robotników na świecie. Autorzy, wierząc w tę wspólnotę, uważali, że nie należy przejmować się zbytnio niebezpieczeństwem interwencji radzieckiej.

W 1968 roku Gomułka panował już dwunasty rok (po przerwie) i chyba — jak mu to tłumaczył Władysław Bieńkowski — niektórzy koledzy partyjni przygotowywali się do następstwa.

Zmiany stosunku ZSRR do Izraela i wyraźne opowiedzenie się po stronie państw arabskich znalazły w latach sześćdziesiątych w Polsce następstwa w polityce personalnej w wojsku, w policji i w partii komunistycznej. Usuwano wtedy ze stanowisk osoby pochodzenia żydowskiego, podejrzewane z tej racji o możliwość nielojalności i o nieakceptowanie antyizraelskiej polityki oficjalnej. Owo pochodzenie, które w komunistycznej polityce personalnej bywało okolicznością *za*, stało się okolicznością *przeciw*. Zmiany personalne w wojsku na początku lat sześćdziesiątych nie były jednak znane powszechnie. Marzec 1968 roku miał wydobyć nowe zasady partyjnej polityki personalnej na powierzchnię.

30 stycznia 1968 roku odbyło się ostatnie przedstawienie „Dziadów” w inscenizacji Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym. Nie sądzę, aby kogokolwiek trzeba było zachęcać, by w czasie przedstawienia oklaskiwał aktorów i tekst. W roku 1955 w Teatrze Polskim wystawiono „Dziady” w stylu ludowo-uczuciowym, jako rzecz romantyczną z aniołkami i nimfą. W przedstawieniu Dejmka pokazano najpełniej część trzecią, sprawy niepodległości, niewoli, religii, Polski i Rosji. Nie miało się wątpliwości, że aktorzy rozumieją tekst, zwroty w Polsce zapisane w pamięci, o których można myśleć, że zawsze były i tylko nie wiedzieć, z jakiej ważnej księgi pochodzą. Byłem na jednym z wcześniejszych przedstawień, ale także na ostatnim, po którym sprzed teatru Trębacką, Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem i Świętokrzyską przeszła demonstracja, na Świętokrzyskiej rozproszona. Niektórych jej uczestników milicja przetrzymała krótko w aresztach (wśród nich mojego młodszego brata). Na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczęły się wtedy wydarzenia lutowe: znajomi studenci, ale może też trochę nieznanym, rozklejali ulotki na temat zakazu przedstawień „Dziadów” i zbierali podpisy pod protestem. W pościgu za zbierającymi, na Wydział Filozoficzny wbiegali funkcjonariusze o mało filozoficznym wyglądem, w futrzanych czapach, o budowie otyłej i z wyrazem twarzy świadczącym raczej o obfitym odżywianiu się niż o prowadzeniu rozważań nad naturą praw logicznych albo odrębnością świadomości. Niefilozoficzny wygląd przybyszów nie przeszkadzał jednak w tym, że jeden z nich — szukając osób i działań podejrzanych — zabłąkał się nawet do czytelni wydziałowej.

Na Uniwersytecie pamiętało się, że w roku 1964 odbył się wiec na dziedzińcu w sprawie listu pisarzy i naukowców zwanego „listem 34”. Do niewielkiego zgromadzenia ktoś się odezwał, mówiąc głównie o niedostatecznej informacji oficjalnej na temat listu. Po kilkunastu minutach zgromadzenie się skończyło.

Wybranych trochę na chybił trafił studentów oskarżonych o

udział w demonstracji po ostatnim przedstawieniu „Dziadów” spotkały represje dyscyplinarne. Ostatniego dnia lutego przeciw działaniom cenzury i w szczególności zdjęciu „Dziadów” zaprotestował oddział warszawski Związku Literatów Polskich. W pierwszych dniach marca minister szkolnictwa wyższego podpisał decyzję o usunięciu z Uniwersytetu dwóch studentów. Poczynania władz traktowano jako ograniczenia — istniejących w pewnym zakresie — wolności obywatelskich i akademickich. Zbiorowy protest w formie wiecu wydawał się właściwą odpowiedzią.

Trudno tylko było być pewnym, że ten wiec, planowany na 8 marca, w ogóle ktoś zauważy. Ale zauważono i na wiecu pojawili się nie tylko studenci. Partyjno-rektorskie władze Uniwersytetu wpuściły na dziedziniec autokary, wypełnione, jak się okazało, bojówkami partyjno-policyjnymi, nazwanymi później „aktywem”. Ktoś ten „aktyw” zgromadził, zebrał do autokarów i wydawał mu polecenia. Oficjalna mobilizacja przeciw zgromadzonym na wiecu objęła też aktywistów uniwersyteckiej organizacji partyjnej i zetemesowskiej. Aktywiści krzyczeli i wyciągali ludzi z tłumu, szarpano i mnie, ale się wyrwałem. Przy akompaniamencie krzyków ze strony „aktywistów” rezolucję odczytała przed biblioteką studentka Wydziału Filozoficznego Irena Lasota (co wkrótce odnotował w swoim przemówieniu Władysław Gomułka). Następnie studenci, otoczeni przez pasażerów autobusów, przeszli pod rektorat. Prorektor Zygmunt Rybicki przyjął utworzoną naprędce z ochotników delegację wiecu, do której zgłosili się głównie studenci i młodzi pracownicy Wydziału Filozoficznego. Prorektor obiecał, że rozmowy będą kontynuowane. „Aktyw” panoszył się, tarł studentów, wyrwał ich z tłumu i wciągał do autokarów. Na interwencję delegacji w rektoracie, uwieczonych w autokarach wypuszczono i oddano im zabrane legitymacje i indeksy. „Aktyw” odjechał. Oto, wydawałoby się, pokojowe zakończenie. Wtedy na dziedziniec uniwersytetu z bramy głównej wbiegli Marsjanie: liczny oddział szturmowy z pałkami, w hełmach, okularach i płaszczach ochronnych. Oddział ten pochodził z formacji znanej później szeroko jako ZOMO. Mili-cjanci biegli, bijąc każdego, kto się nawinął. Ich akcja rozpoczęła wydarzenia marcowe i skutecznie zapobiegła temu, by można było o wiecu zapomnieć. Nie było później odpowiedzi na pytanie, kto i kiedy zarządził ten szturm i zdecydował, by w ten sposób zakończyć i rozstawić wiec, a także datę 8 marca.

Odtąd były dwa przede wszystkim wątki wydarzeń, luźno związane. Pierwszy to ożywienie i chęć działania w środowisku akademickim: wiece studenckie, zebrania rad wydziału i Związku Nauczycielstwa Polskiego, wybory komitetów studenckich, pi-

sanie i dyskutowanie rezolucji, uchwał i ulotek. 9 marca, w sobotę, odbył się pierwszy wiec na Politechnice Warszawskiej, a od poniedziałku, 11 marca, ruch protestu objął wyższe uczelnie w całej Polsce. Swoje poglądy wyrażały kształtujące się zbiorowości, nie byli to już ludzie osobni i nie był to tłum: działano wspólnie, niezależnie i bez pozwolenia władz. Gromadzono doświadczenia i uczono się demokracji na zebraniach studentów i pracowników uczelni, w komitetach studenckich. Wszystko to działo się w środowisku ludzi znających się, ale coraz to wzbogacanym o nowych znajomych. Sprawdzały się przyjaźnie, szybko jednak okazywano zaufanie komuś poznanemu przed chwilą. Formowały się idee i kształtował się język zbiorowości, nieprzyzwyczajonej do nieoficjalnej mowy w sprawach publicznych i czasem posługującej się marksistowskimi frazesami (nabytymi w szkole, z gazet i z nauczania „przedmiotów ideologicznych”). Gdy wypowiadano się poważnie, było tych frazesów więcej, były kłopoty z językiem serio. Czasem do władzy zwracano się w języku władzy, ale w krótkich ulotkach i utworach satyrycznych na ogół wypowiadano się w sposób zwyczajny. Nie czułem się przyjemnie, gdy teksty uchwał zniekształcano, dopisując niekiedy slogan oficjalny. Jak się zdaje, troszczono się o zrozumienie przez rządzących i o jednomyślność. Slogany oficjalne dopisywano czasem w poczuciu, że w autorach władze zobaczą sprzymierzeńców i przyszłych partnerów rozmów (to jest dość stały motyw przejmowania cudzych sformułowań i cudzych stwierdzeń). Do zniekształceń językowych prowadziła też troska o jednomyślność. Osiąganie jednomyślności było popularnym wówczas sposobem podejmowania decyzji w sposób demokratyczny, wymagającym uzgodnień i kompromisów. Pomysły nie mające bynajmniej większości uwzględniano i nie chciano odtrącać projektodawców ani ich idei. Nawet Rada Wydziału Filozoficznego 12 marca uchwaliła jednogłośnie oświadczenie popierające spontaniczny ruch studencki, chociaż w tej radzie zasiadali „naukowcy polityczni” z niedawno utworzonej, intensywnie marksistowskiej sekcji nauk politycznych.

Zupełnie odrębny wątek wydarzeń to działania władz: prasy partyjno-rządowej, partii, policji; wiadomości o dymisjach ze stanowisk rządowych, odkrywanie spisków syjonistycznych i zamachów na ziemię zachodnie. W prasie stołecznej ukazały się najpierw opisy wiecu 8 marca jako zakłócenia w komunikacji miejskiej. Następnego dnia, 9 marca, na wiecu w auli Politechniki protestacyjnie podarto gazetę. Ostra kampania propagandowa zaczęła się 11 marca: *Trybuna Ludu* i *Słowo Powszechne* opublikowały wtedy nazwiska „organizatorów” i „przewodników”, które najwyraźniej były wcześniej przygotowane. Nazwiska wybierano

ze względu na ich wartość propagandową, ale wcale nie wszystkie wymienione w prasie osoby miały coś wspólnego z wiecem uniwersyteckim. W artykułach wspomniano o „bankrutach politycznych” i „wysługiwaniu się antypolskiej polityce NRF”. Wkrótce niemal cała prasa zmieniła się w wewnętrzną gazetkę politykującej policji i na tym tle, jak stwierdzili studenci, prawdziwość *Swierszczyka* wyglądała korzystnie. 12 marca w *Kurierze Polskim* w artykule „Inspiratorzy” zaatakowano Antoniego Słonimskiego i Pawła Jasienicę, którzy 29 lutego przemawiali na walnym zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich. W artykule stwierdzono, że Słonimski przed wojną pisał niewłaściwe wiersze (o Palestynie lub o dwu ojczyznach), a Jasienica po wojnie walczył z władzą ludową. Stefanowi Kisielewskiemu prawdopodobnie zrobiono przyjemność, bo 14 marca w *Życiu Warszawy* spopularyzowano użyte przez niego na tym samym zebraniu określenie „dyktatura ciemniaków”. Mniej przyjemne było to, że Kisielewskiego pobili „nieznani sprawcy”. Wielką karierę zrobiło nazwisko studenta filozofii Józefa Dajczgewanda. Nie było jasne, co robił, ale widocznie było ważne, jak się nazywa. W marcu aktywiści oficjalni odkryli, że kiedyś był stalinizm. Zaangażowani publicyści policyjni zgłaszali pretensje do marksistów i byłych marksistów, zarzucając im, że kiedyś byli stalinowcami. Marksisci w latach pięćdziesiątych byli na ogół stalinowcami, ale niektórzy z nich stalinowcami już być nie chcieli i dlatego zapewne zaczęto dokuczać im w prasie, przypominając im dawniejsze zaangażowanie.

Wiece uniwersyteckie odbywały się w Auditorium Maximum. Na przesłuchaniach dawano mi później do zrozumienia, że pisałem teksty uchwalane na wiecach. Kłopot (z mojego punktu widzenia) polegał na tym, że nie ja jeden miałem coś z tymi tekstami wspólnego. Dostawał je Studencki Komitet Delegatów Wydziałowych, który je zmieniał, a ostateczny głos należał do wiecu — ogólnouniwersyteckiego zebrania.

Może udało mi się czasem wpłynąć na to, że uchwały zawierały mniej mowy urzędowo-propagandowej. Ale praca była zbiorowa. Głosy z innych uczelni, rezolucje i oświadczenia z innych miast, świadczyły zresztą, że myślano podobnie.

Teksty powstające w uczelniach usiłowały przebić się przez państwową propagandę. Studenci oświadczali, że nie chcą cenzury, chcą autonomii wyższych uczelni, chcą, aby uwzględniano sprawy społeczne w polityce gospodarczej i aby prawo było zgodne z poczuciami moralnymi. Podczas gdy, jak stwierdzali, „prasa kłamała”, w środowisku uczelnianym pojawiały się oświadczenia i deklaracje napisane w sposób własny, bez oficjalnego zamówie-

nia i często już bez naleciałości mowy partyjnej. Przepisywano je na maszynie, czasem ręcznie, wyjątkowo odbijano na powielaczu. Powielacze były bacznie chronioną własnością państwa, a poczucie legalizmu utrudniało studentom posługiwanie się bez pozwolenia cudzą własnością. Państwo, wraz z jego powielaczami, uważano za rzecz nieswoją i to, co cudze, chciano szanować. Ten legalizm, okazywana w działaniu antyrewolucyjność i konwencjonalne obyczaje bardzo różniły polski ruch studencki od zachowania się studentów francuskich w maju tego samego roku.

Jednym z poetyckich opisów ówczesnego nastroju jest wiersz Ryszarda Krynickiego „I naprawdę nie wiedzieliśmy”. Akcentowanie słowa „naprawdę” może wskazywać, że sprawa nie była zupełnie oczywista i podmiot liryczny chciał czytelników przekonać. Wiersz wyliczał ówczesne zaskoczenia i marzec 1968 roku został tu potraktowany jako wielkie przebudzenie. Do niektórych ten opis się stosował. Uderzenie pałką może wywołać olśnienie, ale nie dla wszystkich rok 1968 był przełomem dziejowym. Z policją i więzieniem zetknęli się ludzie młodzi, urodzeni już po wojnie. Sprzyjało to zdobywaniu wiedzy o nieznanym niektórym ciemniejszej stronie ustroju i spowodowało, że zaczęto zbierać informacje o prześladowaniach, pomagać więźniom i rodzinom. Szukano adwokatów, zaglądano do kodeksów, zdobywano wiedzę o prawie.

Wiecom studenckim przeciwstawiły się oficjalne, organizowane w zakładach pracy. W prasie drukowano fotografie smutnych postaci trzymających transparenty informujące, kto czym ma się zajmować i gdzie kogo należy wysłać (aktywiści, którzy może nie mieli przed oczyma mapy Azji, pisali: *syjoniści do Syjamu*). Sprawa żydowsko-syjonistyczna w prasie marcowej wydawała mi się nierealna, uważałem wtedy za ważne to, co działo się na uniwersytecie, a świat ujawniający się z prasy miał z rzeczywistością uniwersytetu i ruchu studenckiego bardzo mało wspólnego. Dlaczego akurat syjoniści i dlaczego tak nagle? Jeszcze w lutym o niebezpieczeństwie syjonistycznym nic nie było wiadomo. Jakie interesy (polskie, istotniejsze od nich komunistyczne i radzieckie?) zdecydowały, że syjonizm stał się tak istotny i niebezpieczny? Stanisław Mackiewicz pisał o polskich sojuszach egzotycznych: z Anglią i Francją. Ale Anglia i Francja w porównaniu z Syjonem i syjonistami były blisko. Syjoniści to była dopiero sprawa egzotyczna — jeśli by rzecz rozumieć dosłownie. Ale może to był tylko jakiś sygnał lub wyrażenie zastępcze i słowo „syjoniści” miało oznaczać po prostu niesforne dzieci komunistycznych urzędników zauważone przez partyjnych kolegów rodziców. Partyjni koledzy, działający w odpowiednich instytucjach,

wiedzieli jak można wykorzystać informacje dostępne na pograniczu partyjno-policyjnym.

Kiedy w 1968 roku karnie powoływano studentów do wojska, jacyś oficerowie z troską pytali ich o nieznane obyczaje religijne: — Panowie, zdaje się, nie jedzą mięsa? (Chodziło o to, że nie tylko w piątek). Trudno było powiedzieć, dlaczego ten syjonizm nagle stał się taki ważny. Na pytanie, co to jest syjonizm, odpowiadała 15 marca *Trybuna Ludu*. Myślę, że do dziś sprawy oficjalnie nie wyjaśniono. Jakieś ważne wydarzenie polityczno-propagandowe uczczono później plakatem, na którym reprodukowano stronę tytułową pisma *Polityka* ze słowem „syjonizm” lub „syjonistyczny”, które na plakacie lekko zatarto. Minęło trochę czasu i nie chciano chwalić się poruszeniem tematu, który przedtem tak ekscytował PZPR.

Uniwersytet, tak jak inne uczelnie, protestował przeciw zachowaniu się policji i przeciw antysemityzmowi. Na Politechnice udało się komuś wmusić do rezolucji również protest przeciw „syjonizmowi”, zaakceptowany w imię jedności, ze zmęczenia lub w nadziei, że rezolucja będzie przyjemniejsza dla władz i chętniej na nią odpowiedzą. Podobne były okoliczności, w których profesor ekonomii Czesław Bobrowski nakłonił kilku studentów Uniwersytetu, by podpisali list do Gomułki, i podobnie było z pchającym się do rezolucji „socjalizmem”. Niełatwo było powiedzieć, co znaczyły deklaracje aprobaty dla „socjalizmu”, ale czasem określano, że chodzi o wpływ społeczeństwa na decyzje państwa.

Kiedy wyszedłem z więzienia we wrześniu 1968 roku, mogłem przekonać się, że urojenia prasowe były zespolone z wymiarem realnym, towarzyszył im głos aparatu i czasem też głos ludu (zwłaszcza niezbyt oświeconego, lud nie sprawował dyktatury, ale ciemniacy byli nie tylko w aparacie partyjnym). Co to są syjoniści, było wiadomo przed wojną. Byli to ludzie, którzy chcieli budować i budowali społeczeństwo żydowskie w Palestynie. Inne społeczno-polityczne orientacje i partie żydowskie miały inne zainteresowania i inne programy. Syjoniści z 1968 roku to z przybliżeniem bardzo bliskim stu procent była nazwa Żydów i ludzi pochodzenia żydowskiego, bez względu na ich poglądy. Ludzi tych obrażano i poniżano, wyrzucano z pracy i z uczelni. Kategoria pochodzenia etniczno-religijnego zaczęła wtedy jawnie odgrywać ważną rolę. Kto po okupacji niemieckiej zapomniał o różnicach, mógł znów nauczyć się odróżniać: — O, ten wygląda na Żyda, a ten nie. Takie odróżnianie było przydatne praktycznie, miało konsekwencje zawodowe i polityczne. Sprawa była podobna do uwzględnianego dotychczas pochodzenia społecznego lub klasowego. Trzeba było uwierzyć, że pochodzenie w ważny

sposób kształtuje człowieka. A tę wiarę zwolennicy marksizmu na ogół już mieli. Trzeba było też zaaprobować selekcjonowanie ludzi wedle tego, jak władze widzą ich gotowość do podporządkowywania się. Do promowania „swoich” władze także były zwykle skłonne.

W myśl poglądów oficjalnych, klasy znikają i roztapiały się, nie było więc takie dziwne, że źródło zła nabrało trochę nieklasowego charakteru. Nie zaszła jednak jakaś zmiana gwałtowna, bo syjoniści, jak twierdzono, wysługiwali się imperializmowi, ogłoszono zaś, że współczesna walka klas jest międzynarodowa: toczy się między siłami socjalizmu (obozem komunistycznym, czyli radzieckim) i siłami imperializmu (czyli tymi, którzy dla Związku Radzieckiego są niewygodni, a czasem nawet mu się sprzeciwiają). W tej walce nie tyle biorą udział zwykłe klasy, co „siły” i to na ogół państwowe. Wewnątrz państwa zwalczano domniemych sojuszników państw obcych (ale nie miało się zwalczać sojuszników Związku Radzieckiego, tego państwa wyraźnie nie uważano za obce).

Walka z „syjonistami” polegała na tym, że ludziom, którzy czuli się Polakami i chcieli mieszkać w Polsce, uświadamiano ich niepolskość. Było może trochę paradoksalne, że patenty na polskość (lub ich zaprzeczenia) wydawała partia komunistyczna i policja. Wielu w te stwierdzenia uwierzyło: — Nie chcę mnie, dobrze, nie jestem Polakiem.

W drugiej dekadzie marca środki masowego przekazu zaczęły upowszechniać poglądy, które mogli uznawać za swoje ludzie w służbie władzy, aparaczczyki i pomniejsi wykonawcy o niewielkim wykształceniu i niezbyt subtelni, ci, których 8 marca wwieziono autokarami na dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego, lub ci, do których w Sali Kongresowej 19 marca przemawiał Gomułka i którzy tam się rozkrzyczeli — między innymi w sprawie szybkiego wydawania paszportów osobom niezwiązanym z Polską. Można było dowiedzieć się, że Polska powinna być dla Polaków, nasza, ludowa, etnograficzna. Na odmieńców nie ma miejsca, ludzie inni lub o innym pochodzeniu niech sobie idą, gdzie chcą. Odpychano „innych” i stwarzano wrażenie, że to Polska ich odpycha. Kto ma rodziców uznanych za nierdzienne polskie, niestandardowy wygląd lub nazwisko, niech tu nie przeszkadza. „Pakujcie walizki”, mówiły wezwania drukowane w partyjnych gazetkach (rysunki z takim hasłem rozpowszechniał w Warszawie dzielnicowy komitet partyjny na Woli). Można przypuszczać, że chłopo-aparaczczyk, lump-ubek czy aktywista z przedmieści na ogół dopiero uczyli się polskości i uczyli się w szczególnej wersji. Nie byli to już chłopci ani robotnicy i niewiele zachowali z kultury

wsi, przychodzili znikąd i zostawali urzędnikami-najemnikami komunistycznego państwa. Trudno podejrzewać, by tym ludziom bliska była idea państwa, które nie boi się akceptować i chronić osoby wyznające inną religię lub mające odmienną kulturę. Aparatczycy wykonywali rozkazy i zapewne wzmacniali przy tym swoją polskość — w sposób, na który im pozwolono. Trafiająca im do przekonania „polskość etnograficzna” dobrze przysługiwała się Moskwie.

Władze w Polsce od 1944 roku utrudniały życie niemal wszystkim, zwłaszcza zaś katolikom, ludziom bezpartyjnym, ludowcom, narodowcom, socjalistom (gdy nie chcieli być komunistami), ziemianom, chłopom, robotnikom i inteligentom, opozycjonistom i kandydatom na opozycjonistów. Zawsze też były wyjątki: katolik, ziemianin i narodowiec mogli wstąpić do Paxu, robotnik mógł osiągnąć sukces we współzawodnictwie pracy, inteligent mógł zapisać się do partii, chłop do spółdzielni produkcyjnej, a były ludowiec do ZSL. Kto w marcu należał do wyznaczonej przez pochodzenie kategorii „syjonistów”, mógł też spróbować dostatecznie głośno „odciąć się od syjonizmu” i zwiększyć swoje szanse życiowe. Mało kto jednak z grupy napiętnowanej chciał wtedy głośno popierać pomysły władz. Entuzjazm osłabł, władzom nie udawało się go wywołać i osoby wskazywane jako „syjoniści” jakoś nie miały ochoty objawiać dostatecznego zaangażowania w komunizm i internacjonalizm.

Po wojnie wygnano Niemców z ziem zachodnich, przesiedlono Ukraińców, skutecznie utrudniano życie autochtonom na Śląsku, na Warmii i Mazurach, i skłaniano ich do wyjazdu do Niemiec. W drugiej dekadzie marca 1968 roku ogłoszono, że najbardziej zagraża Polsce syjonizm. „Syjonistom” otworzono drogę do wyjazdu pod warunkiem złożenia wniosku o zwolnienie z obywatelstwa polskiego. Może niektórych zaskoczono zmianą: z budowniczych Polski Ludowej stali się wrogami ludu. Dano też po głowie ludziom zwyczajnym, którzy do kształtu Polski Ludowej się nie przyczyniali. Pokazano im, że mylą się, uważając dotychczas, że są u siebie. Sytuacje zewnętrzne wywołujące cierpienie są podobne (prześladowania zbiorowe zdarzały się wielokrotnie w powojennej historii Polski), ale cierpiącym nie było łatwo uznać, że cierpienia się powtarzają.

Później wpadła mi w rękę książka znanego socjologa amerykańskiego o ruchach studenckich w latach sześćdziesiątych. Tyle wiedział o Polsce (i zresztą także o innych krajach), że tam chodziło o Żydów. Wydarzenia marcowe zapamiętano za granicą w tej właśnie perspektywie, a przy tym władzom PRL udało się rozszerzyć odpowiedzialność za swoje poczynania na społeczeństwo.

Publicyści zachodni znali zasadę nieposłuszeństwa obywatelskiego i uważali, że gdyby naród z tą władzą się nie zgadzał i nie aprobował jej poczynań, to by ją obalili.

O antysemityzmie powiedziano kiedyś, że jest to socjalizm głupców: atakuje się zło i szuka uosobienia zła. Znajduje się przykłady i z nich buduje tezę ogólną: ktoś chce sprawiedliwości, uważa, że handel, przemysł i finanse to zajęcia żydowskie, tam się wyzyskuje (o wyzysku mówi mądrość potoczna i marksistowska), więc należy zwalczać Żydów. Na podobnej zasadzie, przez uogólnienie i przeskok, antysemityzm w krajach realnego socjalizmu był antykomunizmem niemądrego tłumy: nie lubi się komunizmu, istnieją Żydzi komuniści, a więc, jak głosiła propaganda oficjalna, należy zwalczać syjonistów, co w tym przypadku znaczyło: odpowiedzialnych za „błędy i wypaczenia” komunistów pochodzenia żydowskiego. Szukanie i znajdowanie syjonistów wśród komunistów trzeba uznać za zajęcie dość dziwaczne, jeśli wie się choć trochę o żydowskich tendencjach i partiach politycznych.

Był też i inny związek antysemityzmu z antykomunizmem. Spotykało się opinie, według których zło komunizmu zaczyna się lub znacznie nasila wtedy, gdy komunizm posługuje się antysemityzmem. Może kiedyś popełniano błędy, ale był też entuzjazm rewolucyjny. Budowano nowe, wióry leciały (bo rąbało się drwa), ale tak być musiało, to było naturalne. Straszne rzeczy pojawiły się natomiast wraz z antysemityzmem, który w dodatku nazywa się nacjonalizmem. Ta ostatnia nazwa jest dziwna: antysemityzm zwraca się przeciw jednemu z narodów lub jednej z religii albo przeciw ludziom jeszcze inaczej wyznaczonym, ale nie jest nacjonalizmem, bo nie świadczy o pozytywnym stosunku do jakiegokolwiek narodu. Są ludzie, dla których zwalczanie antysemityzmu jest jedynym antykomunizmem właściwym towarzysko i godnym osoby lewicowo-postępowej.

Taki właśnie, ograniczony, sprzeciw wobec komunizmu pojawił się, gdy interpretowano powojenną historię Polski. Dla niektórych zło ustroju zaczynało się, gdy usuwano z pracy kogoś o żydowskim nazwisku lub pochodzeniu. Inni dostrzegali zło wcześniej, bez względu na pochodzenie ofiar.

Marzec 1968 roku utrwalił się w postaci stereotypów i przesłón. Stereotypem prasowym były inspiracja i podżeganie rewizjonistyczne (chodziło głównie o rewizjonistów w marksizmie, zachodniemiemieccy straszili z większej odległości). Tymczasem o rewizjonistach marksistowskich wiadomo raczej, że usiłowali studentów powstrzymać: — Tylko nie gromadźcie się przy oknach — można było usłyszeć — mogą strzelać. Uznawany za *rewizjo-*

nistę docent domagał się, by na uniwersyteckich maszynach do pisania nie przepisywać rezolucji. 26 marca ogłoszono w prasie o usunięciu z Uniwersytetu Warszawskiego sześciorga profesorów i docentów uznanych za rewizjonistów. Byli niewinni w tym sensie, że ich związek z marcowym ruchem studenckim z pewnością nie był bezpośredni. Co najmniej do połowy lat sześćdziesiątych byli członkami PZPR, przeciwstawiali się władzy, starając się z partią nie zrywać. W marcu jednak raczej władza zwróciła się przeciw nim niż oni przeciw władzy. Wielu rewizjonistów odeszło wówczas lub później od marksizmu, przestali być rewizjonistami i uwierzyli, że wraz z nimi rewizjonizm się skończył. Jednak taki proces odchodzenia jest dość stały: póki istnieją instytucje ideologiczne, decydujące o prawowierności, póty zapewne będą istnieć nieprawowierni, a wśród nich tacy, którzy zechcą w doktrynie i w rzeczywistości coś bez pozwolenia ulepszać i poprawiać, tak jak rewizjoniści partyjni przed 1968 rokiem.

Polityka amerykańska (a co najmniej polityka niektórych instytucji amerykańskich) wobec Europy Wschodniej była na ogół ostrożna i polegała na tym, że proponowano ludności miejscowej spokój. Politycy często dostrzegają w innych krajach przede wszystkim warstwę kierowniczą. Również patrząc na Europę Wschodnią, zwracano przede wszystkim uwagę na to, co dzieje się w warstwie kierowniczej, w kręgach rządzących, a ponieważ mało było o tym wiadomo, specjaliści mogli odważnie snuć domysły. Niegroźnym dla spokoju polepszeniem sytuacji — zbawczym dla krajów Europy Wschodniej — miała być zmiana we władzy, którą obejmą lepsi wśród partyjnych. Czasem zaś uważano, że lepiej, by skład rządzących się nie zmieniał, bo przyjdą gorsi. Dlatego uznawano, że ważne są dociekania kremlinologiczne: kto przygotowuje się z boku do objęcia władzy, lepsi od tych, co ją sprawują obecnie, czy gorsi. Było to trochę dziwne, bo nie było wyborów, a mimo to zachęcano, aby zwalczać niektórych funkcjonariuszy komunistycznych, a popierać innych. Jak później miałem okazję przeczytać, w latach sześćdziesiątych amerykańskie instytucje badawcze popularyzowały ideę, że w Polsce podstawowe instytucje i zasady polityki komunistycznej są jak na komunizm całkiem w normie, na miarę, i zasadniczych zmian na lepsze ludność miejscowa nie powinna się spodziewać. Główne zło polega natomiast na tym, że wśród komunistów są „moczarowcy”, ci zaś są bardzo szkodliwi. Ich zwalczanie, jak można było się domyślać, proponowano raczej funkcjonariuszom partyjnym niż zwykłym ludziom, nie interesującym się żywo sprawami wewnątrzpartyjnymi i nie będącym w stanie wyeliminować z władz złych partyjnych i wybrać dobrych.

Raczej niż o „mocarowcach”, myślałem wtedy, że w Polsce za przyzwoleniem i pod opieką Związku Radzieckiego rządzi partia komunistyczna i policja polityczna — z towarzyszem Wiesławem (Gomułką) na czele, a kto jest członkiem partii, ten popiera Gomułkę, partię i policję. Mój pogląd był więc prostszy i bardziej całościowo-instytucjonalny (wierzyłem w istnienie instytucji) niż — może subtelniejszy — pogląd akcentujący różnicowania koterii w kierownictwie partii.

30 marca ogłoszono decyzję rektora Uniwersytetu Warszawskiego o rozwiązaniu sekcji filozofii i socjologii na Wydziale Filozoficznym i o zarządzeniu ponownych zapisów na studia („nauk politycznych” nie tknięto). Wydawało się to dziwne, ale nie było. Prawie wszystko należało do państwa, które, pozwalając uczyć się studentom, było ich dobrodziejem i świadczyło im łaskę. Mówiło się, że studentom Polska Ludowa daje wykształcenie. O tym, co Polska Ludowa daje, decydowali funkcjonariusze. Dawali, więc mogli przestać.

Przerwa w zajęciach trwała przeszło miesiąc. Gdy przyjechałem z Pięciu Stawów (bywałem jednak w Tatrach) na początek zajęć w maju, dowiedziałem się, że niektórych znanych mi i wyróżniających się w nauce studentów nie przyjęto ponownie. Decydujący — w ukryciu — o przyjmowaniu lub odrzucaniu studentów funkcjonariusze z rektoratu korzystali z nieujawnionych wydziałom danych (lub poleceń) policyjnych. Ta procedura i jej wyniki były zaprzeczeniem sposobu działania, uznawanego zwykle za właściwy dla wyższych uczelni.

W czasie mojej nieobecności, pod koniec kwietnia, była rewizja w domu rodziców. Głównym łupem policjantów, nazywanych także czasem rewizjonistami, były rysunki mojego brata Marka i jego opaska ze straży strajku studenckiego. 9 maja wezwano mnie do Pałacu Mostowskich, gdzie prokurator przedstawił mi zarzut organizowania na terenie uczelni warszawskich zgromadzeń mających na celu przestępstwo. Powiedziałem, że do winy się nie przyznaję i nie rozumiem zarzutu, bo nie podano ani, jakie dokładnie miałyby to być zgromadzenia, ani jakie przestępstwo miałyby być ich celem. Nie dowiedziałem się również później, co prokuratorzy mieli na myśli, mimo że po roku przedstawiono mi ten sam zarzut, który później zresztą uzupełniono innym, kilkakrotnie zmienianym. W roku 1968 z Pałacu Mostowskich, gdzie spędziłem regulaminowe dwie doby, przewieziono mnie do więzienia na Rakowieckiej, które z zewnątrz znałem od dzieciństwa, z czasów gdy nie można było nawet chodzić po Rakowieckiej pod murem, chodziło się po stronie Sztabu Generalnego i SGH, a chodnik przy więzieniu odgradzały szlabany i zasięki.

Od roku 1945 mieszkaliśmy w domu pracowników Biura Odbudowy Stolicy, na Narbutta, między Kazimierzowską a Aleją Niepodległości, a więc w prostokącie ulic, w którym jest więzienie. Z okna mojego pokoju widać było mur i jeden z ceglanych budynków, ale później wybudowano dom, który więzienie zasłonił.

Jak mogłem dowiedzieć się z odczytywanych mi zeznań, pisałem coś w marcu i o marcu. Latem 1976 roku, gdy sprawa odsunęła się w przeszłość, poproszony o referat na obóz studencki, napisałem zamiast tego książkę o pomijanej zwykle stronie wydarzeń: o wiecach i rezolucjach, ogólnopolskim zasięgu ruchu i jego utrzymywaniu się przez kilka tygodni, o tym, jakie wówczas wyrażano poglądy, jak traktowano to, co się w Polsce dzieje i co chciano zmienić, o solidarności, wspólnocie, tworzących się i ważnych później więziach między ludźmi. Książka mówi o pokojowych metodach, legalizmie i konstruktywnym charakterze ruchu studenckiego, różniących go od ówczesnych zachodnich tendencji antykulturalnych, a także o ważnym słowie „strajk” wypisywanym na gmachach uczelni. Opisuje się tam skutki działań władz; trudno było o materiały na temat wydarzeń wewnętrznych, tego, co działo się w poszczególnych instytucjach rządzących. Ale działania władz jako całości były wystarczająco widoczne na zewnątrz, interesujące i groźne. „Kierownicza rola partii” (a także policji) ulegała wzmocnieniu. Po stronie ruchu studenckiego zdobyto doświadczenia niezależności, współpracy, porozumień. W więzieniu łamano wspólnotę i solidarność, ale więzienne i przedwięzienne doświadczenia się przydały.

10. PRAWO

Gdzie jest prawo i czym ono jest? Miałem okazję zastanawiać się nad tym, nim trafiłem do więzienia.

Władza państwowa wyróżnia się podobno tym, że państwo posługuje się siłą i przemocą w sposób prawnie usankcjonowany (choć w wielu krajach istnieją policje lokalne utrzymywane przez mniejsze zbiorowości). 3 października 1957 roku byłem na Placu Narutowicza. Był wiec. Tak nazywano wówczas zgromadzenia, oficjalne i nieoficjalne, których uczestnicy *demonstrowali*: wyrażali jakiś pogląd, byli przeciw lub za. W latach siedemdziesiątych zgromadzenia nieoficjalne zaczęły się poruszać, stały się pochodami lub manifestacjami i przestały posługiwać się słowem *wiec*. Wtedy, w 1957 roku protestowaliśmy przeciw zamknięciu *Po prostu*, nie wznowionego po zarządzonej nagle przerwie wakacyjnej (w roku 1956 *Po prostu* takiej przerwy nie miało). Na placu Narutowicza milicja mnie nie pobiła, potrafiłem uciec. Goniłszy po okolicznych podwórkach pozwalały zapoznać się ze zbrojnym ramieniem władzy. W różnych okolicach w Warszawie jeszcze przez kilka dni ramię wywijają pałką i rzucało petardy z gazem łzawiącym.

Nasza koleżanka z socjologii, Hania R., pomagała w prostej, ale niezbędnej pracy biurowej w Klubie Krzywego Koła. Dla studentów filozofii i socjologii Klub był ważnym forum dyskusji i bywało w Klubie zwłaszcza wielu studentów socjologii. Można tam było usłyszeć pierwsze wersje prac naukowych z humanistyki i nauk społecznych, poznać umiejętności dyskusowania i obrony poglądów. Hania R. przepisywała na maszynie prace ludzi nauki i studentów i wypisywała zaproszenia na czwartkowe spotkania. Klub nie miał dostępu do powielacza (jak handel, przemysł i jak broń, powielacze były upaństwowione) i na każdym kartonowym zaproszeniu trzeba było napisać adres osoby zapraszanej i tytuł

odczytu. Hania znalazła się w kryminale w roku 1961, oskarżona o tłumaczenie z angielskiego niebezpiecznej ponoć książki socjologicznej Feliksa Grossa o przejmowaniu władzy, w dodatku chyba tej książki nie tłumaczyła i sprawę „wzięła na siebie”. Początek jej procesu zbiegł się z rozwiązaniem Klubu Krzywego Koła przez władze państwowo-partyjno-policyjne.

Władysława Siłę-Nowickiego na początku lat sześćdziesiątych oskarżono o przechowywanie dokumentów będących świadectwem (niechwalebny) polityki państwa wobec Kościoła. Bronił Jan Olszewski (adwokat wyższego stopnia — jako obrońca adwokatów) i domagał się, by zastosowano przepis mówiący o wyłączeniu ze sprawy sędziego, którego łączy z oskarżonym stosunek osobisty. Ów sędzia skazał przedtem Siłę-Nowickiego na karę śmierci i na tym, zdaniem Olszewskiego, polegał związek osobisty z oskarżonym. Sprawa była znana w otoczeniu Stanisława i Marii Ossowskich i później, gdy miałem okazję czytać dziennik Stanisława Ossowskiego, mogłem zobaczyć, że ten przypadek został odnotowany.

Istniejące i projektowane dekrety i ustawy omawiano w Klubie Krzywego Koła. Na seminarium profesor Marii Ossowskiej słuchałem dyskusji o jednym z projektów nowego kodeksu karnego (referował Jan Olszewski, a chyba sędzia Szerer bronił projektu). Jeden z przepisów stwierdzał, że karalne jest nawoływanie do nieposłuszeństwa rozporządzeniom władz. Profesor Ossowski tłumaczył, że owszem, nawoływał wielokrotnie i na pewno jego postępowanie podpada pod ten przepis.

W listopadzie 1964 roku byłem w mieszkaniu Bernarda T., w 1957 roku kandydata na posła z miejsca „niemandatowego” (wybór takiego kandydata nie był przewidziany). Bernard T. przeniósł się z Krakowa do Warszawy i tu skończył studia socjologiczne. Do mieszkania wkroczyła ekipa funkcjonariuszy, by dokonać rewizji i do późna w nocy przeglądali między innymi dzieła Lenina (obszerne, bo ten autor sporo napisał). Przeszukujący funkcjonariusze sprawdzali, czy nie ma czegoś między kartkami. Jak się okazało, tym razem Lenin niczego nie ukrywał. Po paru godzinach wypuszczono z mieszkania obecnych, gdy badacze spraw podejrzanych skończyli przeszukiwać niewielkie pomieszczenie. Jeden z rewidujących wyróżniał się nieuprzejmością, inny leniństwem (nieuważnie przeglądał korespondencję), resztę trudniej było zapamiętać. Bernarda T. (zmienił później imię) zabrano na 48 godzin, co w języku policyjnym nazywa się zatrzymaniem, ale jest przymusową zmianą miejsca. Właściciel mieszkania wkrótce przestał być doktorantem na Wydziale Filozoficznym; Lenin był

mu potrzebny, bo Bernard-Bolesław T. pisał lub chciał pisać o poglądach Lenina na biurokrację.

W lutym 1968 roku ogłoszono wyrok w procesie Janusza Szpotańskiego. W szkole wiedziałem od ówczesnego szachisty, a następnie filmoznawcy, Rafała M., o spotykanym na turniejach mistrzu Szpotańskim. Rafał i inni koledzy ze szkoły znaleźli się na polonistyce, którą kiedyś Szpotański studiował, ale później głównie bywał w gmachu, natomiast eks-żona mistrza przeniosła się z polonistyki na socjologię. Były okazje do spotkań i słuchania jego utworów, przede wszystkim *oper* „Cisi i gęgacze”, o której wcześniej mówiono, że jest to opera za trzy lata. Widocznie autor tego powiedzenia wiedział, do czego służy mały kodeks karny. Wyrok rzeczywiście stwierdzał, że Szpotański („w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”) zostaje skazany na trzy lata. Wysłuchałem tego oznajmienia, ale sprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych i sąd ogłosił jawnie tylko wymiar kary, natomiast uzasadnienie przedstawiono po usunięciu publiczności z sali. Arie „cichych” i „gęgaczy” miały jakieś szczególnie niebezpieczne elementy i z tej racji one i ich ocena przez sąd miały być tajemnicą.

Wyrokując w sprawie Szpotańskiego, sąd nie wdawał się w komplikacje związane z osobliwościami tekstów literackich, gdy chodzi o prawdziwość lub fałszywość wypowiedzi. Na procesie zeznawał krytyk i literaturoznawca Artur Sandauer, podobno jednak nie w duchu ingardenowskim. Sandauer uważał mianowicie, że Szpotański układał arie o rzeczywistości zwykłej, a nie tylko o przedstawionej. W uzasadnieniu wyroku fragment arii Gnoma: „wszystko wysysa straszny rurociąg” potraktowano ponoć — nie wiadomo na pewno, drzwi były zamknięte — jako wiadomość fałszywą i szkodliwą i z tej racji śpiewanie lub zapisywanie arii miało być czynem kryminalnym, mimo że nie były to słowa Szpotańskiego, tylko jego bohatera — Gnoma. Przystępstwem miało być złe określenie kierunku, bo ów straszny rurociąg nie wysysa (jeśli patrzeć od naszej strony), ale wsysa. Sąd zastosował więc prawo ambitnie: do obrony prawdy, i to prawdy w literaturze (obojętnie odnosząc się do poglądów teoretycznych w tej sprawie). Gomułka, występujący w „Operze” (co prawda pod pseudonimem), mówił wkrótce o Szpotańskim aktywistom partyjnym i telewizjom (w przemówieniu 19 marca). Była to ciekawa sytuacja, bowiem bohater literacki wypowiadał się o autorze.

W więzieniu odczytywano mi zeznania mówiące, że jestem współautorem Deklaracji Ruchu Studenckiego uchwalonej w 1968 roku na ostatnim z marcowych wieców uniwersyteckich w Auditorium Maximum. Były różne wersje tego tekstu, jedne mniej,

inne bardziej mogłem zaaprobować. Miałem udział w tym, że w deklaracji znalazły się postulaty dotyczące prawa i jego przestrzegania. Przypominano tam, że nie wystarczy domaganie się od władz przestrzegania prawa (co nazywano praworządnością), ważne jest również, jakie prawo władze stanowią, co widać było między innymi na przykładzie małego kodeksu karnego, ustanowionego jako dekret i obficie używanego w procesach politycznych.

9 maja 1968 roku znalazłem się w Pałacu Mostowskich, gdzie podział funkcji między górą i dołem budynku przebiega podobnie jak w więzieniu śledczym. Na górze przechowuje się i uzyskuje informacje, na dole przechowuje się osoby traktowane jako potencjalne źródło informacji. W celi w piwnicy nie było mebli w sensie dosłownym, tylko nieprzesuwalne drewniane konstrukcje przymocowane trwale do podłogi: zamiast łóżek niskie wzniesienie służące do rozłożenia sienników, a przy ścianie jakby przedłużona ławka szkolna z pulpitem, na którym można było postawić miskę z jedzeniem i kubek z kawą. Ten zastępujący stół, dwuczęściowy sprzęt drewniany nazywano „fortepianem”; leżało na nim kilka książek ze stemplami bibliotek ubecko-milicyjnych, z których książki wycofano i pozostawiono więźniom.

Jedną z książek były — wydane zapewne w celu pogrzebienia przeciwnika — materiały z procesu Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej z grudnia 1947 roku. Sądono wtedy Wacława Lipińskiego, Włodzimierza Marszewskiego, Wincentego Kwiecińskiego i innych. Słowa oskarżonych docierały z przybrudzonego i bardzo już sfatygowanego egzemplarza, który, gdyby przetrwał, miałby, kiedy to piszę, prawie czterdzieści lat, wtedy skończył dwadzieścia.

Lokal i warunki lektury pomagały wczuwać się w motywy oskarżonych i świadków, poznawanych ze sprawozdania z tego dawnego procesu. Wydawało mi się, że przesłuchiwanie przez sąd chcieli czasem uniknąć śmieszności i dlatego mówili o rzeczywistych działaniach konspiracyjnych, zwiększając nawet ich zakres i znaczenie. To sprawozdanie z procesu było zapewne kiedyś materiałem instruktażowym dla ubeków, mającym im pomóc w planowaniu przesłuchań. Zesłali książkę do piwnicy, ale jej lektura nadal była pożyteczna. Można było zobaczyć wyniki śledztwa i sposób, w jaki buduje się oskarżenie. Ta książka zawiera też materiał użyteczny do opisu lat bezpośrednio powojennych.

Na początku lat siedemdziesiątych jeden z kolegów — poznany jeszcze w czasie studiów Leszek Nowak, adept prawa i filozofii z Poznania — rozwijał (jako fikcję teoretyczną) koncepcję racjonalnego i kompetentnego prawodawcy; taka fikcja pomagała wyjaśniać brzmienie przepisów i interpretować je w świetle

innych. Napisałem artykuł (opublikowany w tomie „Prawo w społeczeństwie”, wydanym przez PWN w 1975 roku), w którym o prawie mówi się szerzej, w ten sposób, że prawo stanowione przez prawodawcę, na ogół zbiorowego, i spisane — jest poszczególnym przypadkiem, jednym z rodzajów prawa. Takie prawo wymaga interpretacji, jest tekstem i jako tekst jest niedookreślone, często umyślnie rozciągliwe i używane do działań pozaprawnych. Interpretacja prawa najkorzystniejsza dla prawodawców jest jedną z możliwych — dopuszczanych przez tekst. O prawo można się spierać, wywołuje ono konflikty, zwłaszcza zaś istnieją rozbieżności między prawem stanowionym, prawem władzy, skądinąd wieloznacznym, i prawem, zwykle niepisanim, które jest właściwością innych zbiorowości niż sprawujący władzę. Różne są projekty prawa, poglądy na to, jak prawo pisane ma wyglądać i jak wygląda, jak ma być interpretowane. Interpretacja jedyna i odwołująca się do racjonalności prawodawcy jest właśnie fikcją teoretyczną i ci, do których prawo stanowione miałyby się odnosić, interpretują je różnie, a niekiedy po prostu odrzucają.

W roku akademickim 1968/1969 miałem okazję zobaczyć, jak prawo bywa interpretowane, i nawet samemu wziąć w tym udział. Istnieją przepisy o interpretacji dość dobrze ustalonej (takie jak „kto zabija człowieka, podlega karze”) ale w sprawach nazywanych politycznymi często nie sposób stwierdzić, czy popełniło się przestępstwo (czyn, o którym mówi się w kodeksie), bez interpretacji przepisu, z którego jest się oskarżonym. Aby wiedzieć, czy rzeczywiście należało się do organizacji, trzeba wiedzieć, co to jest organizacja. Aby wiedzieć, czy ktoś mógł wyrządzić „poważną szkodę interesom PRL”, trzeba wiedzieć, co to znaczy (co to jest PRL, jakie ma interesy, co im szkodzi i jaka szkoda jest poważna). Byłem w więzieniu, gdzie miałem okazję słuchać, co mówili funkcjonariusze SB, później przysłuchiwałem się procesom politycznym: słuchałem wyjaśnień, zeznań, odczytywanych dokumentów, przemówień. Niektóre ze zdobytych wtedy doświadczeń starałem się utrwalić. Pisałem o elementach procesu politycznego i rodzajach rzeczywistości budowanej i odsłanianej przez rozmaite dokumenty śledcze i procesowe. Rzeczywistość przedstawiona w dokumentach jest pewnego rodzaju literaturą, rozpisaną na wiele głosów, i nie przysługują jej cechy rzeczywistości zwykłej, takie jak konsekwencja lub niesprzeczność. Rzeczywistość zwykłą można ewentualnie dopiero rekonstruować na podstawie dokumentów śledczych i sądowych.

Wśród procesów bywały znane i mniej znane. Znane to przede wszystkim te z mackami i z korzeniami. Te, przy których policja pracowała nad sylwetkami i kontaktami, a więc dociekała

genealogii społeczno-politycznej oskarżonych i ukrytego sensu wydarzeń. Klasyczny proces polityczny ma zaspokoić potrzeby propagandowe i polityczne, ma coś uzasadnić psychologicznie, tych, którzy o procesie się dowiedzą, ma wychować, unaocznic im wzory negatywne, ułatwić aprobatę postępowania władz i utrudnić sprzeciw, proces ma przestraszyć niepewnych i zmobilizować aktyw. Taki proces nie zawsze jest skupiony wokół określonego czynu, bo czyn bywa nieuchwytny; przepis prawny i zarzut opisują przestępstwo w sposób rozwodniony, luźno, niejasno. Niezbyt wiadomo, po czym miałyby się poznać, że czyn popełniono. Mówi się o *zmierzaniu* do czegoś, o przygotowaniach, działaniach wyróżnianych przez domniemany cel, a nie przez przebieg i skutki. Sąd rozpatruje zagadnienia znacznie mniej określone niż w przypadku zwykłych czynów kryminalnych: opisuje zamysły, plany, chęci, o których mają świadczyć zeznania składane w więzieniu, zasłyszane rozmowy, przejęte listy, znalezione notatki. Policja, prokuratura i sąd nie tyle zajmują się stosunkiem rzeczywistości do prawa, co uprawiają zaangażowaną publicystykę na tematy z psychologii politycznej — w złym niestety gatunku i bez należytych wiadomości z psychologii i wiedzy o polityce.

W procesach mniej znanych wymiar sprawiedliwości służy władzy przede wszystkim do wyrównania rachunków, czyli do dania po głowie komuś, kto się naraził. Dawniejsze znane procesy polityczne to były takie jak proces Niepokólczyckiego i innych w roku 1947, Pużaka i towarzyszy w 1948 roku, Tataru i innych w roku 1951. Nie były natomiast znane ówczesne procesy pociągane, nazywane kiblowymi. Niektóre z nich kończono strzelając oskarżonemu w tył głowy. Trudno w takim przypadku mówić o procesie w sensie prawnym (politycznym lub innym). Procesy robotników ursuskich i radomskich z 1976 roku miały intencję polityczną, chociaż nie było z nich dokładniejszych sprawozdań oficjalnych. Stały się bliżej znane dzięki sprawozdaniom nieoficjalnym.

Na przełomie lat 1968 i 1969 jako tako znane było pięć procesów trzynastu osób nazwanych „komandosami”, skazanych za przynależność do tajnej organizacji. Sądy uważały, że ta trzynastka należała do tej samej organizacji, chociaż oskarżonych pogrupowano i sądzono porcjami. Były też wtedy procesy mniej znane, w których sędziowie pracowali szybko i ferowany dyskretnie wyrok w sprawie młodych ludzi, piszących lub rozrzucających ulotki, wyrażał jakiś kompromis między wymaganiami sumienia sędziów i ich kariery (nie myślę, by zawsze były to wymagania zgodne, a w procesie mniej znanym wzrastają nieco szanse, że sumienie się odezwie).

Sprawę „taterników” wykorzystywano w propagandzie, która akurat o mnie niewiele była w stanie powiedzieć. Mój adwokat mówił na rozprawie o różnicy między tym, co obce i co wrogie. Emigracja, jego zdaniem, bywa wroga PRL, ale nie jest dla nas obca, więc przepis, który mówi o organizacji obcej, nie odnosi się do Instytutu Literackiego, wydającego miesięcznik *Kultura*. Uzupełnialiśmy się, mój obrońca mówił o polityce, ja trochę o prawie. Był to wynik wcześniej zawartego porozumienia: mecenas Szczuka spytał, czy idziemy na całego. Powiedziałem, że tak i później jego również ukarano — odebrano mu pozwolenie na broń (był myśliwym), przypuszczano zapewne, że gotów jest zacząć się z dubeltówką. Ale w kogo miałby celować? W krótkim przemówieniu przed sądem mówiłem o interpretacji przepisów i innych tekstów pisanych lub podpisywanych przez prawników (takich jak akt oskarżenia i zarzut). Zdaje się, że funkcjonariusze policji, prokuratury i sądu potraktowali dokładniejsze przyjrzenie się ich twórczości piśmienniczej jako zachowanie naganne i wrogie. Mecenas Szczuka nie mógł polować, a mnie też ograniczono swobodę ruchów.

11. WIĘZIENIE

Szkoła (jakiegokolwiek stopnia, również wyższa) nie zawsze jest dobrym miejscem, by zobaczyć różnorodność ludzi. Zwykle w szkole uczniowie i nauczyciele są z jednego miasta, jakoś ujednoliceń, i nawet w Nowym Jorku nie udało się ich dobrze wymieszać. O różnorodności ludzi, różnaitości ich doświadczeń, przekonuje przedział kolejowy lub szpital, gdzie często każdy jest skądinąd. Podobnie jest z więzieniem, szczególnie dla pierwszy raz karanych i zwłaszcza pod władzą komunistyczną. Trafia się tam bez selekcji; w tej instytucji dba się o równość szans. Mówię tu o więzieniu karnym, w którym byłem po sprawie sądowej, od wiosny 1970 roku.

Było to dawne więzienie pruskie, gmach rozgałęziony, w kształcie krzyża, którego jednym z ramion był kiedyś kościół, obecnie przecięty piętrami i przerobiony na dole na przychodnię lekarską i szpital, a na górze na świetlicę, gdzie więźniom pokazywano czasem filmy. Oto postę: miejsce religii zajęły medycyna, kultura i oświata. Więźniom pokazywano film o Leninie w Polsce. Lenin wchodzi do celi w więzieniu w Nowym Targu i natychmiast siada na łóżku z ogromną poduchą. Sala krzyczy: — *Raport!* Na łóżku nie wolno siadać (choć może za Austrii pozwalano). Miejsce religii w więzieniu ograniczono, miała zanikać wszędzie, więc i tu. Postę nie powinien omijać więzień, chyba nawet chciano, aby były w awangardzie. Szcątkowe funkcje religijne pełniła kaplica z dwu połączonych cel, w której mogło zmieścić się kilkunastu więźniów. Co kilka niedziel pytano z korytarza, czy ktoś w celi chce iść na mszę. Gdy zgłosiła się dostateczna, to znaczy niewielka, liczba kandydatów, przestawano pytać. Natomiast miejsce pracy było obszerne: kilkuset więźniów na jedną zmianę pracowało w wybudowanych zapewne już po wojnie betonowych pawilonach Przedsiębiorstwa Wyrobów Skó-

rzanych. Z miejsca zamieszkania do miejsca pracy nie było daleko, kilka kroków, więzienie i pawilony przedsiębiorstwa wspólnie otaczał odpowiednio wysoki i gruby mur.

Można przypatrywać się funkcjonowaniu więzienia, mając w pamięci projekty idealnego urządzenia społeczeństwa. Zwolennicy komunizmu znajdują tu realizację swych ideałów: praca jest dla wszystkich, zresztą obowiązkowa. Żywność (posiłki podstawowe) i służba zdrowia są bezpłatne. Potrzeby mieszkaniowe zaspokojone, o co w obecnej Polsce nie jest łatwo. Równość zaawansowana, w tym równość wobec prawa, którym jest regulamin. Równość ta współistniała (można by powiedzieć, że dialektycznie) z podziałem na kategorie: rygor podstawowy, złagodzony, obostrzony. Podział ten umożliwiał stosowanie kar (degradacji) i nagród (awansów), a więc ułatwiał kształtowanie motywacji. Równość, oczywiście, nie polegała na tym, by nadzorcy mieli być równi nadzorowanym; oczywiście, komuś musiało przypaść pilnowanie porządku. Pieniądze były niepotrzebne, ich posiadanie było zabronione, służyły tylko pojęciowo jako narzędzie rachunku: żywność w kantynie przydzielano w ograniczonych ilościach i liczby nazywane cenami pozwalały określić maksimum otrzymywanych dóbr. Trudno było wzbogacić się przesadnie lub przesadnie konsumować. Podział odbywał się zgodnie z normami, to znaczy według chęci i możliwości funkcjonariuszy oraz według pracy, potrzeb i zasług więźniów: „dodatkowa wypiska”, możliwość pobrania żywności, jest w więzieniu nagrodą za pracę. *Alienacja*, ucieleśniona zwłaszcza w pieniądzu, była więc w zasadzie znieśiona i wykładowcy filozofii, którzy popularyzowali „Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne” Marksa i rozważania o *urzeczowieniu* w „Kapitale”, mogliby znaleźć powody do radości.

Więzienie mogło służyć za model PRL. Model był częścią obiektu naśladowanego, ale dostatecznie odosobnioną, by część była do całości podobna (odosobnia się nie tylko w więzieniu, ale także w cybernetyce). Przypatrując się kropli wody można było zobaczyć otaczający świat. Przedsiębiorstwo Wyrobów Skórzanych w Strzelcach Opolskich było (i chyba jest tam dotychczas) częścią socjalistycznej gospodarki planowej. W związku z tym z góry było wiadomo, co się wyprodukuje, a ponieważ przy przyjmowaniu do pracy uznano mnie za odpowiednio wykształconego, przypadło mi pisać, co wyprodukowano na oddziale S4. Gdzie są plany, tam na ogół lubi się obliczenia i sprawozdania.

W moim przypadku obliczenia dotyczyły cholew filcowych (do długich butów, jakie noszą w zimie dozorca). Oddział S4 był jedną ze szwalni, mniej skomplikowaną niż inne działy przedsiębiorstwa. Praca była taśmowa i raczej prosta: aby uszyć

cholewę filcową, taśmowo, czynność za czynnością, trzeba wykonać mniej czynności niż przy zszywaniu i montowaniu skórzanych części buta. Poszczególnym czynnościom (złożonym, nazywanym operacjami) odpowiadały stanowiska pracy, czasem zajmowane przez kilku więźniów, wykonujących tę samą operację równolegle. Praca na naszej hali zaczynała się od przywiezienia wykrojów filcowych, następnie zszywanych na maszynach elektrycznych. Robiło się z filcu jakby szeroką skarpetkę pod kolana, łączoną później na jednym z oddziałów montażu ze skórzaną częścią buta. Operacje, i jednocześnie stanowiska pracy, miały precyzyjne nazwy, takie jak „obcinanie paska”, „zszywanie podstopia”, „obcinanie nici” lub „łączenie cholew”. Taką czynność więźniów wykonywał kilkaset razy dziennie, niekiedy przez kilkanaście lat.

Montaż części skórzanej to około pięćdziesięciu operacji. Ich rodzaj i liczba różnią się zależnie od rodzaju buta: skórę ścina się, zszywa, szlifuje. Maszyny hałasują, unosi się pył ze szlifowanej skóry, wdycha się opary klejów. Maszyny elektryczne, na ogół czeskie, ciężkie, dość zużyte, psuły się i dział głównego mechanika je naprawiał. Ponieważ u nas, na S4, operacji było mniej niż na montażu, więc praca rachunkowa była łatwiejsza. Aby dowiedzieć się, ile par cholew wyprodukowano (i tym samym ile razy kto wykonał jaką operację), należało planowaną liczbę par w miesiącu podzielić przez liczbę godzin roboczych. Otrzymywało się liczbę par uszytych w ciągu godziny.

Jeden z dwu najważniejszych formularzy przewidywał wpisywanie wyników oddziału w odstępach dwugodzinnych. Podawanie zawsze tego samego byłoby nienaturalne, liczbę uszytych par co dwie godziny i za dzień dobrze było od czasu do czasu różnicować, uwzględniając — zawsze przecież możliwe — odchylenia przypadkowe (zwiększające naturalność wyników). Odchylenia od zaplanowanej przeciętnej dziennej nie powinny jednak być za duże, bo cywilny majster (nie-więzień), kierujący pracą S4, dostawał premię za rytmiczność wykonania planu. Nie było powodów, dla których plan miałby być wykonywany nierytmicznie. W sobotę pracowało się sześć godzin a nie osiem, więc należało podać produkcję mniejszą (o około dwieście par). Gdyby jednak pod koniec miesiąca coś się nie zgadzało, trzeba było w ostatnich dniach wyniki nieco bardziej odchylić od przeciętnej.

Byłoby nieprawdą powiedzieć, że podawane liczby brały się znikąd. Miały podstawę: korzystałem z danych działu planowania. Dane stamtąd trzeba było poddać przekształceniom arytmetycznym — w zakresie czterech działań — na wspomnianych już formularzach dziennych dla oddziału ogólnie oraz na oddawanych raz na miesiąc formularzach dla poszczególnych stanowisk

pracy (tę samą czynność wykonywało często kilku więźniów). W obu przypadkach podział według dni powstawał z rozdzielania produkcji miesięcznej. Formularze dla stanowisk pracy należało dostarczyć pod koniec miesiąca do działu rachuby, gdzie obliczano wynagrodzenie w przedsiębiorstwie, odnotowywane następnie na kontach w więzieniu. Zarobek zależał od liczby par i wynosił około czwartej części zwykłych stawek płaconych w przemyśle obuwniczym poza więzieniem (ekonomiści mogliby zastanowić się, jak to się ma do „teorii wartości dodatkowej”). Po różnych potrąceniach zarabiano się zwykle, o ile dobrze pamiętam, około 300-400 złotych miesięcznie. Pod koniec mojego zatrudnienia wprowadzono nowe formularze: do odnotowywania czasu pracy maszyn, co było następstwem jednej z kolejnych uchwał KC PZPR na temat oszczędności w gospodarce. Maszyny (poza sobotą) pracowały siedem godzin i pięćdziesiąt minut, bo czas pracy ogółem wynosił osiem godzin. Jeszcze inne formularze wypisywałem, kiedy trzeba było coś otrzymać („pobrać”) z jednego z magazynów lub oddać maszynę do naprawy. Jeśli potrzebne były nici, o czym mówił mi majster, należało wypełnić odpowiedni formularz. Jeśli maszynę oddano do naprawy i przywieziono inną, majster powinien mi o tym powiedzieć; abym się nie pomylił wpisując czas pracy maszyn. Jeśli jedną operację wykonywało kilku więźniów, na ogół umawiali się, że dzielą się po równo. Jeśli nie dzielili się po równo, zapisywali, ile par przeszło przez ręce każdego z nich i trzeba ich było pod koniec miesiąca o to spytać. Deklarowana suma nie mogła jednak różnić się od znanej z planu sumy ogólnej.

Formularze do zapisywania tych wszystkich liczb drukowano na miejscu: w więzieniu była drukarnia. Jeśli ktoś chciał sprawdzić rachunki zrobione na papierze, mieliśmy przyrząd arytmetyczny: liczydła. Piszę „my”, bo pracowaliśmy w kantorku we trzech, przy trzech biurkach. Moja praca rzadko wymagała kontaktu z halą produkcyjną. Przez zakratowane okno kantorka można było zobaczyć mur otaczający więzienie. Do muru nie można było podejść, między nim a siatką wewnętrzną był pas niedostępny, będący jednocześnie wybiegiem dla psów, odpowiednio tresowanych: „pas śmierci”. Wchodząc w kantorku na krzesło lub na stół i wyglądając za okno, można było zobaczyć kawałek bruku za murem (nasze pomieszczenie było na wysokim pierwszym piętrze). Wyglądać przez okno zabraniano i strażnik z wieżyczki mógł donieść, że w oknie zobaczył twarz.

W kantorku, po mojej lewej i prawej stronie, nad zawsze otwartymi księgami formularzy, trzymali pióra w ręku (należało pokazywać, że się pracuje) dwaj inni „robotnicy mierzący, liczący

i zapisujący produkcję” — z dwu oddziałów montażu butów skórzanych: M1 i M2. Taka była nazwa oficjalna naszych stanowisk, nieoficjalne, ale również przyjęte w obuwnictwie określenie brzmiało „manipulant”. Naszymi zwierzchnikami w przedsiębiorstwie byli majstrowie lub kierownicy oddziału (to nie byli więźniowie, tylko „pracownicy cywilni”, fachowcy od obuwnictwa, którzy w więzieniu nie mieszkali, tylko przychodzili tam pracować). Był też główny manipulant (więzień), któremu, gdy zażądał, powinno się było przez telefon wewnętrzny podać wynik oddziału (liczbę par) w danym dniu lub w połowie dnia pracy; telefony w przedsiębiorstwie, tam gdzie pracowali więźniowie, były tylko wewnętrzne, na zewnątrz ani z zewnątrz nie można było się dodzwonić. Główny manipulant też wiedział, jaka powinna być produkcja, i potrafił swoje formularze wypełniać bez dodatkowych informacji, ale mógł być przestój, zwłaszcza na montażu, jeśli popsukała się jakaś ważna maszyna, i wtedy, jeśli przestój zarejestrowano, powinno się to uwzględnić w obliczeniach.

Praca moich dwóch kolegów była bardziej skomplikowana, ale dawali sobie radę, bo mieli doświadczenie: byli wykwalifikowanymi urzędnikami i wsadzono ich do więzienia za przestępstwa gospodarcze, nazywane „afery skórzane”. Ściganie „afery”, między innymi polegających na tym, że ktoś coś produkował bez zezwolenia, było specjalnością rządów Gomułki. Znajomy więzień, współlokator z celi (dożywocie z „afery skórzanej”, w więzieniu pracował w kontroli technicznej), mówił, że słyszał wielokrotnie, że gospodarka jest wspólna, a ponieważ uważał, że współnik-państwo go oszukuje, postanowił wycofać przypadający mu wkład.

Manipulanci z montażu byli koleżeńscy, wyjaśnili mi zasady pracy: co gdzie się wpisuje i skąd bierze się liczby. Jeden z nich, pan Kazio W., kompetentny urzędnik, był kolegą wspomnianego współlokatora, też z Radomia, też dożywocie, zamienione na 25 lat po wprowadzeniu nowego kodeksu karnego. Skazani na dożywocie, czyli 25 lat więzienia, mieli szanse warunkowego zwolnienia po piętnastu latach. Ta szansa miała więźniów uspokajać i wpływać korzystnie na dyscyplinę, choć właśnie w Strzelcach przed moim przyjazdem zdarzył się bunt, gdy więźniowie zawiedli się na amnestii. Uważali, że amnestia im się należy, była, ale uznali, że jest za mała: jak to na ogół bywało, amnestia nie obejmowała poważniejszych przypadków.

Niedługo po podjęciu pracy zabroniono mi poruszać się po fabryce. Przejść wewnętrznych pilnowali strażnicy, a o możliwości przejścia przez podwórze decydował dział ochrony, czyli wewnętrzna policja więzienna. Dwaj moi koledzy z kantorka,

którzy nie mieli zakazu, przechodzili w moich sprawach na drugą stronę podwórza więziennego, dzielącego dwie części przedsiębiorstwa. Po drugiej stronie była dyrekcja, dział rachuby, magazyn ubrań roboczych, szwalnie cholew skórzanych i oddziały wycinania skór. Jeżeli komuś z S4 zniszczyło się ubranie robocze, do moich zadań należało przyniesienie nowego. Mogłem dostarczyć nowe ubrania, bo koledzy wymieniali je za mnie w magazynie. Trzeba było też przejść przez podwórze raz na miesiąc, by oddać formularze do działu rachuby, młodej *pracowniczce cywilnej*. Osoby płci żeńskiej mogły pojawić się na widzeniu (raz w miesiącu), ale poza tym w więzieniu nie przewidywało się takich spotkań.

Jeden z więźniów po kilkunastu latach, tuż przed zwolnieniem, miał inne niespotykane w więzieniu doznanie wzrokowe. Funkcjonariusz zaprowadził go na miasto, gdzie mieli wybrać więzienną odzież. Więzień chyba już nie miał rodziny, a ubrania, w którym go aresztowano, nie można było odszukać w magazynie. Mówił, że na mieście najbardziej zdziwiły go „te małe ludziki”. Przez kilkanaście lat nie widział dzieci.

Po mnie trafili do Strzelca niektórzy z oskarżonych (i skazanych) w warszawskim procesie „Ruchu” (z 1971 roku), z wyrokami do 7 lat więzienia. Opisania tych procesów i opublikowania materiałów procesowych nie objęto zarzutem w procesie „taterników”, z tego między innymi powodu, że procesy „Ruchu” były później, a proces „taterników” wcześniej. Jeden ze skazanych z „Ruchu” powiedział mi po wyjściu z więzienia, że, jak mu opowiadano, był przedtem w Strzelcach Karpiński i czytał książki. W ten sposób zostałem utrwalony w folklorze więziennym. Upodobania czytelnicze i pisanie w miejscu pracy niezwiązanego bezpośrednio z obuwnictwem podręcznika metodologii nauk społecznych, przyczyniły się, jak mi mówił majster (— *Ale ja pana bronilem*, powiedział), do przeniesienia mnie do innej pracy, na drugą zmianę. Było to już pod koniec mojego pobytu w więzieniu. Pierwsza zmiana pracowała od szóstej rano do drugiej po południu, druga — od drugiej po południu do dziesiątej wieczór. Budynki fabryczne i maszyny odpoczywały przez osiem godzin.

O nagłych zmianach stanowiska pracy decyduje dział ochrony (dział służby więziennej, a nie przedsiębiorstwa), który musiał dowiedzieć się, że rozwiązywanie zadań liczbowych związanych z planowaniem gospodarczym zajmowało mi za mało czasu i pozostawało go za wiele na lekturę i pisanie, zajęcia, których użyteczność dla produkcji butów nie była wyraźnie uchwytana. Informacje o moich rzeczowych zajęciach można było uzyskać, bo

na pewno wielokrotnie nie zdążyłem schować książki i nie miałem rozłożonych papierów biurowych, gdy wchodził ktoś, kto mógł o tym poinformować odpowiednie władze więzienne. Reagowano jednak powoli, w więzieniu ma się dużo czasu, uważano zresztą, że jestem tam na chwilę: przeważali więźniowie z długimi wyrokami, których opłacało się szkolić w więziennym Technikum Obuwniczym i miało się pewność zatrudniania ich jako fachowców na miejscu przez kilkanaście lat.

Nim zostałem przeniesiony na drugą zmianę, zgłosił się do mnie młody człowiek, pracujący przy szlifowaniu obcasów na montażu. Interesowało go zagadnienie fizyczne, dość, jak mogłoby się wydawać, abstrakcyjne. Załóżmy, że byłoby możliwe skonstruowanie układu poruszającego się szybciej niż światło. Co działałoby się z czasem w takim układzie? (Jak wiadomo z teorii względności, czas biegnie inaczej w układach poruszających się względem siebie ze znaczną prędkością). Czy maszyną do uzyskiwania dowolnie dużych prędkości mógłby być nieskończenie długi pręt wprowadzony choćby w powolny ruch obrotowy? Punkty o rosnącej odległości od osi obrotu powinny poruszać się z coraz większą prędkością, a więc również z prędkością większą niż prędkość światła. Młody człowiek uważał, że przy przekroczeniu prędkości światła czas powinien płynąć w drugą stronę, a to już interesowało go praktycznie, bo miał do odsiedzenia 25 lat (w drodze łaski zamieniono mu karę śmierci na więzienie). W więzieniu był od niedawna, zastrzelił w wojsku oficera, który go prześladował, przedtem zaś zapowiedział, że na prześladowania tak odpowie, a to pogarszało sprawę.

Na drugiej zmianie nazwa mojego stanowiska była krótsza: brzmiała „malowanie butów”. Byłem pomocnikiem malarza wykwalifikowanego, malującego buty od wielu lat. Malowaliśmy na czarno buty, w których kontrola techniczna dostrzegła wady powierzchni. Zamalowane wady prawie zniknęły. Na nowym stanowisku pracy trudniej było czytać książki, z pisaniem było zupełnie źle, ale korzyścią było „szkodliwe”, czyli dodatek za pracę szkodliwą dla zdrowia (szkodliwszą niż przeciętna). Mój kolega z pracy mówił, że nie boi się komarów i much, bo przesiał farbą, której owady nie lubią. „Szkodliwe” jest marzeniem więźniów, ponieważ jest w całości (bez potrąceń) wpłacane na konto i za „szkodliwe” można otrzymać jedzenie z kantyny („na wypiskę”) poza zwykłym limitem. W więzieniu nie tylko ogranicza się wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce; można poruszać się w granicach celi lub przez kwadrans na podwórzu, nazywanym „spacerniakiem”, gdzie było mniejsze koło dla marszerujących szybko indywidualistów (mogli się wyprzedzać), i

większe dla więźnów spacerujących parami powoli. W więzieniu nie daje się również za dużo wolności pracownikom i konsumentom. Kto nie chce pracować, idzie do karceru, dostaje gorsze jedzenie i nie ma prawa do paczek i widzeń. Ogranicza się wolność dysponowania pieniędzmi (o ile można twierdzić, że pieniądze w więzieniu istnieją): uzyskiwanie dóbr za pieniądze (w kantynie) jest limitowane. „Szkodliwe” nieco odsuwa to ostatnie ograniczenie.

W więzieniu były wewnętrzne środki masowego przekazu, mianowicie radiowęzeł i więzienny miesięcznik ilustrowany o tytule optymistycznym i otwierającym perspektywy, chociaż nie przesadnie: *Prześwit*. Głośnik można było wyłączyć, ale więźniowie lubili go słuchać szczególnie w niedzielę, gdy nie wychodziło się do pracy, więc można było słuchać cały dzień. Zapoznawałem się wtedy z piosenkami patriotyczno-wojskowo-radzieckimi, z „Podwieczorkiem przy mikrofonie”, z głośną lekturą powieści. Te doznania, na ogół nieznanne mi przed więzieniem, uważałem za dolegliwość dodatkową (w więzieniu śledczym głośników nie było). Podczas audycji pisałem listy, co może źle wpływało na ich styl (ale listy zabierano właśnie w niedzielę). O czytaniu decyduje się samemu, o słuchaniu głośnika decyduje wypracowana jakoś opinia wspólna mieszkańców celi. Cele były czteroosobowe, w sprawie głośnika trudno mi było uzyskać większość. Zresztą opinia wspólna tworzyła się raczej przez uzgodnienia niż przez głosowanie. W porównaniu z innymi byłem w więzieniu na krótko, współwięźniowie odstępowali mi stół do pisania i czytania, byłoby trochę aspołecznie domagać się zbyt stanowczo, by nie słuchano głośnika, który dla współlokatorów był źródłem rozrywki i kontaktu ze światem.

Pism wewnątrzwięziennych było wtedy ponoć tylko kilka w Europie, nie jest dziwne, że w Strzelcach ukazywało się jedno z nich: więzienie było jak miasteczko — o sporej liczbie mieszkańców i dużej gęstości zaludnienia. Były w tym piśmie między innymi jakby wiadomości z zagranicy, to znaczy z pobliskich i jakoś zaprzyjaźnionych *zakładów karnych* (tak nazwano oficjalnie więzienia po zmianach ustawodawstwa karnego z 1969 roku). Do tych bliskich zakładów karnych należał Wiśnicz, dawny zamek. Wiadomości lokalne dotyczyły głównie produkcji. Więźniów tytułowano w *Prześwicie* „kolega” („kol. Zieliński”, „kol. Krawczyk”). Zamieszczano zdjęcia *kolegów* — przodowników pracy, wraz z danymi o szczególnych osiągnięciach produkcyjnych. Strażnicy („funkcjonariusze Służby Więziennej”) i przychodzący do więzienia pracować specjaliści z fabryki butów („pracownicy cywilni”) mieli tytuł „obywatela” (więźniów nie nazywano „obywatelami”). Naczelnik więzienia i dyrektor przedsiębiorstwa

(„pracownik cywilny”) wygłaszali, drukowane w *Prześwicie*, przemówienia noworoczne.

Poszukiwacze frakcji w PZPR mogą w więzieniu znaleźć ich odpowiedniki. „Liberalny” był pion „penitencjarny” lub „wychowawczy”, to znaczy administracja więzienna (oddziałem w więzieniu, czyli dwoma piętrami w jednym ze skrzydeł, kierował „wychowawca”). „Twardogłowi” to był dział ochrony, wewnątrzwięzienna policja, będąca strażą wszystkich trzech grup: więźniów, pracowników cywilnych i strażników zwyczajnych (tych spoza działu ochrony). Te frakcje nie były więc, ściśle rzecz biorąc, frakcjami, tylko wynikiem różnicowania zadań w instytucji.

Dział ochrony urządzał prowokacje herbaciane. Konfident (spośród więźniów) namawiał do przestępstwa: mianowicie kupna herbaty, która równie jak pieniądze była w więzieniu zakazana. Pieniądze łatwiej jednak było przemyć i paczka herbaty Madras kosztowała sto złotych. Pijano ją jako smolisto-czarny napój, zastępowała alkohol, także w funkcjach towarzyskich: wspólne picie mocnej herbaty świadczyło o zaufaniu. Transakcji herbacianej towarzyszyła denuncjacja i osobnik sprowokowany lądował w więziennym więzieniu, czyli karano go zesłaniem na oddział o rygorze obostrzonym. Dla działu ochrony było to pożyteczne, bo pozwalało śledzić życie nieoficjalne i jego związki z rzeczywistością pozawięzienną: kto ma pieniądze i skąd. Zachowując proporcje, szukano ekwiwalentu dolarów, środka wymiany zwiększającego niezależność, zaś w niezależności administracja upatrywała zagrożenie. Jako pieniądz więzienny lepiej tolerowano papierosy.

Jak wiadomo, prasa może wyrażać przemiany liberalne. W *Prześwicie* wydrukowano wierszyk, autorstwa jednego z więźniów, manipulanta z drugiej zmiany. Autor wprawdzie krytykował picie herbaty, ale w aluzyjnej formie demaskował też prowokacje herbaciane. Można było w tym dostrzec akcję działu kulturalno-oświatowego (odpowiedzialnego za prasę) przeciw działowi ochrony (odpowiedzialnemu za prowokacje). Krótko mówiąc, w *Prześwicie* ukazał się odpowiednik „Poematu dla dorosłych”, może nawet politycznie ostrzejszy. Nie wiem, czy i jak redaktor pisma (więzień, ale należycie kontrolowany) na tym ucierpiał.

Prasą PRL, której *Prześwit* był częścią i modelem, interesowałem się z trochę innych powodów niż wydawnictwami zagranicznymi. W połowie lat pięćdziesiątych atrakcją był numer specjalny *Prasy Polskiej* parodiujący ówczesne czasopisma. W czasie studiów prawdopodobnie częściej czytałem czasopisma filozoficzne

i socjologiczne niż zwyczajne. Ale zaglądałem do starych roczników różnych czasopism. W Zakopanem w kwietniu i na początku maja 1968 roku, wbrew przyjętym wtedy dobrym obyczajom, kupowałem gazety; w kwietniu w Sejmie w ozdobnych, lecz niepięknych tyradach krytykowano posłów w Znak. Mnie krytykowano za kupowanie gazet i jak uważali znajomi, będąc usprawiedliwiony tylko wtedy, kiedy coś o tych gazetach napiszę. To się trochę odwlekło. Napisałem już po drugim pobycie w więzieniu. Wtedy, w roku 1968, był z nami na nartach Andrzej M., który do więzienia na Rakowiecką trafił później niż ja, ale pisał od razu. Wieczorami, w porze gdy raczej już nie przesłuchiowano, słychać było stukot maszyny do pisania. Dostał maszynę do celi: był człowiekiem pióra, a w dwudziestym wieku człowiek pióra pisze na maszynie (*word processory* nie były jeszcze dostępne, słychać było zwykłą maszynę do pisania). Rozmawialiśmy później na korytarzu podczas jednej z rozpraw sądowych. Mówił, że z jego zachowania będzie korzyść dla historii; po prostu wydarzenia zostały lepiej czy gorzej utrwalone. Ja starałem się je utrwalac raczej przed lub po wyjściu z więzienia. Między pobytami w więzieniu przyczyniłem się do zebrania dokumentów wydanych w Bibliotece *Kultury* jako „Wydarzenia marcowe” i „Polskie przedwiośnie”. Do wydania tych dokumentów przyczyniali się też inni, teksty miały różne wersje i zwłaszcza w pierwszym tomie niektóre zamieszczono w wersji, której nie uważałem za najszcześniejszą. „Wydarzenia marcowe” zobaczyłem na początku 1969 roku, „Polskie przedwiośnie” doszło do mnie jako odbitka korektorska, na podstawie której przygotowałem erratę, tak jak i do pierwszego tomu. Nie wiem, czy erraty do *Kultury* nie dotarły, czy po prostu Redaktor nie lubi errat. Wiem, że starałem się poprawić między innymi listę nazwisk aresztowanych w 1968 roku. Wersja poprawiona była prawdopodobnie na taśmach filmowych, o których mówili świadkowie w procesie „taterników”. Trzeba było z ich zeznań zapamiętać dokładnie, co z tym zrobili.

Odbitka „Polskiego przedwiośnia” pomagała mi później w pisaniu o marcu 1968 roku. Ale jeszcze w więzieniu, w lecie 1969 roku, jeden z przesłuchujących pokazał mi ten tomik wydrukowany i w okładkach, i prosił, bym niektóre teksty skomentował. W książce były zakładki przy tekstach, o których miałem coś powiedzieć. Nie byłem krytykiem literackim, nie chciałem wygłaszać „Jak powstał Doktor Faustus”, może zresztą nie było warto (dzieła Manna można było pożyczyć z więziennej biblioteki). Komentarza zatem nie było i chyba dla zabicia czasu ten przesłuchujący dał mi do przeczytania „Zdarzenie na stacji Kreczetowka” Sołżenicyna. Akurat miał ten tekst w całkowicie

oficjalnym wydaniu, w przekładzie polskim, w zbiorze opowiadań radzieckich. Sołżenicyn był wtedy z oficjalnego punktu widzenia po prostu jednym z pisarzy radzieckich. Nieoficjalnie publikowano wówczas w Polsce w maszynopisach teksty polityczne, ale jeszcze nie opowiadania.

Jeden z tekstów w „Polskim Przedwiośniu” ma dość zawiłą historię, ale zamieszczony został bez komentarza. Na początku roku akademickiego 1968/1969 przygotowywano oświadczenie i jeden z kolegów-studentów zaproponował jako wstępną wersję rzecz pod tytułem „O front młodego pokolenia”. Okazało się później, że w znacznej części było to przepisane z opracowania z lat 1956-1957, które w powstającym wtedy Rewolucyjnym Związku Młodzieży zgłosił aktywny już w tamtych latach Jerzy Urban. Napisałem polemikę w punktach i myśląc, że spieram się z rewolucyjnie usposobionym znajomym, polemizowałem z późniejszym rzecznikiem rządu.

Prócz korzyści socjologiczno-modelowych (spowodowanych obserwacją Polski Ludowej w zwięźczeniu i w miniaturze) pobyt w więzieniu przyniósł korzyść metodologiczną: miałem czas, mogłem skupić się i napisałem podręcznik metodologii nauk społecznych, który udało mi się wynieść z więzienia bez kontroli. Tekst zawierał sporo oznaczeń literowych, mogły nie być zrozumiane i kontrola nigdy by się nie skończyła. Podręcznik powielono później we Wrocławiu w nakładzie 25 egzemplarzy, a następnie wydano go w Uniwersytecie Warszawskim w nakładzie wielokrotnie większym, choć nie olbrzymim (200 egzemplarzy). Treść podręcznika nie jest wywrotowa i trudno, by interesowały się nim wydawnictwa nieoficjalne. Ale mają one większe nakłady.

W myśl aktu oskarżenia przestępstwo, które mi zarzucano, było przestępstwem ciągłym, popełnianym przez pięć miesięcy: „od stycznia do 31 maja 1969 roku”. Wtedy to miałem wejść „w porozumienie z Krzysztofem Sz. i innymi osobami działającymi na rzecz obcej organizacji” (tenże nic mi nie mówił, że działa na rzecz obcej organizacji). Jako karę już odcierpianą zaliczono mi cztery miesiące aresztu z 1968 roku, a więc sprzed okresu, w którym miałem popełnić tajemnicze dla mnie do dziś przestępstwo, zaliczono mi też prawie dziewięć miesięcy z lat 1969/1970 — do dnia ogłoszenia wyroku.

Cztery miesiące więzienia sprzed 1969 roku nie zostały więc zmarnowane, co pozwala sformułować następującą ideę banku kryminalnego: wsadza się obywateli do kryminału na wszelki wypadek i mogą czuć się swobodniej, bo później im się to zaliczy. Od czasu, gdy przedstawiono mi zarzut, nie zmieniłem poglądu w sprawie winy: nie popełniłem przestępstwa. Nie przyznawa-

łem się do winy jako podejrzany, ani w czasie procesu, ani gdy mnie o to pytał sąd penitencjarny w więzieniu w Strzelcach (i z tego powodu nie zwolniono mnie warunkowo na początku grudnia 1970 roku). Uważam więc, że mam ciągle w banku całość pobytu w więzieniu. Inni mają więcej, ale ja też coś mam: dwa lata, cztery miesiące i trzy tygodnie (może trzeba doliczyć jakieś procenty, statut banku nie został jeszcze opracowany).

12. CIĄGŁOŚĆ

We współczesnych Stanach Zjednoczonych nie uważa się, by było w tym coś złego, że biografia ma zakręty. Na ogół nie dziwią się tam, gdy profesor uniwersytetu zaczyna zajmować się kupnem i sprzedażą nieruchomości, a handlarz złomu zostaje wydawcą książek o sztuce. Zakręt więzienny prawdopodobnie wzmocnił niektóre moje zainteresowania i trochę odsunął inne. Ale nie było gwałtownych zmian. Nie chciałem, by zbyt łatwo wytracono mnie z dotychczasowych zainteresowań. Po więzieniu nauczanie uniwersyteckie, jak się okazało, nie wchodziło w rachubę. Ale praca na pograniczu nauki i humanistyki, ta, do której potrzebny jest czas i dostęp do publikacji, była możliwa, chociaż pracodawca państwowy nie interesował się ani moim zatrudnieniem, ani pracą i nie zamierzał mi płacić. Wątpliwe zresztą, czy płaca jest tu po prostu wynagrodzeniem za pracę.

Interesowałem się sprawami sądowymi w latach 1968-1969, chodziłem na procesy, byłem na własnym, uważałem, że trzeba napisać więcej o procesach politycznych i o prawie. Pisałem o tym. Pozostawiona była sprawa propagandy marcowej, o której opracowanie przed pójściem do więzienia prosiłem znajomych, ale zajęli się czym innym, napisali o postawach politycznych w Polsce. Język propagandy politycznej to był następny temat. Sięgnąłem do różnych autorów, by przypomnieć, co o posługiwaniu się mową jako środkiem perswazji napisano — od Franciszka Bacona, przez semantyków ogólnych i Orwella do Tomasza Stałińskiego, czyli Stefana Kisielewskiego. Wypowiedzi propagandy oficjalnej przedstawiłem jako schemat zdaniowy, w którym podmiot i orzeczenie można wymieniać, wstawiając różne podmioty i różne orzeczenia z dopuszczalnego zakresu. Starłem się pokazać, jaki obraz świata (o jego zależności od języka pisał Ajdukiewicz) tego rodzaju mowa przynosi. Tekst nazywał się „Mówi Warsza-

wa..."; tytuł, tak jak zresztą styl omawianej mowy, został zapożyczony z „Mówi Moskwa...”.

Zastanawiałem się nad tym, jakie są zasadnicze cechy ustroju w takich krajach jak Polska, i w jakiej mierze ten ustrój się zmienia. W roku akademickim 1968/1969 napisałem na ten temat tezy w punktach i domyślałem się, że o nich mówił jeden ze świadków na moim procesie. Nie znalazły się w aktach i ani mnie, ani tym bardziej sądowi nie udało się ustalić, co stało się z kopią, o której mówił ów świadek. Uważałem, że warto ten szkic rozwinąć. Nosilem z sobą fragmenty tekstu, zmieniałem zdania i dopisywałem nowe. Tym zajmowałem się w roku akademickim 1972/1973. Praca wynikała z przekonania, że można mówić o ustroju w Polsce, że są tu instytucje i względnie stałe sposoby działania, że społeczeństwo jest zorganizowane w sposób, który odczuwa się dość wyraźnie, choć wcale nie od razu potrafi się to opisać.

Czyta się czasem o sporach o tak zwaną ontologię socjologiczną, czyli o to, w jaki sposób rzeczywistość społeczna istnieje, co ją podtrzymuje, od czego jest zależna, jaką rolę w jej istnieniu odgrywają przekonania, konwencje lub umowy. Napisy na banknotach są umowne, a tak samo ich wartość. Ale te umowy są w tym między innymi sensie realne, że dla zdobycia banknotów wiele osób jest gotowych do sporego wysiłku i do poświęcenia innych dóbr, takich jak życie, które wydaje się dobrem nieumownym. Wiadomo, że co najmniej niektóre elementy rzeczywistości społecznej są wyraźne i stawiają opór. W państwie komunistycznym na ogół dość łatwo sobie uświadomić zewnętrzną i względną niezależność rzeczywistości społecznej, a zetknięcie się z wojskiem lub więzieniem może takie rozpoznanie jeszcze wzmocnić. Życie w państwie komunistycznym przyczynia się do rozstrzygania tych trochę filozoficznych sporów w ten sposób, że psychologicznie umacnia poglądy realistyczne, skłania do uświadomienia sobie, że niezależnie i na zewnątrz istnieje dość trwale zorganizowana rzeczywistość społeczna. Niekiedy dostrzega się ją całkiem wyraźnie i tak jest zwłaszcza tam, gdzie upaństwowienie i centralizacja są znaczne i gdzie władze dążą do eliminowania niezależności. Zorganizowana rzeczywistość zewnętrzna daje wówczas o sobie znać.

W więzieniu wkrótce po grudniowych demonstracjach i paleniu komitetów na Wybrzeżu pokazano mi przemycony egzemplarz szczecińskiej gazety z informacjami o wydarzeniach i — co ciekawe — ze zdjęciami (których w innych gazetach nie było). Wcześniej też usłyszałem radę, komentującą niedawne zmiany polityczne. Jeden ze współwięźniów przytoczył mi zasłyszany wier-

szyk: *Edwardzie Gierku, nie jedź na ruskim rowerku, ruski rowerek ma krzywe kółka, zajedziesz tam, gdzie zajechał Gomułka.* Podobne współzależności nie zawsze przychodziły do głowy skłon-
nym do entuzjazmu komentatorom politycznym na Zachodzie.

Kiedy wyszedłem z więzienia, msza była po polsku, Gierek patrzył z okładek *Spiegla* i *Newsweeka*, chwalili go na Zachodzie dziennikarze i eksperci od spraw polskich, którzy te pisma zapewne czytali i jakoś wspólnie z dziennikarzami dochodzili do podobnych wniosków. Ekscytacja nowym panującym na wschodzie jest, jak później miałem okazję się przekonać, odnawiającym się motywem w zachodnich środkach masowego przekazu, a także wśród profesjonalistów zajmujących się krajami wschodnimi, czyli komunistycznymi.

W styczniu 1971 roku stwierdzono oficjalnie, że ma być odbudowany Zamek Królewski w Warszawie. Przedtem tym zamierzeniem przeszkadzał podobno Gomułka, teraz władza oznajmiała, że aprobeuje i gotowa jest zachowywać jeszcze jedną z tradycji państwa i kultury polskiej. Można spierać się, czy wydawanie takich pozwoleń świadczy o polskości władzy, czy przeciwnie — ich potrzeba może raczej budzić zdziwienie i wątpliwości. Ale lepsze chyba jednak są pozwolenia niż ich brak.

W więzieniu był, jak się okazało, możliwy dostęp do gazety ze Szczecina. Poza więzieniem był możliwy dostęp do *Kultury* paryskiej, której czerwcowy numer pokazano mi wkrótce po moim wyjściu za bramę i powrocie do Warszawy. Akurat pierwszy swój artykuł w tym piśmie opublikował Leszek Kołakowski i dowiedziałem się, że przeciw miejscu druku energicznie zaprotestowali z Polski koledzy autora. Ten zaś próbował ich przekonać, że publikowaniu w *Kulturze* nie ma powodu się sprzeciwiać. Moda na *Kulturę* jeszcze nie całkiem się upowszechniła i w sferach intelektualno-rewizjonistycznych nie wszyscy uważali, że *Kultura* jest *comme il faut*.

W lecie i na jesieni 1971 roku w Łodzi i w Warszawie odbywały się procesy „Ruchu”, na ogół młodych ludzi, dwudziesto-trzydziestoletnich, aresztowanych latem i jesienią poprzedniego roku. W roku 1970 obchodzono stulecie urodzin Lenina, przywódcy, który sąsiadujące z Polską państwo przekształcił, nadał mu kształt współczesny i chciał tym państwem Polskę objąć. Postać tę popularyzowały władze w Polsce. „Ruch” nie widział powodu, by entuzjazmować się Leninem i rocznicę chciał zaakcentować podpalając muzeum-dom pamięci Lenina w Poroninie. Ta idea, chociaż niezrealizowana, nie spodobała się policji i sądom. Zapadły wyroki do siedmiu lat więzienia, świadczące o tym, że liberalizm w epoce wczesnego Gierka nie był przesadny. Zapewne

chciano bronić leninowskich świętości nawet przed niewprowadzonym w czyn zamiarem świętokradztwa. Ale w Polsce były to świętości wątpliwe.

Na jesieni 1972 roku sąd w Opolu i później w Warszawie wydał wyrok w sprawie braci Kowalczyków. Jeden z nich, Jerzy, jesienią 1971 roku zdemolował część auli szkoły pedagogicznej w Opolu, podpalając materiał wybuchowy. Czyn miał motywy polityczne, w auli miała następnie odbyć się uroczystość milicyjna. Ofiar w ludziach nie było i nie miało być zgodnie z zamiarem Jerzego Kowalczyka, ale skazano go na karę śmierci, następnie zamienioną na więzienie. Władze okazały rzadko spotykaną surowość. Wyrok w sprawie braci Kowalczyków wywołał protesty publiczne, podpisałem jeden z apeli w tej sprawie. Przez kilkanaście lat nie było tak surowych kar w procesach politycznych i może dlatego nie protestowano przedtem publicznie przeciw skazywaniu za pisanie artykułów i przewożenie książek. Ale chyba zmieniała się też atmosfera, poglądy w sprawie prawa władz do trzymania ludzi w więzieniu, poczucie, czy to zawsze jest zwyczajne i zrozumiałe, jeśli zamyka się do więzienia kogoś, kto nie podoba się władzom. Brak sympatii często jest wzajemny, ale zamyka do więzienia tylko jedna strona.

W roku 1972 przyznano nagrody państwowe Marii Ossowskiej i Tadeuszowi Kotarbińskiemu. Dostał także nagrodę mój ojciec za projekt Strony Wschodniej ulicy Marszałkowskiej. Był to urbanistyczno-architektoniczny projekt ważnego fragmentu centrum Warszawy: wysokie jak na ówczesną Warszawę domy mieszkalne i niskie, przeszklone domy towarowe naprzeciwko Pałacu Kultury, pasaż śródmiejski i wyposażenie jego najbliższych okolic. Ze względu na inflację przyczyniłem się do zmniejszenia rzeczywistej wartości nagrody, bo miała być przyznana wcześniej ale najwyraźniej chciano zwiększyć odstęp między karaniem kogoś z rodziny i nagradzaniem kogoś innego. Zbiorowy dawca kar i nagród cenił sobie jednolitość.

Wysokość domów na Stronie Wschodniej trzeba było ustalać z kompetentnymi w tej sprawie władzami i mój ojciec rozmawiał o tym z Zenonem Kliszką, drugim, jak powszechnie uważano, człowiekiem w Polsce Gomułki. Może Kliszko mógł w tej sprawie decydować sam, a może był to jeszcze za niski szczebel. Decyzje o sprawach, wydawałoby się, nie najważniejszych podejmowano na wysokich stanowiskach, a zajmujący je funkcjonariusze dawali do zrozumienia, że domy na Stronie Wschodniej nie powinny wysokością zbliżać się zbyt do Pałacu Kultury, podarowanego przez ZSRR. Kliszko (a może także jego zwierzchnik) miał ocenić, jaka wysokość nie narusza protokołu. Kiedy domy

już stały, ograniczenia się zmniejszyły, a zapewne zależały też od odległości, hotel Forum mógł już być wyższy niż domy na Stronie Wschodniej. Sprawa stała się chyba mniej doniosła, gdy zaczęto budować nowy pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej: hutę Katowice. W dowód polsko-radzieckich związków gospodarczych wręczono w roku 1974 Leonidowi Breżniewowi legitymację pracownika Huty Katowice z honorowym numerem pierwszym. Zwyczaj hutnicy jeszcze tam wtedy nie pracowali, ale później założyli niezależny związek zawodowy i rysowali karykatury kolegi wyprzedzającego ich w numeracji. Skoro mógł być hutnikiem, mógł być niedźwiadkiem. Władze uznały te rysunki za bardzo poważną sprawę polityczną.

Na początku panowania Gierka przestał ukazywać się dwutygodnik literacki *Współczesność*, prenumerowany często przez więźniów, do czego mogły przyczynić się zamieszczane w piśmie fotografie nieubranych pań. Później ktoś rozszyfrował motywy interesowania się tym pismem literackim i oddelegowany specjalnie funkcjonariusz lub może nawet zaufany więzień gęsto dzieła fotograficzne zastemplowywał, starając się, by treść nie przeświecała. Nie myślę jednak, by tematy zdjęć odegrały decydującą rolę w zamknięciu *Współczesności*, na której miejsce w roku 1972 zaczął ukazywać się nowy tygodnik *Literatura*. Tadeusz Kotarbiński pisywał tam o książkach, a Andrzej Dobosz, pamiętany jeszcze za opis szkoły w *Nowej Kulturze* (z 1957 roku), drukował krótkie felietony. Akty przeniosły się do *Literatury na Świecie*, *Literatura* natomiast zdobywała czytelników przede wszystkim artykułami o zagadnieniach parapsychologicznych, różdżkarstwie i jasnowidzeniu, a także drukowanym w odcinkach „Dniem szakala” i „Ostatnim tangiem w Paryżu”.

Pisma zrobiły się ciekawsze (co najmniej niektóre). Zaczęły ukazywać się *Teksty*, drukujące niekonwencjonalnych i nienudnych literaturoznawców. Nie zawsze łatwo było *Teksty* dostać, ale mogłem, bo redaktor, zajmująca się tym pismem w Ossolineum, opiekowała się też pismem socjologicznym, w którym byłem sekretarzem redakcji. We wrocławskiej *Odrze* drukowano rozmowy więzienne Kazimierza Moczarskiego z generałem SS i policji Jürgenem Stroopem. Pisali tam młodzi poeci i krytycy, których interesowały sprawy języka: używanego w poezji, w urzędzie i na co dzień. W *Tygodniku Powszechnym* obok Stefana Kisielewskiego pojawili się nowi na tych łamach felietoniści — Antoni Słonimski, Paweł Hertz, Andrzej Kijowski.

W teatrach studenckich zmieniały się wtedy tematy: najpierw biegano z czerwonymi sztandarami i przeciwstawiano Gomułce autentycznie rewolucyjnego Lenina („Spadanie” teatru „Stu” z

Krakowa), ale wkrótce mówiło się o Polsce i antytezy też już były skądinąd i w innym stylu: Mickiewiczowi przeciwstawiano Gombrowicza („Sennik polski” w tym samym teatrze). Czerwieni było mniej, bo był już biały z czerwonym. W teatrze „Ósmego dnia” słowami w przedstawieniu „Jednym tchem” były wiersze Stanisława Barańczaka o wyraźnych odniesieniach do niedawnego marca i grudnia. Na scenie przetaczano krew, wiersze mówiły o *końcu wojny dwudziestodwuletniej i połowie czasu między rudą i rdzą*.

Jak w wielu innych przypadkach, także i w moim, do kary orzeczonej przez sąd dochodziły dolegliwości nie przewidziane przez kodeks karny. Zaprzyjaźnieni socjologowie omawiali z mniej zaprzyjaźnionymi temat, czy i jak można by mnie zatrudnić. Odpowiedź uznana za miarodajną brzmiała: ani na Uniwersytecie, ani w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Praca w PAN nie wymaga kontaktów ze studentami, a więc — wydawałoby się — można by kontynuować ideę uniwersyteckiego „zawieszenia”, ale profesor Jan Szczepański, dyrektor odpowiedniego instytutu, stwierdził, że zatrudnienie ani uczestnictwo w studium doktoranckim nie wchodzi w grę. Dostałem pracę — ryczałt jako sekretarz redakcji *The Polish Sociological Bulletin*. Wydawcą było Polskie Towarzystwo Socjologiczne — pracodawca społeczny a nie państwowy.

Pisałem o tym, o czym nie mogłem przeczytać. Socjologowie zajmowali się na ogół sprawami dość ograniczonymi w czasie, miejscu badania i temacie: pisali monografie zawodów lub projektowali ankiety i — korzystając z odpowiedzi — badali różnice poglądów, a także różnice zawodowe i majątkowe, które nazywali „strukturą społeczną”, chociaż byłoby może właściwiej nazywać strukturą przede wszystkim instytucje, w tym instytucje rządzące: partię, policję, aparat propagandowo-ideologiczny. Wyglądało jakby socjologia była nauką o aktualności, a i to niepełnej. Tadeusz Kotarbiński mówił, że socjologowie zachowują się jak adepci medycyny, którzy postanowiliby, że będą zajmować się tylko dermatologią, badać powierzchnię. W tym przypadku była to powierzchnia czasu: aktualność. Kiedy socjologowie interesowali się Polską współczesną, to często w ten sposób, że badali próbę reprezentatywną mieszkańców. Osobom wybranym do próby zadawano pytania i odpowiedzi były materiałem podstawowym: tak jak w zwykłym głosowaniu, każdy głos (odpowiedź na pytanie) ważył tyle samo. Dowiadywano się w ten sposób, jacy są Polacy, ale mnie interesowało także, jaka jest Polska (i inne podobne kraje), jak społeczeństwo jest zorganizowane, jak postępują władze i jaki napotyka opór, zwłaszcza w okresie

prawdy, w momentach przełomu, w których zmieniają się przekonania ludzi na temat możliwości działania i poza rządzącymi dochodzą do głosu inne osoby i inne zbiorowości, odzywają się nieoficjalne i przedtem nieuznawane podmioty zmian społecznych.

Książce dałem tytuł parafrazujący Tocqueville'a: „Nowy ustroj i ewolucja”. Czytało ją parę osób, skorzystałem z ich uwag, później maszynopis został jakby wysłany w morze, nie wiedziałem, co się z nim dzieje. Chyba zgubiła się karta tytułowa i wydawca dał tytuł własny: „Ewolucja czy rewolucja”. Nowy tytuł mógł sugerować, że książka zawiera głównie przewidywania lub wskazania praktyczne. Przy pewnych założeniach można je wywnioskować z opisu, ale przede wszystkim praca ta jest opisem ustroju i jego zmian. Cykliczność zmian w powojennej historii Polski nie była wtedy tak oczywista jak później. Mniej było przykładów powtarzania się konfliktów i następowania po sobie okresów łagodniejszej (bardziej „liberalnej”) i ostrzejszej polityki władz. Z punktu widzenia historyka poglądów i idei ta książka o ustroju jest świadectwem zainteresowań i przekonań społeczno-politycznych z początku lat siedemdziesiątych. Rzecz ukazała się chyba za wcześnie, książki Instytutu Literackiego były w Polsce znane, ale niewiele osób zwróciło na ten „Nowy ustroj” uwagę, choć, jak sądzę, były tam myśli, które mogły zaciekawiać socjologów, starających się opisać społeczeństwo polskie jako całość. Mogła też tam coś znaleźć dla siebie opozycja, która w praktyce zajęła się niezależnymi działaniami społecznymi i mogła chcieć znać tło takich działań, a więc właściwości instytucji władzy i sposoby, w jakie te instytucje utrwalają swoje panowanie i przeciwstawiają się różnorodności i niezależności.

W połowie lat siedemdziesiątych pisałem artykuły metodologiczne, a także poświęcone ogólnym zagadnieniom kultury. Niektóre z tekstów metodologicznych weszły w skład pracy o badaniu oddziaływań przyczynowych w socjologii. Przygotowałem też wtedy do druku podręcznik „Wprowadzenie do metodologii nauk społecznych”. Dzięki kolegom, którzy uczyli przedmiotów humanistyczno-społecznych w Politechnice Wrocławskiej, podręcznik powielono jako druk wewnętrzny. Pod koniec 1975 roku podpisałem jedno z oświadczeń w związku z przygotowywanymi zmianami w konstytucji, po czym miałem trudności z opublikowaniem artykułów przyjętych już oficjalnie do druku i dalekich od polityki. Ale możliwości publikacji istniały. Książka o ustroju i jego zmianach ukazała się w Instytucie Literackim w Paryżu, wkrótce zaś zaczął w Polsce nabierać siły obieg publikacji nieoficjalnych.

SPIS TREŚCI

1. <i>Proces i śledztwo</i>	9
2. <i>Lektury</i>	21
3. <i>Szkoła podstawowa</i>	33
4. <i>Wierzenia i postęp</i>	37
5. <i>Październik</i>	43
6. <i>Uniwersytet</i>	51
7. <i>Po studiach</i>	67
8. <i>Polska</i>	73
9. <i>Marzec</i>	81
10. <i>Prawo</i>	97
11. <i>Więzienie</i>	105
12. <i>Ciągłość</i>	117

600

Dziękujemy FWN
za okazaną pomoc

-WYDAWNICTWO-
POLKOST
1988
WARSZAWA